Drogiej pani Sakowskiej
z serdecznymi życzeniami
Wesołych Świąt
Bożego Narodzenia

ofiaruje
Tadeusz Cepa

Chicago 12-24-1946 r.

Wybór Poezji

Marii Konopnickiej

DRUKIEM - PITTSBURCZANINA
2637 PENN AVE., PITTSBURGH, PA.

PRINTED IN THE UNITED STATES

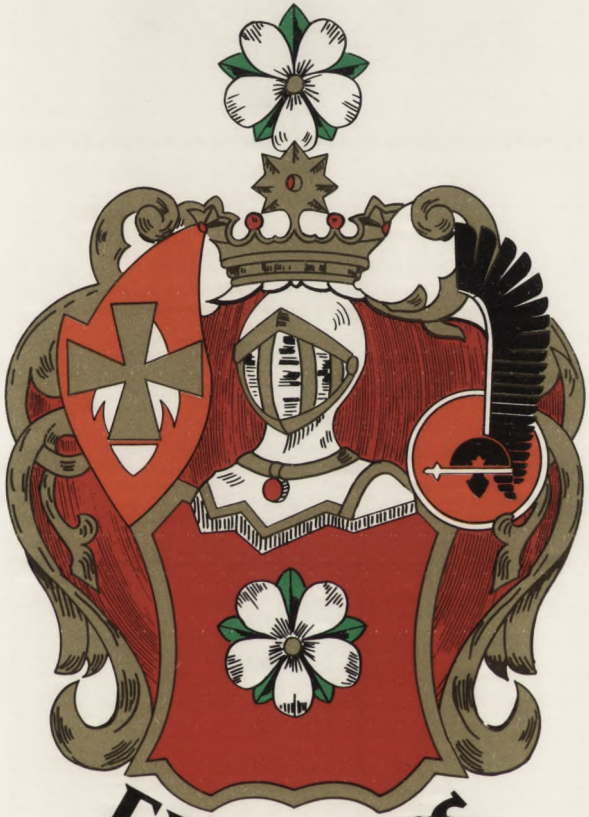

EX LIBRIS
LODA and EDWARD C. ROZANSKI
133684

1846 — 1910

Марія Конопніцька

MARIA KONOPNICKA

Wybór Poezji

według układu

Jadwigi Karłowiczowej

wydał

Związek Polek w Ameryce

1945

OFIAROWANIE

Lećcie, kartki ciche, białe,
Jak jabłoni kwiecie,
Zapukajcie, zastukajcie,
Gdzie smutek znajdziecie.

Zapukajcie, zastukajcie,
Gdzie milczące wrota:
Może pójdzie wam otworzyć
Jaki duch-sierota.

Może pójdzie wam otworzyć,
Może wam odpowie,
Może drogi głos przypomni
W waszej cichej mowie.

Może drogi głos przypomni,
Co zamilkł na wieki.
Może głową zakołysze,
Zarosi powieki.

Może głową zakołysze
W serdecznej zadumie,
Może westchnie za snem młodym,
Może was zrozumie.

Oj ty wichrze, mocny wichrze,
Z skrzydłami mrocznemi,
Nie ostoi się przed tobą
żaden sen na ziemi!

PRZEDMOWA

Przed kilku miesiącami, Związek Polek w Ameryce wydał Zbiór Nowel i Obrazków Marii Konopnickiej, obecnie dajemy do rąk naszych członkiń i rodaków Wybór Poezji, przez co wypełniamy w całości uchwałę Zarządu Głównego zapadłą w tej sprawie.

Pragniemy poinformować czytelników, iż w doborze wierszy, kierowałyśmy się tym żeby pomieścić jak najwięcej utworów patriotycznych, społecznych i swojskich, dlatego w zbiorze tym niema zupełnie wierszy z podróży. Pragnęłyśmy zarazem dać charakterystykę życia i talentu Konopnickiej i w tym celu zbiór został porzedzony studium, napisanym swego czasu dla Związku Polek w Ameryce przez naszą niezwykłą członkinię ś. p. Dr. Annę Wyczółkowską, która znała Poetkę osobiście, a swego czasu żyła z nią nawet dość zażyle.

Studium to było przetłumaczone na język angielski przez byłą członkinię Komitetu Oświaty Z. P. w A. pannę Anielę M. Cylkowską i po ogłoszeniu drukiem przez organizację, rozesłane zostało do bibliotek oraz ofiarowane wielu uczelniom i instytucjom.

W przygotowaniu Wyboru Poezji do druku, była nam wielce pomocna pani Irena Stryjewska, członkini Gr. 114 Z. P. w A., pragniemy przeto na tym miejscu złożyć jej podziękowanie.

Oddając czytelnikom ten drugi tom utworów Konopnickiej, które wziąwszy razem stanowią jedynie małą część Jej spuścizny literackiej, jesteśmy głęboko przekonane, że ukazały się one w chwili nader odpowiedniej i że Związek Polek w Ameryce w najbardziej wymowny sposób uczcił swą Honorową Członkinię.

J. K.

Chicago, czerwiec, 1945.

NA ROZWINIĘCIE SZTANDARU GR. 24 ZWIĄZKU POLEK W AMERYCE

Witaj, sztandarze ojczystej chwały,
Zawitaj, orle nasz miły!
Oto nam skrzydła twoje powiały
Znakiem jedności i siły.

Garść my tułaczy na obcej ziemi,
Zdala od domu i rodu,
Zawsze my jednak byli wiernemi
Polsce i hasłom narodu.

Dziś pod rozwitym w słońcu sztandarem
W hufiec zewrzemy się śmiały,
Gdy nas powoła przymierzem starem
Ojczysty Orzeł nasz Biały.

A nasze boje — walka z ciemnotą,
Z hańbiącem jarzmem niewoli;
A nasza droga — w jutrzenkę złotą,
Co ludy wolne zespoli.

Łączymy serca i dłonie,
Zbrataną stoim drużyną:
Niech nasze Orły, Pogonie
Z pieśnią ku niebu popłyną!

Cześć ci, sztandarze ojczystej chwały!
Cześć tobie, Orle nasz miły!
Oby nam skrzydła twoje powiały
Godłem jedności i siły!

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ POETYCKA MARII KONOPNICKIEJ

Jak oryginalnem i niezwykłem było życie Marii Konopnickiej tak oryginalną i niezwykłą była jej twórczość i talent. Wypielęgnowały go z jednej strony wrażenia religijne i surowy nastrój wychowania domowego, z drugiej wczesne a nieszczęśliwe małżeństwo.

Ojciec jej był człowiekiem surowych zasad i głębokiej religijności, potęgowanej wczytywaniem się w Biblię i żywota Świętych. Wychowywał też dzieci w bezgranicznej karności i pobożności. Wspólne modlitwy, czytanie Biblii, do których nawykła Konopnicka od wczesnego dzieciństwa jak i ślepe posłuszeństwo wobec rozkazów ojca, uczyniły ją trwożliwą i uległą. Nie przypuszczała nawet, że woli ojca można się sprzeciwiać. Trwało to do pełni życia młodzieńczego. Zwolna jednak pod tą powłoką biernego posłuszeństwa urabiało się jakieś głuche dążenie do wolności ducha i obejmowania dlań coraz to szerszych horyzontów. Sposobności po temu dostarczyły jej spędzone lata w zakładzie naukowym żeńskim, w którym kolegowała ze starszą od siebie o lat kilka Elizą Orzeszkową. Ale dwie te kobiety już jako dziewczynki różniły się między sobą bardzo wyraźnie. Eliza energiczna i zdolna wynikała już naówczas chętnie w poważne kwestie społeczne, Maria mało się troszcząc o sprawy emancypacji kobiecej, szukała w życiu piękna i harmonii.

Pierwsza szła w życie uzbrojona w silną wolę, druga wsłuchana w głosy natury i rozsiane piękno we wszechświecie.

Za powrotem do domu zaczęło się znów życie w poddaństwie ojca i rozmyślaniach biblijnych. A gdy przedstawiono jej przyszłego pana i męża struchlała nie śmiejąc wypowiedzieć własnego o nim zdania. Wszelki opór w domu ojca był wykluczonym. Szła do ślubu jak chodziła na mistyczne czytanie Biblii posłuszna woli ojca, pełna tajemnych obaw i niechęci, z których nie śmiała się wypowiedzieć.

Życie w domu męża nacechowane było — smutkiem. Smutną była, bo nie znała swobody we własnym domu, jak nie znała jej w domu rodzicielskim, z różnicą, że to ostatnie było podniosłem choć surowem, tamto zbyt odległem od wszelkiej ideowości. Pomiędzy nią a jej mężem był olbrzymi przedział. On był człowiekiem zwyczajnym, lubił życie hulaszcze, ona była wieszczką z Bożej łaski, która potrzebowała samotności w braku podniosłego i rozumnego otoczenia. Smutną też była jako Polka, bo kochając ziemię ojczystą, cierpiała nad jej uciskiem w trójramiennych kajdanach.

Ale Maria Konopnicka nie należała do kobiet słabych albo egzaltowanych. Duch w niej potężniał pomimo trudności życiowych i obręczy wolności.

Obarczona liczną rodziną, (trzy córki i trzech synów) nie mając żadnej pomocy w mężu co do ich wychowania, szukała pouczeń i wiedzy w licznym księgozbiorze, znalezionym na strychu w domu męża. Z ksiąg tych, gryzionych przez myszy, wyciągała różne ciekawe utwory, które rozwijały jej umysł i kształtowały jej zdolności li-

terackie, uzupełniając zbyt powierzchowne wykształcenie otrzymane w pensjonacie.

W miarę jednak tego podnoszenia się duchowego przedział z mężem stawał się coraz to przykrzejszym. Bała się go, może nienawidziła, ale nie zdolna do scen albo kłótni oraz tej rozterki z życiem i samej ze sobą, zerwała się nagle jak wichura, aby zedrzeć ze siebie te małżeńskie pęta. I mając za cały majątek kilkanaście uzbieranych rubli, i parę wykończonych wierszy a może i nowelek, zabiera ze sobą tę gromadkę dzieci i wybiera się w nieobecności męża w podróż do Warszawy.

Po długiem szukaniu znalazła maleńki pokoik na Starem Mieście, w którym rozpoczęła się straszna walka o byt, wykształcenie dzieci i rozwój własnego talentu.

Zaraz następnego dnia zaniosła do redakcji jednego z pism warszawskich, najlepszą z przygotowanych do druku poezji, wyczekując w niecierpliwości autorskiej czy będzie ona drukowaną albo nie. Utwór ów poetycki pojawił się niebawem w druku, ale jakiegoż doznała zawodu, gdy przyszedłszy po pieniądze taką otrzymała odpowiedź: "To nie idzie tak prędko. Niech się pani kontentuje tem, że wierszyk jej wydrukowano." Odeszła z przerażeniem.

Bo jakże wobec tego wyżywić, ubrać i posłać do szkoły kilkoro maleństwa? . . . Za drugi wiersz otrzymała już honorarium. A za następne płacono coraz to lepiej. Pomimo tego jednak straszna nędza zajrzała w oczy matki.

Atoli wiara w przyszłość i twórcze zdolności przełamywały rozpacz, potęgując energię. Zaczęła pisać prozą i wierszem po nocach albo wczesnym rankiem. Ulotne wiersze zaczęły wycho-

dzić co dnia z pod jej pióra, a że nacechowane były samorodną zdolnością, drukowano je chętnie i opłacano nie najgorzej. — Gdy zaś pojawił się sławny odtąd wiersz "O Jaskółce", na który zwrócił uwagę Henryk Sienkiewicz, jako na objaw prawdziwego talentu, poezje Konopnickiej nabrały znaczenia i ceny na targu dziennikarskim. To podniecało jej twórczość i dodawało otuchy. Wielkim później powodzeniem cieszył się wiersz, "Do Kobiety", którego Konopnicka nie lubiła, ale innym często bywa sąd publiczności od sądu samego autora o sobie.

W tej pierwszej epoce jej twórczości posypały się wiersze ulotne o flisakach, góralach tatrzańskich itp. Równomiernie z pracą literacką szła praca domowa, gotowania, szycia i cerowania ubożuchnych sukienek, pończoszek dla licznej gromadki dzieci oraz posyłanie do szkoły starszego drobiazgu. Nie znam kobiety, któraby pracę tego rodzaju wykonywała z równą jej zręcznością i artyzmem. W czyszczeniu bucików mogła iść w zawody z najudolniejszym chłopakiem do czyszczenia butów, w gotowaniu zatrzaśniętych "kluseczek" albo w przyprawianiu uzbieranych poprzednio grzybów — z pierwszorzędnym kucharzem. Ten objaw zręczności mięśniowonerwowej był echem niejako subtelności i wytworności nerwów mózgowych na rzecz mowy i myśli.

A były to ciężkie lata walki o chleb codzienny, które ozłacało jedynie życie nieustającej twórczości poetyckiej. Dzień był przeznaczony na spełnianie obowiązków rodzinnych, noc ku wzbogaceniu fantazji i natchnień poetyckich oraz zarabianiu na chleb codzienny.

Zrozumiałem jest bardzo, że w takich warun-

kach Maria Konopnicka nie mogła podejmować prac szerszego pokroju, że musiała koncentrować swój umysł w tworzeniu ulotnych wierszy, artykułów albo nowelek, które odznaczały się coraz to większą barwnością i pięknością stylową, otwierając sobie wstęp do różnych pism w Warszawie i Krakowie. Ów postęp w rozwoju jej talentu ujawniał się zwłaszcza w powadze odnoszenia się do spraw społecznych, w przepięknych formą i treścią "obrazkach" jak "Przed Sądem", "Z wiejskiej szkółki", "W piwniczej izbie" albo później "Wolny najmita" etc. Są to najlepiej znane utwory M. Konopnickiej z estrad koncertowo-deklamacyjnych.

Wychowaniem dzieci kierowała M. Konopnicka jakby prawdziwa amerykanka: dwie córki kształciła na nauczycielki, synów zachęcając do zajęć praktycznych jak leśnictwo, rybołóstwo i młynarstwo.

Uporawszy się dopiero ile tyle z obowiązkami matki oraz wyczuwając ciągłą potrzebę tworzenia, postanowiła Konopnicka opuścić kraj dla rozszerzenia swoich doświadczeń, oraz rozpatrzenia się w znanych ze swej piękności miejscowościach jak Gorycja, Gratz a później Genewa, Mediolan i Włochy wogóle. Pociągały je one dwoistemi urokami — to jest pięknem natury i bogactwem sztuki. Z podróży tych przysyłała stale jużto opisy danych miejscowości jużto nowe wytwory pieśni albo nowelki i studia artystyczne.

Z tych czasów pochodzą "Podróże z Genewy", nowele w stylu holenderskim jak "Banasiowa" albo "Urbanowa" a także spotęgowane co do swej wewnętrznej wartości drobne poetyckie utwory.

Była już wówczas sławną i cenioną.

Podróże należały do największych upodobań Marii Konopnickiej. Ale nie były to wędrówki po dużych miastach ludzi światowych nawiązujących tu i tam stosunki towarzyskie albo zwiedzających teatry, opery czy sklepy mód. Konopnicka lubiła przebywać po kościołach i klasztorach, pleśnią porosłych cmentarzyskach, odnajdując w nich bratnie dusze poetów i maluczkich. Stąpała po nich z ogromną czcią i ukochaniem tajemniczej przeszłości. Pisała też okolicznościowe poezje o grobowcach czy to Giordano Bruno, czy Kraszewskiego, Ignacego Domejki, Szopena i innych albo "Nad mogiłą", "Rośnie na cmentarzach", etc.

Ale możnaby myśleć, że owo peregrynowanie po kurhanach, cmentarzyskach, katakumbach spowodowane było niewieścią niemocą. Tymczasem stojąc raz nad górską przepaścią pisze poetka:

Nieraz ja stojąc nad przepaścią życia,
Pytam co rzucić w te otchłanie szare?
Czy wiarę w siebie, czy też w ludzi wiarę?
Czy ideały me, czy serca bicia?
Wszakże głos mocny z głębin do mnie woła,
Słabość rzuć tutaj! Idź a podnieś czoło!

Z głębokim nastrojem chodziła po starym Rzymie, po tem mieście potęgi i upadku cezarów oraz po tych podziemiach prześladowanych chrześcijan. . . . Florencja, Bolonia i Mediolan były dla niej środowiskami włoskiej sztuki, malarstwa i rzeźby oraz architektury, o których miała bardzo oryginalne pojęcia, domagające się osobnego studium.

Muzyka mniej ją pociągała. Rzuca to wyraźne światło na jej umysł plastyczny szukają-

czy i w sztuce nie tyle melodii ale plastyki rysów i kształtów; nie idealnych tylko uniesień ale podniosłości i siły ducha. Stąd to upodobanie w rzeźbach Michała Anioła i malowidłach sykstyńskiej kaplicy w Rzymie, gdzie wzmacniała prawdopodobnie swego ducha siłą i potęgą utworów tego mistrza nad mistrzami sztuki rzeźbiarskiej i malarskiej. Rafael i Bonvenuto Cellini zaspakajali jej pragnienia doskonałej formy ale Michał Anioł pociągał ją swojem wyczuwaniem i zespalaniem człowieka i świata z majestatem Boga. Bo miała ona coś w sobie z tej siły olbrzymów ducha i tytanów formy plastycznej, którzy posługując się intuicją i umiłowaniem natury mało dbają o dyskusje i tendencje w sztuce. Stąd zaś ów pogląd panteistyczny na świat, to znaczy owo współżycie z naturą i bóstwem jako ze sobą nierozerwalne; jak stąd owo nierozumienie a nawet uciekanie od ludzi zwykłej miary, co się nie umieją wznosić duchem poza szranki codziennego życia; stąd owo umiłowanie natury, której piękności wyczuwania w sposób niemal dla nas nieuchwytny. Pisała zawsze pod wrażeniem chwili zachwytu i artystycznego upojenia. Byłam raz z nią nad spadkiem Renu w Szafhuzie, w Szwajcarii. Stanęłyśmy nad samym Renem, patrząc na piętrzące się pokłady wód. Aby nie zmniejszać jej nastroju, cofnęłam się w dal, ona zaś stała długą chwilę jak martwa. Potem zeszła do naszego nielicznego kółka, cicha, zarumieniona, jakby po dokonanej walce z naturą. Nie rozmawiałyśmy z nią prawie tego wieczora, pozostawiając ją samą. Drugiego zaś dnia wysłała do Kuriera Warszawskiego wiersz "Nad Renem."

II.

Ale kto chce głębiej poznać Marię Konopnicką w jej duchowem ukształtowaniu, niech przeczyta i to nie raz ale kilkarotnie jedną z jej największych prac poetyckich jaką jest "Imagina." Wątpię żeby można znaleść w jakiejkolwiek literaturze coś równie oryginalnego i głębiej a nawet śmiem powiedzieć naiwniej duszę samego poety znamionującego nad "Imaginę." Jest to poemat złożony z XX pieśni, w którym dała autorka, może nawet pomimowoli jaknajdoskonalszy wyraz swemu usposobieniu, rodzajowi swego talentu, ze wszystkiemi jego zaletami i brakami, jak dała się w nim poznać ze swego ciekawego światopoglądu.

Jednym z głównych rysów tego utworu jest szczególniejszy stosunek autorki do ludzi zwyczajnych albo raczej przepojonych tą ujemną, że się tak wyrażę, filiterską kulturą. Prawdopodobnie, że wpłynęło na te surowe sądy o ludziach owo pierwsze ścieranie się z nimi w dzieciństwie jak i pełnoletności, głównie jednak to, że człowiek dla niej odstąpił od pierwowzoru doskonałości ducha, a zanadto zespolił się z nędzą moralną różnego pokroju.

Konopnicka kochała nad wszystko naturę, ptactwo, ziemię, zwierzęta i skuty z tą ziemią lud wiejski. A co najciekawsze to, że czuła się tak ściśle zespoloną z naturą i jej urokami jak słońce, zorza i rosa poranna, mgły, mchy i obłoki, zmienne światła i cienie świtu, zmierzchu, brzasków i pomroków oraz tych barw czerwieni, purpury, szafirów i czerni, że mówiąc o wszechświecie wplatała weń swą istność, wchodząc nie-

kiedy w tego rodzaju bratnie wyczuwanie Boga, iż jak się wyraża "śmiem posądzać bóstwo o poezję."

Śmiem wierzyć, że Bóg był potężnym wieszczem,
Kiedy wyrzucał z myśli swoich światy,
Trącał lutnią mórz wieczystym dreszczem,
I noc w gwiaździste oblekał makaty,
I objaśniony słońc lecących deszczem,
I strof granitowych stwarzał poematy,
I w pieśni, która płomieniami bucha,
Pomyślał wielką rzecz — ludzkiego ducha.

Ogromny pomysł tytanicznej miary!
Sam wieszcz tą pieśnią zadziwił się swoją. . . .

To pojęcie świata jako najcudowniejszej pieśni, a wszelkiego bóstwa jako twórczość wieszczą, nadają "Imaginie" ów charakter panteistyczny, to znaczy, iż zachwyt jej wobec uroków ziemi wznosi się po za wszelkie pojęcia ogólno ludzkie aż do zespolenia się i zbratania z Bogiem, którego kocha w każdej skale i zorzy, w śpiewie pastuszków, w znoju chłopa w siermiędze i w tych zmierzchach i echach skalnych i tym śpiewie słowików a zwłaszcza skowronków.

"Każdy człowiek — mówi ona, może być
słowikiem
Ale skowronek — rzecz inna. On śpiewa.
Na czarne lasy jeszcze i na szrony,
On pierwszy budzi ze snów długich drzewa,
I z pod kamyczka, jak procą rzucony,
Leci, a za nim puszcza się ulewa,
Po której cały świat wstaje zielony,

I pierwiosnkami pachnący i rosą,
I z chat wabiący pastuszków czerń bosą."
"Więc jużby można obejść się na ziemi
Bez wielu rzeczy, ale nie bez pieśni. . . ."

Tak kochała naturę, wszechświat i pieśń ale . . . nie lubiła ludzi. Trudno jej było, wpatrzonej w harmonię i pieśń natury, nie czuć odrazy do wszystkiego co tchnie kłótnią i zawiścią, niesprawiedliwością i wnoszeniem krzywd w dolę ludzką. . . . Sny złote na łonie natury czynią poetę niezdolnym do walki z życiem codziennem i jej małostkowością.

"Ludzie . . . cóż ludzie? — mówi K. — Nigdym
ja nie była
Z tych, co się cisną między ludzką wrzawę,
Jakaś mnie przepaść od świata dzieliła,
Tłum we mnie wstręty budził i obawę,
A jeślim czyje serce tem zraniła,
Niech mi przebaczy, bo stopy mam krwawe,
I niosę ciężki krzyż po mojej drodze,
I jak cień mijam, a jak pył przechodzę."

"O, drodzy zdala, lecz z bliska natrętni!
Nie mogę życia na pastwę wam rzucać,
Możem za dumna, może wy zbyt chętni,
Na nitce skakać, jak wróble i nucić;
Jest w was coś co mi duszę smętni,
I każe głowę od was precz odwrócić,
I skłonić czoło w zawstydzeniu drżącem,
Przed tem, co skokom waszym świeci, słońcem."

Ale niech chętny czytelnik zwróci na to uwagę, że tym wypowiedzeniom autorki nie towarzyszą nigdy przekonywujące rozumowania, ale że

jak do poezji i do natury, jak do pieśni i ptasząt tak i do ludzi odnosi się zawsze tylko tą właściwą sobie intuicją i wyczuwaniem siebie jak i otoczenia. Konopnicka nie znosi długich refleksji, dyskusji albo morałów, jest tem czem ją stworzyła natura, jej geniusz i okoliczności życiowe; czem innem ani chce być ani byćby mogła.

Tę niechęć do ludzi posuwa tak daleko, iż lęka się już za życia tego o co o niej pisać będą po jej śmierci.

"Ale się lękam tak jak Mojżesz trądu,
Że po mej śmierci jakaś dłoń Judasza,
Zacznie artykuł od słów: Znana nasza,
— — — — — — — — — — — — —
Znana? Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka,
Coby mi w oczy powtórzył to słowo
Tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka.
Znana "nasza." O nędzna wymowo,
Jakże ty jesteś od prawdy daleka!
Ten wiatr i obłok, lecący nad głową,
Więcej wam znane i więcej wam krewne,
Niż ja, niż serce moje smutne śpiewne.
Czy widzisz kamień, leżący u drogi,
Którą chodziłam nieraz zadumana?
Czy widzisz przy nim te tarnie i głogi,
Których kwiat blady we łzach stoi zrana?
Czy widzisz gaj ten, te leśne rozłogi,
Kędy się chwieje brzoza rozpłakana?
Ta brzoza, gaj ten i to kwiecie z głazem,
Lepiej mnie znają, niż wy wszyscy razem."

"Imagina" to niejako spowiedź autorki z tej tęsknoty do natury i lęku wobec ludzi. Jak niegdyś Adam Mickiewicz tak teraz Konopnicka niczego więcej nie wyczuwa nad słowa Mistrza swe-

go w "Odzie do Młodości." Bez serc bez ducha wy szkieletów ludy . . . itd. Są w tym poemacie Marii Konopnickiej postacie jak Imagina i Migistelejda niby dwie boginie, jedna będąca miłością i snopem uroków, druga złym duchem nienawiści, chłodu, dumy i rozterki. Imagina to uosobienie piękna i dobra budzące czar miłości w pseudobohaterze tego poematu, Lucylu, ale miłość ta krótką jest jak życie Imaginy.

Niby anioł dobra znika, zostawiając po sobie panowanie nad duszami ludzi Migistelejdzie, uosobienie fałszu i nienawiści. Niema w tych postaciach żadnego wykończenia z krwi i kości, są to jakby cienie-duchy z obrazów Boticellego. Za ubogi treścią poemacik ów owiany jest jakąś mistyką osobistą, którą zrozumieć dopiero można patrząc nań z punktu widzenia duszy Marii Konopnickiej.

Bo jak mówi słusznie w przedmowie do Imaginy Grzymała Siedlecki: "Magiczne samowładztwo języka i rymu zda się czasem zagrażać w tym poemacie wewnętrznej treści utworów. Lśniąca strofa staje się częstokroć podobną letnim godzinom dnia południowego, kiedy przesycone słońcem powietrze aż zaciera kontury materialne."

Dla mnie "Imagina" jest pełną treści, bo odtwarza i odsłania w sobie całą duszę Marii Konopnickiej, która staje przed nami jak żywa, wraz ze swoim światopoglądem. A świat ten był dla niej samą istotą ducha, w całej potędze jego doskonałości w przyrodzie i wartościach moralnych w człowieczeństwie.

Przeszła przez życie szukając tych uroków boskości, wniebowzięta ile razy szczęśliwy zespół w naturze albo w niekłamanej tęsknocie skrzyw-

dzonej duszy ludzkiej do szczęścia zbliżał ją do nich, albo szła smętna i lodowo oziębła, ile razy przyszło przyjmować uchem udział w wypowiadaniach się dzikich żądz ludzi bez ducha.

III.

Dwie mieliśmy sławne kobiety w Polsce w chwili gdy się pojawił talent Konopnickiej. Starszą z nich była poetka, Jadwiga Łuszczewska, pisząca pod pseudonimem Deotymy; młodszą — Eliza Orzeszkowa. Bliższą Konopnickiej była Deotyma jako, że pisała przeważnie wierszem. Ale między nastrojem ducha, sposobem myślenia i wypowiadania się dwu tych kobiet różnych generacji, był ogromny odstęp. Deotyma, należąca do minionej epoki, posiadała wszystkie cechy przejrzałości poetyckiej. Wiersz jej był twardy, suchy jak liść jesienny a nie dźwięczny, siłą i wiosną tchnący jak wiersz Konopnickiej. Myśl u Deotymy przyoblekała się w sztuczne formy uczoności i uczuciowości, Konopnickiej myśl bieży szybko nim się w słowa złamie, zdradzając potęgę i moc ducha. Główny zaś przedział między niemi stanowiła tendencja. Deotyma była arystokratką ducha; Konopnicka wieszczką pracującą na usługi ludu i Ojczyzny. Szanowała pracę rąk ludzkich, wiedząc o tem doskonale, że wszelkie bogactwo i uciechy światowe biorą swój początek w tem zaparciu się siebie robotnika i rolnika dla zdobycia grosza na utrzymanie rodziny. . . . Stąd w jej wierszu ta dziwna energia i prężność ogołocona z wszelkiej sentymentalności i melancholii ile razy chodziło o obronę nędzy i pracy. Nawet pesy-

mizm jakiego mnóstwo skaźników w jej pracach, nie był pozbawiony podkładu z hartu ducha, który zamiast się rozkoszować smętkiem, szuka w nim inicjatywy do stwarzania znoszących go warunków. A nie jest ona nigdy sztuczną, egzaltowaną ale zawsze szczerą i do czynu ducha gotową. Wie zawsze czego chce i tak sobie życie układa, ażeby nie marnować a rozwijać genialność, jakiej jej udzieliła natura. Szuka np. gorliwie spokoju, bo on jest najlepszym przewodnikiem pracy a nie łez albo rozpacznych wynurzeń. Ale mieszkając po dużych miastach, gdy nie może go zdobyć, przeprowadza się po kilka razy i więcej do roku, dokąd nie znajdzie odpowiedniego zakątka dla swej twórczości poetyckiej.

"Nad korony królów jest mi
Spokój.
Skarb najwyższy na tej ziemi
Spokój.
Wielki — głębi, cienia, woni pełen,
Co przeciąga lasami mrocznemi
Spokój.
Senny, tkliwy, gwiaździsty, bezdenny
Który niesie noc pióry cichemi
Spokój.

A jak spokój tak kochała światło, słońce i księżyc. Mówi ona:

"Poeto! Miej w głowie słońce
Żarem w pieśni tryskające . . .
Blask i światło twego czoła,
To przyszłości jasne gońce . . .
Ale w sercu, miesiąc cichy
Miej współczucia światło drżące,

Co się kryje jako perły
W morskiej trawie świtające . . .
Z tem obojem depcz wzgardliwie
A zwycięsko — żmij tysiące."

Te drobne poezje Marii Konopnickiej to nie słodkie jakieś rymy w posługach miłości i utajonych drgnień duszy, ale to często rycerskie rozkazy, dalekonośne hasła dla społeczeństwa a niemal i dla sił przyrody.

Jakże silnym i męskim jest wiersz do zbliżającej się burzy:

"Po nieskończoności drodze wal się
Oczyść świat!
Grom — podkowa twojej nodze, pędź tu
Oczyść świat!
Wstrząśnij ziemią, która drzemie
Wśród miazmatów w śmierci trwodze
Oczyść świat!
Bij co podłe i nikczemne,
Niepomszczone — pomścij srodze
Oczyść świat!
Uderz! Spłoń tu, w sercu mojem,
A jak feniks się odrodzę
Oczyść świat!"

Ta to siła, której szczytem jest przekazana nam "Rota," uczyniła ją kierowniczką narodu, pieśniarką, która jak niegdyś Pieśń Boga Rodzicy pobudza do czynu i samo-obrony słowami jakby ze spiżu:

"Nie damy ziemi skąd nasz ród."

A każdą najdrobniejszą perłę swej poezji opierała na potrzebach i miłości kraju. Chodziła po chatach, leczyła chore dusze, zanosząc wszędzie wyrazy otuchy a nie łez, miłości, a nie żalów i bolów.

"Oj ty chato, ty pochyła
Siłaś przeszła, zniosłaś siła,
Aż zaklęsnął dach Piastowy,
Nad niedolą twojej głowy,
Nad ciężkiemi sny. . . ."

Albo:

Precz mi z pieśnią tą majową,
Ze słowiczą a miłosną!
Dla szczęśliwych tylko wiosna,
Dla szczęśliwych kwiaty wiosną. . . .
Ty mi śpiewaj pieśń tę grzmiącą
Co na orlich skrzydłach lata. . . .

Utworami prozą zbliżała się Konopnicka więcej do E. Orzeszkowej, chociaż styl jej był dla Elizy wprost niedoścignionym. Powód tego bardzo prosty. Orzeszkowa pisała najczęściej dla przeprowadzenia jakiejś idei; broniła kobietę matkę, jak w "Marcie," albo stała na straży spraw żydostwa jak w "Eli Makowerze" itp. Maria Konopnicka nie znosiła sztucznego wprowadzanie do sztuki tendencji: pisała i tworzyła jak ptak śpiewa, bo musi.

Stąd proza jej wyraża w sobie wszystkie odcienia jej duszy intuicyjnej, wspinającej się na szczyty gór, wypowiadającej się z niechęcią wobec wszystkiego co małe, niskie i bezlitosne. Dla tego to myśl jej rozwija się szybko i swobodnie pod wrażeniem chwili, podczas gdy u Orzeszko-

wej jest ona do pewnego stopnia skuta w kajdany narzuconej sobie tendencji.

Ale Konopnickiej należy się nietylko pierwsze miejsce wśród kobiet. Sława jej nie blaknie wobec mistrzów słowa jak Bohdan Zaleski, Asnyk, Kornel Ujejski a nawet Adam Mickiewicz. Krytycy wprawdzie zarzucają jej skłonności retoryczne, jak i naśladownictwo Juliusza Słowackiego, uważając, iż to były powody dla których zdolności jej nie mogły się zbyt długo wybić z wadliwości początkującego talentu ale ani Piotr Chmielowski ani Giller nie mieli prawdopodobnie, pisząc o niej, jasnego pojęcia o walce, jaką staczała z życiem codziennem. Nie wiedzieli też, że talent kobiecy, aby się normalnie rozwijać, potrzebuje nietylko słońca i pieśni, ale tego współczucia losu i ludzi, bez których największe zdolności idą na marne.

Konopnickiej dodawał impulsów do wzrastania jej talentu sam tylko niedobór warunków życiowych, który z natury rzeczy opóźnił jej rozwój.

Z tego powodu również trudno jest osądzić czy pisała głównie ulotne poezje, dla tego, że był to talent tego rodzaju, czysto liryczny, czy też pisać musiała długi czas te drobne perełki, aby w ten sposób módz zaspakajać codzienne potrzeby wobec tak licznej rodziny.

Najwięcej wspólności miała niewątpliwie z Adamem Mickiewiczem. Dość przypomnieć, że napisała studium ze stu kilkudziesięciu wierszy prozą o jednej tylko "Odzie do Młodości" Mickiewicza, wypowiadając się z uwielbieniem dla genialności ducha i artyzmu formy swego mistrza. Wspólność ta zaznaczyła się jeszcze wyraźniej napisaniem "Pana Balcera," będącego rodzajem pendant do "Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza.

IV.

Najcelniejszym utworem Marii K., dla nas zwłaszcza Polaków w Ameryce jest "Pan Balcer," na którego treść złożyło się życie i pochód Emigracji polskiej do Brazylii. Pochód to pełen klęsk, zawodów i cierień jakby wyjętych z Piekła Dantejskiego.

Dziwnem się komu wydać może dla czego podejmując tak olbrzymią pracę na rzecz Emigracji polskiej, nie wybrała K. za środowisko dla niej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej ale Brazylię. Sądzę, że wynikło to z natury jej stosunku do Ludu polskiego, którego krzywdy i cierpienia więcej ją zawsze pociągały aniżeli ich radości i dobrobyt. A podczas gdy warunki gospodarcze w St. Zj. były już ile tyle normalne, Brazylia przedstawiała jeszcze straszny chaos stosunków dla emigracji polskiej. Mając ogromne obszary ugorów i lasów dziewiczych, skłaniała ona rząd brazylijski do wysyłania nowych osadników w te pustkowia i ugory dla spożytkowania pracy ich rąk na rzecz tej pierwotnej kultury rolnej. Stąd to Brazylia nie była ziemią obiecaną dla dążących do niej wychodźców ale była nieraz przekleństwem dla tych co się dali namówić sprytnym agentom do podróży w dzicz Brazylijską. Narażali się oni na straszną walkę z naturą, względnie na nędzę i zawody kontrastujące w sposób zbyt wyraźny z tem co owym łatwowiernym wychodźcom obiecywali n i k c z e m n i agenci. Zamiast obrazów dobrobytu i środków robienia pieniędzy, tam trzeba było dopiero karczować lasy, suszyć bagna, tępić szkodliwe zwierzęta, zanim się człowiek mógł

doczekać ile tyle znośnej egzystencji i jakiej takiej wygody, nie mówiąc już o zdrowotności albo wzbogaceniu się. Nie wiedząc o tem, szli ci wychodźcy śmiało i odważnie, spotykając się zamiast z polepszeniem losu, z nędzą i pokosem śmierci. Konopnicka słyszała i czytała dużo o tych strasznych zawodach ludu polskiego, a jako pieśniarka tego ludu, skierowała swoją twórczość nie ku tym co w dobrobycie pędzili dnie sieroce w St. Zj. ale raczej ku tym, co z bólu i nędzy wyciągali daremnie błagalne ramiona do litości i współczucia swoich ziomków. Słowem chciała ona być orędowniczką tego marnującego się za morzem elementu polskiego.

I to powód, dla którego pociągała ją więcej Brazylia, z której chłop polski wracał zbiedzony, wycieńczony, ze zmarnowanem mieniem a częstokroć z wielokrotną żałobą w duszy po stracie żony czy córki, aniżeli Stany Zj., w których prawa emigracji były już ile tyle uregulowane. Ale jak wiadomo K. nie była nigdy ani w Stanach Zj. ani w Brazylii, wyobrazić sobie przeto trudno jak mogła brać na swoje barki równie ciężkie do przeprowadzenia dzieło poetyckie. Zwłaszcza, iż nie spuszczała się ona ani na swoją imaginację ani na poetycką intuicję, ale podejmowała ogromne trudy i starania, a wraz z nią wiele innych osób, ażeby każdy szczegół oprzeć na bezpośredniem doświadczeniu drugich, jeżeli już nie na swojem własnem. Nikt sobie wogóle nie wyobraża co to była ta przygotowawcza praca do "Pana Balcera", kto nie przyjmował udziału w tych długie lata trwających peregrynacjach do innych miast Europy, względnie stacji kolejowych, gdzie gromadzili się i skąd jechali do Ameryki lub wracali z niej polscy wychodźcy. Takie większe lub

mniejsze grupy wędrowców odnajdywała K. w Monachium, Wiedniu, Gratzu albo Salcburgu, szukając z nich ludzi najpodatniejszych do akuratnych opowieści i zeznań. Każdy z tych typów jakie znajdujemy w Panu Balcerze jest z życia wzięty, i z natury opisany.

To systematyczne odwiedzanie emigrujących Polaków do Brazylii po dworcach kolejowych, podejmowane było w sposób metodyczny, tak, aby znaleść wśród chętnych gawędziarzy, prawdziwe oświetlenie wobec każdego szczegółu życia polsko-brazylijskiego. Jedni z wychodźców udzielali szczegółów względnie do zależności ich od rządu a zwłaszcza od prowadzących ich agentów, inni opowiadali o sposobie podróżowania, warunkach zdrowotnych i żywnościowych, o jakości pracy i płacy, o stosunkach pomiędzy sobą, inni o zgodzie lub zatargach rodzin ziemiańskich, o niedającej się uciszyć tęsknocie do kraju wobec strasznego wyzysku i teroryzowania bezbronnych. W pracy tej dotrzymywała K. stale towarzystwa M. Dulębianka. Konopnicka stawiała pytania i rozmawiała z ludźmi jadącymi lub wracającymi z Brazylii, M. Dulębianka notowała z jaknajwiększą dokładnością udzielane jej odpowiedzi, zachowując charakter stylu i wyrażeń lokalnych czy to mazurów, czy kaszubów, warszawiaków, kurpiów, płoczan i podlasiaków. Otrzymywała w ten sposób autorka najautentyczniejsze szczegóły już to ze samej podróży, już to walki o byt w nowej ziemi, już to typową konstrukcją językową poszczególnych grup wychodźców.

Jeden z krytyków jednak żałuje, dlaczego K. zamiast w Ameryce nie znalazła przedmiotu do swej epopei ludowej w kraju. Dziwne to narzucanie swoich pomysłów tworzącemu z wyjątko-

wego natchnienia autorowi. Zdaniem mojem pomysł chwytania rysów i charakterów ludzkich w drodze do Ameryki był genialnym, wniósł on do literatury polskiej dzieło niezwykle wartościowe i aktualnością swoją nieśmiertelne.

Zebrany w ten sposób materiał uzupełniała M. K. czytaniem książek o Emigracji jak i wydawnictw o życiu brazylijskiem.

Trzy główne części składają się na Pana Balcera: droga wodą i lądem do obcej ziemi, pod przewodnictwem najmądrzejszego z gromady, którym był właśnie Pan Balcer. On jest tą główną postacią, która nam opowiada o dziejach i losach wychodźców.

Druga część Pana Balcera to straszny obraz zawodów, nieszczęść i klęsk różnego rodzaju, stanowiących straszny kontrast rzeczywistości do tego co snuła przed wymarszem złota wyobraźnia.

Część trzecią stanowi powrót rozbitków do ziemi ojczystej z resztkami zdrowia i mienia. Komu ich brakło . . . pozostał; wracali ci, których miłość do roli ojczystej była tym magnesem tworzącym cuda: szli na pół żywi, aby tylko wyzionąć ducha na polskiej ziemi zamiast na macoszej glebie.

W opisaniu samej podróży widnieje szczególniejszy artyzm z jakim radaby autorka jaknajwierniej odźwierciedlić to uroku pełne polonizowanie przez wychodźców każdego wrażenia i wyczuwania rzeczy sobie obcych i znamiennych. Lud ten nasz kochany, żyjący na statku, patrzy na wszystko przez szkła swoich przyzwyczajeń i upodobań ojczystych. A ujmuje autorka te ich myśli i wynurzenia w taki czar poezji, że kto nie czytał tej pierwszej części Pana Balcera nie może

mieć pojęcia o genialności jej, jak i o wartości tej epopei ludowej. Jest to rozpaczna pielgrzymka o chleb, podobna do wędrówki ptaków za ciepłem, albo ryb szukających najlepszego zakątka dla składania swego płodu.

Pełnym pesymizmu i najrozmaitszych rozdźwięków jest obraz życia w Brazylii. Tyle tam tragedii serc, tyle łamania się i gruchotania uczuć i stosunków rodzinnych, taki pokos śmierci pod cieniem bezprawia, że wyczuwa się, iż z takiego posiewu bólu i cierpienia musi wyrość coś wielkiego, coś jakby dalekie echo . . . wyzwolenia Polski . . . za tyle męki, za tyle krzywdy ludzkiej. Bo nie dość na tem, że jako rolników zapędzano nasz lud bezbronny w bezludne ugory i dziewicze lasy zmuszając go do karczowania tych lasów i narażając ich na braki wszelkiego rodzaju, ale jeszcze z powodu nieznajomości języka opętano umysły i zasoby naszych wędrowców w straszną sieć wyzysku, rabunku i nadużyć. To też śmierć kosiła słabszych, silniejsi zaś żyć musieli w stokroć gorszych warunkach niż te jakie były ich udziałem w kraju. Stąd ciągła tęsknota i wyciąganie rąk do powrotu, którego doczekała się maleńka zaledwie garstka całej tej gromady. I oto jak opowiada Pan Balcer o tym ich powrocie:

"Idą. Duch świszczy. Wychudłe i blade
Twarze. Pod węzełkami idą zgięci,
Stopy ich broczą krwią. Tu więc ja kładę
Rękę, w te ślady w te krwawe pieczęci
Iżby nabrała koloru tej męki,
Choć wiem, że nigdy nie zmyję już ręki."

Albo jakże pełen miłości matki ziemi jest ten powrót:

"Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza
Coś z pierworodnej stworzyła nas gliny

— — — — — — — — — — — — —

Młotami walić będziem w twojej kuźni,
Sochą w rozświtach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyi rozluźni,
Aż buchni z ciebie ogień utajony.
"Serca się nasze pod stopy twe ścielą
Polsko, jaką cię nie widziały duchy . . .
Ty wyjdziesz srebrna . . . łów naszych kąpielą,
Wymyta, strojna w zbóż naszych rańtuchy
Pola się twoje wiosną rozweselą
Ludów! Ty cała w słoneczne wybuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie . . .
. . . Idziemy, matko! Idziemy do ciebie."

Tu intuicja graniczy już niemal z jasnowidzeniem "wyzwolenia Polski."

Tę to bezbrzeżną mękę Ludu polskiego, ten niedosłyszany przez swoich jęk i krzyk bólu wychodztwa do Brazylii, opisała M. K. z olbrzymią intuicją i miłością dla tego Ludu roznoszącego w dalekie stepy i rozdroża brazylijskie miłość dla swej ziemi rodzinnej oraz skargę życia w niewoli.

Pan Tadeusz Adama Mickiewicza i Pan Balcer Marii Konopnickiej to jak dwa wieszcze słupy graniczne w literaturze polskiej: z jednej strony to Epopeja szlachecka — Pan Tadeusz, z drugiej to Epopeja Wychodźtwa Ludu Polskiego — Pan Balcer. Dwa te utwory porównywano ze sobą, podnosząc pytanie, któremu z nich należy się pierwszeństwo. Ale nie czas jeszcze i nie mnie odpowiadać na to pytanie.

Pewnem natomiast jest, iż czem była Iliada i Odyseja Homera dla starych Greków, tem jest i będzie po długie czasy Pan Tadeusz Adama Mickiewicza i Pan Balcer Marii Konopnickiej dla nas Polaków.

Maria Konopnicka urodzona w r. 1846, zmarła w r. 1910. Spoczywa ona tymczasowo na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

DR. ANNA WYCZÓŁKOWSKA.

NASZ SZTANDAR . . .

Nasz sztandar tkała żywa moc,
Co śmierci się nie lęka!
Przez chmurne dnie, przez głuchą noc
Tkała go duchów ręka.
My jej drgającą snuły nić,
Z serca, co żarem bije . . .
Ten tylko naród godzien żyć,
Co czuje sam, że żyje!

Nasz sztandar powiał w jasność zórz
Na drzewcu z tego drzewa,
Co korzeniami wszerz i wzdłuż
Wrosło w tej ziemi trzewa.
I nikt i nic, przez żaden trud,
Nie zerwie węzła tego,
Co z ziemią wiąże wierny lud,
A ziemię z duchem jego!

Nasz sztandar jedno hasło ma
I jedno zawołanie:
— W jedności, w pracy żyje, trwa,
Jest z klęski — zmartwychwstanie.
My go z czcią niesiem w życia chram
Od ziemi, od macierzy . . .
— Ten tylko wejdzie do jutra bram,
Kto w jutro swoje wierzy!

WĄTPIĄCYM . . .

O, nie mówcie, o, nie wierzcie,
Że Ojczyzna w grobie!
My ją żywą, my ją całą,
Ducha Polski, Polski ciało,
Mamy, bracia, w sobie.

O, nie mówcie, o, nie wierzcie,
Że Polska zabita!
Ona dyszy, ona rośnie
W każdej borów naszych sośnie,
W każdem ziarnie żyta.

Ona złoci się na łanie
W każdym pszennym kłosie,
Kwitnie w kwiatach naszych błoni,
W jasnym sierpie łąką dzwoni,
Błyska w jasnej kosie.

Ona żyje w tej siermiędze,
W tej siwej sukmanie,
Co na piersiach naszej wiary
Racławickiej dojdzie miary,
Gdy chłop w polu stanie.

W tym Piastowym żyje pługu,
Co nam ugor orze,
W modłach żyje tego ludu,
Co czekając z nieba cudu,
Woła: "Święty Boże!"

W tej fujarce rozśpiewanej
W wieczorowe cisze,
W stuletniego skazce dziada
W pieśni, którą matka składa,
Gdy dziecię kołysze.

Ziarno jutra ona sieje
Po czarnych ugorach,
Skowronkowe gniazda ściele,
Brząka w stare karabele
W naszych białych dworach.

O, nie mówcie, o, nie wierzcie,
że Ojczyzna w grobie!
My ją żywą, my ją całą,
Ducha Polski, Polski ciało,
Mamy, bracia, w sobie!

WARSZAWIE . . .

Na każdy dzień, na każdy czas
Tyś nam jest domem ducha;
I żywy nam jest każdy twój głaz,
I każdy mówi, słucha. . . .

Mówi tym szeptem, co jest grom,
Skroś ciszy gdy rozbrzmiewa,
Słucha, jak wtórząc naszym łzom,
Wiślana fala śpiewa. . . .

Przeorał bój, przeorał znój
Każdą piędź twojej ziemi,
A my na siew dawali krew,
Kośćmi ją siali swemi.

Rodzajne ziarna przysnuł pył
W serdecznej twojej glebie,
Aż wzejdą z tajnych twoich żył
Skroś ciebie i dla ciebie.

Czy wzejdą późno czyli wczas,
Czy nocą czy świtaniem,
Zawsze ty wiernych znajdziesz nas,
Zawsze przy tobie staniem.

I zbudzi wiernych twoich dzwon,
Nawet zastygłe w grobie;
I buchną serca w jeden ton
Z Wisłą, co śpiewa tobie.

Ty pełna jesteś rodów i gniazd
Skąd żywe idą moce,
Nad tobą świt wróżebnych gwiazd
I w najczarniejsze noce.

PĄTNIKOM . . .

Tam, gdzie się jasna świeci Częstochowa,
Obróćmy oczy za Polskę w modlitwie;
Tam Matka nasza, tej ziemi Królowa,
Zaginąć nie da ni Polsce, ni Litwie. . . .

Wojska anielskie stoją tam na straży,
Korony polskiej pilnując dniem, nocą;
A ona, Pani o żałosnej twarzy,
Ziemię tę naszą utula sierocą.

Jak nas broniła przed wieki od Szweda,
Co szedł na kraj ten z wojskiem nazbyt srogiem,
Tak też nas dzisiaj obroni i nie da,
W płaszcz swój gwiaździsty skrywszy nas przed wrogiem.

O ZIEMIO! . . .

Gdzie jest ten grzmot wiosenny i gdzie jest ta burza,
Co wstrząśnie twe doliny i twoje podgórza,
O ziemio!

Gdzie są te błyskawice, co rozświecą ciemnie
Dni przyszłych, których brzasku świat czeka daremnie,
O ziemio!

Gdzie nawałność, co przejdzie po tobie wichrami
I zetrze z ciebie krzywdy i krew, co cię plami,
O ziemio!

Gdzie piorun, który zniszczy bezprawie twe stare
I na ołtarzach ducha zapali ofiarę,
O ziemio!

Gdzie oczy, co oglądać będą twoje rano,
Gdy wyjdziesz w tęczach światła, łez dżdżami spłukaną,
O ziemio!

I gdzie ta, która pieśnią wybuchnie swobody,
Lutnia, milcząca dzisiaj pomiędzy narody,
O ziemio!

STAREJ LITWIE NIE NOWINA . . .

Starej Litwie nie nowina
Chować wielkich na swem łonie;
Gdy urodzi Litwa syna,
To go widać aż w Koronie!

Zaraz bo się bierze z młodu
Przerość duchem te Ponary,
I wybłysnąć dla narodu
Zaprzysięgłej ogniem wiary!

I już jedna miłość płynie
Przez te Orły i Pogonie . . .
Choćbyś nie chciał — to, Litwinie,
Przez pół sercem tyś w Koronie!

Wielka przeszłość, nieszczęść doba,
Wielkie pieśnie, duchy wrzące,
Wielka radość i żałoba —
Wszystko wspólne nam, jak słońce.

Ach, tak wspólne, jak ta czara,
Co obchodzi kolej bratnią . . .
Stary sojusz, wierność stara,
Kroplą dzieli się ostatnią!

Ach, tak wspólne, jak ogniwa
Więźniom, skutym u łańcucha . . .
Targnie jeden — rana żywa
U drugiego krwią wybucha!

CHOĆ NA CUDZYM MY WYRAJU . . .

Choć na cudzym my wyraju
Zrodzone pisklęta,
O ojczystym, miłym kraju
Każde z nas pamięta!

Polska krew w nas płynie,
Polskie serce bije,

Polska mowa — nasza mowa,
Choć w cudzej krainie!

Tam za morzem zorza świeci,
Świeci jasna gwiazda . . .
Nie zapomną polskie dzieci,
że tam ojców gniazda!

Polska krew w nas płynie,
Polskie serce bije,

Polska mowa — nasza mowa,
Choć w cudzej krainie!

Tam nad Wisłą, Wartą, Bugiem
Stary kraj nasz leży,
My dla niego pracy pługiem
Dział zdobędziem świeży!

Polska krew w nas płynie,
Polskie serce bije,

Polska mowa — nasza mowa,
Choć w cudzej krainie!

Nie płaczcie wy, ojce, matki,
Patrzący za morze!
Nową Polskę wam tu dziatki
Stworzą w imię Boże!

Polska krew w nas płynie,
Polskie serce bije,

Polska mowa — nasza mowa,
Choć w cudzej krainie!

Może przyjdzie ta godzina,
że kraj nas zawoła,
I — żołnierska my drużyna —
Stawim wrogom czoła!

Polska krew w nas płynie,
Polskie serce bije,

Polski wrogi — nasze wrogi,
Choć w cudzej krainie!

NA JEDNOŚĆ TUŁACZY . . .

Kiedy ocean oddzielił nas wielki
Od matki naszej, ziemi-rodzicielki,
Każdy z nas uniósł za góry, za rzeki
Cząstkę Ojczyzny w sercu w świat daleki.

Ta cząstka, bracia, to język nasz stary,
To miłość kraju, cześć ojców i wiary,
To łza gorąca, co z oczu wytryska
Na domowego wspomnienie ogniska.

Jak pielgrzym w puszczy, co niosąc kęs chleba,
Żyje nim, ufny wzrok wznosząc do nieba,
Tak my w tułactwie naszem do tej chwili
Tą cząstką Polski w każdem sercu — żyli.

Ona karmiła nas w tęsknoty głodzie,
Przez nią my czuli, że tkwimy w narodzie,
W niej my i pacierz i chrzest mieli dziatek
I wijatyku śmiertelny opłatek!

Ale czas przyszedł, gdy cząstek tych chleba,
Duszy sił nowych, na życie nam trzeba,
Gdy swojska wiara i swojskie nam słowo
Polskę ma stworzyć tutaj, Polskę nową!

Ale czas przyszedł, by stojąc pod znakiem
Sztandarów swoich, lud czuł się Polakiem,
By znał, że tutaj na placówce stoi
I że na niego z kraju patrzą swoi!

Czyż bezimienni mamy i bezdomni,
Obcy swym dzieciom, a więc — bezpotomni,
Nie przekazawszy ojczyzny dla syny,
Ginąć w rozsypce wśród obcej krainy?

Mamyż, jak strugi marne, życia cieki
Wsączać po jednym do obcej nam rzeki.
Bogacić cudze ziemie, cudze grody
I gubić w morzu obczyzny swe wody?

Mamyż nadziei wyrzec się i wiary?
Maż zapomniany być pacierz nasz stary?
Mamyż zatonąć w tej obcej nam fali,
Co rozproszeńców zatopi, obali?

Razem, o bracia! To życia jest hasło!
Razem, by imię Ojczyzny nie zgasło!
Razem! Niech serca uderzą radośnie
Dla Nowej Polski, co tutaj z nas rośnie!

Oto już Dom nasz jest w duchu poczęty,
Oto już stoją jego fundamenty . . .
Do pracy! Niechaj każdy nosi cegły
Na gmach Ojczyzny — jeden, niepodległy!

Lud bez ojczyzny — drzewo bez korzeni,
Lada je wicher w garść wiórów zamieni;
Lud bez ojczyzny — to łódź jest bez wiosła,
Którą gdzieś burza na skały poniosła.

Bezsilni, słabi — kiedyśmy w rozbiciu,
Dziś ku nowemu połączmy się życiu:
Jeden tu stwórzmy naród, jedno plemię,
Jeden lud polski, jedną polską ziemię!

"Tam — wyrzekł Chrystus — gdzie usty czystemi
Dwóch mnie wyznawa — i ja będę z niemi".
Tu — tysiąc głosów i serc tysiąc bije
Polski imieniem, więc Polska tu żyje!

Tu jest Ojczyzny duch, który nas trzyma,
Złączonych w jedność ramieniem olbrzyma;
Tu jest Ojczyzny duch, którego ciało
Z nas się poczęło i w nas będzie trwało!

O Polsko-matko! Błogosław nam z dala
W ten dzień, co serca i dłonie zespala
W świętą rocznicę pamiętnej tej chwili,
Gdy się Polacy w lud jeden złączyli!

. . . Wiejcie, sztandary! Wiej, Orle nasz biały!
Wiedź do jedności, jak wiodłeś do chwały!
I nad tym nowych gwiazd naszych obszarem
Serc bohaterstwem przyświecaj nam starem!

ŚWIĘTO PIASTA . . .

Piasta dzisiaj w Polsce święto!
Na błękitach złoty pług
Zaoruje niwę zżętą . . .
Siewacz, z ręką wyciągniętą,
Przestępuje wieku próg.

Jasność za nim brózdą świeci
Przez niebieski nawskroś sklep;
Złote ziarno w brózdę leci,
Ziarno czyste, bez tej śnieci,
Co nam niegdyś truła chleb.

Bez tej śnieci i kąkolu,
Co wybijał się nad kłos,
Siew na naszem pada polu,
Oczyszczony wiekiem bolu,
Wiekiem łez i krwawych ros.

Szczęść ci, Boże, pługu stary!
Wykuł ciebie twardy młot
Z jasnych mieczów naszej wiary,
W ogniu męki i ofiary
Zahartował ludu pot!

Szczęść ci, Boże, na tej roli,
Gdzie się nasza bieli kość,
Na tej roli, gdzie nie z soli,
Ale z tego, co nas boli,
Przyszłość Polski będzie rość!

Szczęść ci Boże na zagonie,
Gdzie wolności upadł siew . . .
W Rusi, w Litwie i w Koronie
Jeden żar dziś w sercach płonie,
Jeden ducha idzie wiew!

Piasta dzisiaj mamy święto,
Święto polnych zbóż i traw . . .
Polska zrzuca wieku pęto
I prawicą wniebowziętą
Pisze kartę swoich praw!

Nie pisze ich zbrojną ręką
Na granicy ziem i mórz,
Ale nowych dni jutrzenką,
Ale bratnich ust piosenką,
Skowronkowem hasłem zórz!

Poniesiemy je przez wieki,
Jak już nieśli przez sto lat,
Gdzie Piastowych pszczół pasieki
Rozsłonecznia świt daleki,
Do tych czarnych pól i chat!

Z braćmi we lnie i w siermiędze
Wznieśmy toast dziś za kraj,
Wierni prawu i przysiędze,
Zapisanej w ludów księdze
Wierni hasłu: "Trzeci Maj!"

TRZECI MAJ . . .

. . . Boże daj! Boże daj;
By zabłysnął Trzeci Maj!

Stu chorągwi szumami nakryty,
Stu chorągwi z przesławnych pól bitwy,
Biały Orzeł wzlatuje w błękity
Ponad ziemie i Polski i Litwy.

Przez wiek cały on dyszał w pomroku,
Przez wiek cały bił skrzydłem o ściany;
Dziś polskiemu zjawiony znów oku,
Srebrzyścieje nad pola, nad łany!

Przed nim słońce wolności się pali,
Co ma kiedyś zabłysnąć nad światem;
Pod nim lance i kosy ze stali,
Powiązane kłosami i kwiatem.

Blask koronny od niego uderza . . .
To nie piorun — to jasnych dni zorza!
Świt wielkiego, nowego przymierza,
Świt braterstwa od morza do morza!

To narodu w okowach dziś święto,
Ludu w kaźni i w pętach łańcucha!
Choć nam prawo i wolność odjęto,
Nie zdołano nam odjąć ich ducha.

My zagładzie i nocy oddani,
My bez berła, bez głosu, bez siły,
Triumf światła święcimy w otchłani,
Triumf życia — pod głazem mogiły!

Sto lat twardym smagano nas biczem,
Sto lat w dusze wlewano trucizny,
A my trwali i żyli tym zniczem,
Co się zowie miłością ojczyzny.

A my trwali i żyli łez chlebem,
Hostią wspomnień i ofiar kielichem,
I pod chmurnem modlili się niebem
I po haśle wołali się cichem.

Sto lat gnani po śniegach Sybiru,
Tęskną myślą o Polsce my żyli,
I — tułacze — garść ziemi, szmat kiru
Brali na pierś, relikwią nosili.

I zobaczył świat dziw ten nad dziwy,
Który przyszłe stulecia zdumieje:
Naród — trzykroć zabity — a żywy!
Pogrzebany — a w grobie mężnieje!

I zobaczył świat wolność — w niewoli,
I skowronki nad śnieżnych grud polem,
I wschodzący siew życia — na roli,
Zagłuszonej śmiertelnym kąkolem.

. . . . . .

O, ty Polsko, Ojczyzno ty miła,
W katakumbach, w podziemiach żyjąca,
Wiesz-że, skąd ci to światło, ta siła,
Co przestrachem pierś panów twych trąca?

O, nie z twojej królewskiej purpury,
Rozerwanej na troje dziś w strzępy,
O, nie z klątwy, rzuconej pod chmury
Na kraczące u piersi twej sępy!

Całość twoja — to całość jest ducha,
Niepodzielna w wieczystej swej jedni . . .
Siła twoja — to świt, co wybucha
Z twego krzyża, nim świt się rozedni!

Twój fundament, twój zrąb i opoka
Tkwi w najgłębszej powołań twych treści . . .
Tyś nosiła koronę proroka,
Ty dziś nosisz koronę boleści!

Bo prorokiem tyś była przed wiekiem
I Chrzcicielem pomiędzy narody,
Kiedyś chłopa uznała człowiekiem
I te kmiece uczciła zagrody.

Boś prorokiem ty była dni onych,
Głosząc prawo dla chłopskiej siermięgi
I wpisując twych synów skrzywdzonych
Do dziedzicznej wolności twych księgi.

Odetchnęły twe sioła i grody
Tchem szerokim przed ziemią i niebem;
Błysnął ranek majowej pogody,
Brat się z bratem przełamał praw chlebem.

Rozegrzmiały imieniem twem łany,
Zapałały i serca i lice,
A lud polski, twym synem nazwany,
Dał ci Grochów i dał Racławice!

Hojnie życiem ci płacąc i kosą
To uczczenie warsztatu i chaty,
Gołą ręką i stopą brał bosą
Wymierzone w pierś twoją armaty!

O, ty Polsko, Ojczyzno ty miła!
Tyś się w lasach i w zbożach po rosie
Prostym sercom i oczom jawiła,
Na miesięcznej, na chłopskiej tej kosie.

Kiedy szabla już w ręku omdlała,
Kiedy szczerbców nie dźwigły już karły,
Tyś nam błysła znów jedna i cała,
Gdy cię kosy krakowskie podparły!

. . . . . .

Lecz nad ziemią zmrożoną i zgasłą
Nadto rano twój śpiewał skowronek . . .
Nadto wcześnie rozbrzmiało twe hasło,
Nadto blasków w mrok rzucił twój dzionek!

Mogły cierpieć więdnącą cię wrogi,
Mogły patrzeć na twoje zaćmienie;
Lecz twój rozkwit obudził ich trwogi,
Lecz twe światło zbudziło ich drżenie.

Gdy ujrzeli wolności wschód złoty
Faryzeje, królowie i skryby,
Krzyż ci dali troistej Golgoty,
Dali taczki, i knuty i dyby.

Do twych piersi ściągnęli swe pięści,
By ci serce to wyrwać bojące,
I podarli twą szatę na części,
Twoją szatę — twe ziemie kwitnące.

Ale w owej zbratania się chwili
Tkwił duch, wiecznie i żywy i młody . . .
Jego cud to, iżeśmy przeżyli
Te katorgi, kajdany i lody!

Jego cud i jego potęga,
że nam weszła tych wielkich dni zorza,
Co rozblaskiem mrok życia przesięga,
Rzuca tęczę — od morza do morza!

Jego cud to, że w całej ziemicy,
Co się zwała przed wieki Piastową,
Niema jednej dziś suchej źrenicy,
Na Ojczyzny zaklęcie i słowo. . . .

. . . . . .

O, ty orle, ty orle nasz biały,
Na dalekie leć niwy i pola,
Mów tym sercom, co we łzach omdlały,
że się kończy wiekowa niedola!

AVE, PATRIA!

Ojczyzno moja, bądź błogosławiona,
I błogosławion owoc twego ducha!
Oto w błękity wyciągam ramiona,
Gdzie Bóg mnie słucha. . . .
Majowe słońce promieni się w niebie —
O Polsko moja, błogosławię ciebie!

Nie, iżeś kłosem pola me okryła,
Skowronki moje żywiąca za morzem,
Nie, iżeś, ziemio, chleby mi rodziła,
Szumiała zbożem;
Ale iż duch twój rośnie mi w tym chlebie,
Ojczyzno moja, błogosławię ciebie!

Nie, iżeś orły chowała mi białe,
Gniazda mojego prastare obrońce;
Lecz że te orły za wolność i chwałę
Latały w słońce
I nie zniżyły lotu, aż w błękity
Ostatni powiał, jak sztandar przebity!

Nie, iżeś miecze dała mi i zbroje
I jasnym hełmem nakryła mi głowę,
I między ludy wiodłaś hufce moje
Błyskawicowe;
Lecz żem miecz dźwigał w wolności potrzebie,
Ojczyzno moja, błogosławię ciebie.

Nie za to, ziemio, iżem rosnąc w siły,
Rozparł ramiona pomiędzy dwa morza,
Lecz że nad moje wzejść musi mogiły
Zmartwychwstań zorza . . .
Za to, żeś powiew narodów wolności
Siała na polach z praojców mych kości!

Nie przeto, Polsko, ciebie błogosławię,
Żeś zamki moje dźwignęła i grody,
Gdzie, jak za słońcem ciągnące żórawie,
Obce szły rody;
Lecz żeś przybysze tuliła do ziemi,
Braćmi ich czyniąc i syny twojemi.

Nie, iżeś mocne berłem miała króle,
Lecz duchem proste i sercem naczelne,
Co gromadziły w swą pieczę, jak w ule,
Drużyny pszczelne
Prostaczków, które miód swej pracy niosą
Pod troistego potu krwawą rosą!

Nie, iżeś wzniosła z modrzewiu me dwory
I osrebrzyła je w jaśminów kwiaty,
Lecz że o miedzę legły twe ugory
I czarne chaty . . .
Że jednej lipy nakryłaś mnie szumem
Z ludem oraczów i siermiężnym tłumem.

Za to, żeś w takie wodziła mnie boje,
W których przed szable miesięczne szły kosy;
Za te w lnach siwych bohatery twoje,
Za twój huf bosy,
Za twe rycerstwo o polnej buławie
Zbóż, trzykroć, Polsko, ciebie błogosławię!

Nie, iżeś lutnię ostruniła swoją
W blask nieśmiertelny i w promienie chwały,
Iż pieśni twoje w pośród ludów stoją,
Jak posąg biały . . .
Lecz, że pieśniarzom mówią u nas "Bracie!"
W zapadłem siole i w piastowej chacie. —

Za to, żeś ślepe lirniki wodziła
Skroś po kurhanach, po zetlałych polach,
Że nam ze słowa duch rosnął i siła,
We łzach i bólach,
że pieśń wolności dziatki nam kolebie
Do snów o tobie — błogosławię ciebie!

Nie za to ziemio, że pod armat paszczą,
Gdzie tylko widne Orły i Pogonie,
Gdzie Polak walczy, tam narody klaszczą
W spętane dłonie;
Lecz, że do ludów krwawą pijem czaszą:
Za naszą wolność — i za wolność waszą!

Bowiem nie wzejdzie gwiazda jutrzenkowa,
Ni zórz przed słońcem otworzy się brama,
Aż plon swój wyda ta rola grobowa,
Ta Chaceldama . . .
A oto ludy, co dziś ducha kuszą,
Na hasło z mogił czekać muszą!

POWITANIE ZIEMI . . .

Bądźże ty nam pozdrowiony,
Ty ojczysty, żytni łanie!
Serc tułaczy ci miliony
Niosą powitanie!

Czy nad tobą grzmi zawieja,
Czy zbożowych szumów granie,
Tyś nam miłość, ty nadzieja,
Nasz ojczysty łanie!

Im cię sroższa dola gniecie,
Tem gorętsze serc kochanie . . .
Krzyż twój — nosim gdzieś po świecie,
Drogi, polski łanie!

Aniś możny twym ogromem,
Ani twoje królowanie . . .
Lecz tyś ojców naszych domem,
Nasz rodzinny łanie!

Jeszcze słonko ci nie świeci,
Lecz już świtu zwiastowanie
Z za mórz niesie ptak, co leci,
Nasz ojczysty łanie!

Co granice? Co podziały?
Póki w piersiach tchu nam stanie,
Pótyś jeden nam i cały,
Drogi, polski łanie!

Gdzieś od Warty, Buga, Wisły
Bratnich serc słychać pukanie . . .
— Oto więzy twoje prysły,
Drogi ojców łanie!

LITWIE . . .

Poprzysięgam ciebie, Litwo,
Poprzysięgam ciebie, Wilno,
Klątwą, pieśnią i modlitwą
Wskrzesitelną, nadmogilną,
Poprzysięgam ciebie, Litwo!

Zanim złamiesz pierścień krwawy,
Co twej wiary złotem błyska,
Idź na wielkie pola sławy,
Idź na wspólne bojowiska!
Przez okopy gdzieś, przez szańce,
Od Grunwaldu aż do Pragi,
Idź przez starych dziejów krańce
I miecz sądny trzymaj nagi.
Rozwal, rozkop te kurhany,
Stratowane pod kopytem . . .
Wygrzeb kośćmi dół usiany,
Przesiej prochy sądnem sitem.
Jeśli jedne się zostaną,
A zaś drugie wiatr pomiecie
Gdzieś, w krainę zapomnianą,
Gdzieś, w dziejowe pozaświecie;
Jeśli poznasz, które twoje,
Które zasię prochy nasze,
Potrzaskane jeśli zbroje
Poosobno szczękną lasze;
Jeśli własnym wichrem ducha
Rozszumią się twe sztandary,
Jeśli targnie duch łańcucha,

Bratniej broni, bratniej wiary;
Jeśli zerwą się Pogonie,
Wespół z Orłem co walczyły,
I roztętnią w pęd przez błonie,
Uciekając z tej mogiły;
Jeśli kość twoja zawoła,
Byś ją precz wziął z naszych kości —
Litwo — niech ci miecz anioła
Ciąć pomaga włość od włości!
Niechaj cięcie to śmiertelne,
Co ci znak da — przeniewierca —
Dzieli to, co nierozdzielne
Skroś krwawego ludów serca!

. . . . . .

Poprzysięgam cię, Wilijo,
Poprzysięgam ciebie, Niemnie,
Przez te serca, co ci biją
Płomieniście, a tajemnie,
Uderz falą w gród ten stary,
W wielkie duchów płomieniska!
Jeśli poznasz własne żary,
Co nie przeszły nam w ogniska,
Co nie przeszły w piersi nasze;
Jeśli zniczów twych ofiary
Nie uczciły duchy lasze;
Jeśli pieśń twoja natchniona
Nie hetmanką serc nam była;
Jeśli wieszczom twym Korona
Ducha swego nie ślubiła;
Jeśli my nie byli święci
Sakramentem twego ducha,
Jeśli żyli w niepamięci
Na twojego brzęk łańcucha;
Jeśli z tobą nie szli społem
W drogi śnieżne i tułacze,

Jeśli klękli przed aniołem,
Co nad tobą też nie płacze;
Jeśli mieli my modlitwę
Bez wspomnienia, co cię boli,
Jeśli ciebie, bratnią Litwę,
Zaparli my w własnej doli,
Jeśli tutaj w tej Koronie
Nie podnieśli my ci tronu
I twej pieśni na tym tronie
Nie oddali my pokłonu,
Nie oddali mu posłuchu,
Za królową jej nie mieli —
Daj miecz Litwie, ciemny duchu,
Niechaj w dwoje naród dzieli!

BUDUJMY MIŁEJ OJCZYŹNIE DOM . . .

Budujmy miłej Ojczyźnie dom,
Wolności dom i siły;
Każda pierś bratnia — granitu złom,
Z jednej rodzimej bryły.
Każda pierś bratnia — cegła na mur,
Dźwignięty mocą ducha,
A hasło nasze jedności chór,
Co wiarą w jutro bucha.

Niech dnie, co idą z wiecznych dróg
Zluzować czasów wartę,
Przez nasze odrzwia, przez nasz próg
Wstąpią na dziejów kartę.
Od fundamentu aż po szczyt
Otwórzmy światłu wrota,
Niech nam jutrzenny jarzy świt,
Niech wzmaga dech żywota!

Z wzrokiem utkwionym w oną biel,
Co nocy mrok przegania,
Patrzmy, o bracia, w jeden cel,
W cel wielki zmartwychwstania!
Cokolwiek czynim, czyńmy tak,
By przyszłość rosła z pracy;
Polska — to pion nasz i nasz znak:
Budujmy dom, rodacy!

NA WAWELU . . .

Cicho! — Cóż puste dźwięki, gdy serce rozważa
Najtajemniejszą świętość swojego ołtarza—
Cóż słowa? — Marne formy, w które myśl człowieka
Nędzę swojej nicości powszedniej obleka. . . .

Wy, któremi nazwana i miłość — i zdrada —
Wy, które bratobójca w modlitwę swą wkłada,
Spalone piętnem pychy, szału i boleści
Nieudolne tłómacze próżnej ducha treści,
Poco mi się na usta ciśniecie tak tłumnie
Przy tej wielkiej, dziejowej kolebce i trumnie? . . .
Nie rzeknę z was żadnego! — Jak u niebios proga
Milczenie tylko godnem otaczać jest Boga —
Tak ja, upadłszy twarzą na prochach tej ziemi,
Modlę się — myślę — czuję z usty zamkniętemi. . . .

FRAGMENT . . .

Ludzkość — jak blok marmuru wydobyty z ziemi,
Nie odrazu błysnęła kształtami wszystkiemi . . .
— Wiek po wieku — jak snycerz uznojony potem —
Rzeźbił kamienne rysy ciężkim swoim młotem.

Zrazu — stanęła, w zbroję zakuta stalową . . .
W ręku miała miecz nagi — na czole wawrzyny . . .
Czas bić począł walk ludów spiżowe godziny —
— Czemuż one zgłuszyły ciche ducha słowo?

Mistrz późniejszy na barki dał jej białe szaty —
W dłonie krzyż promienisty — a lilie we włosy . . .
Byłaby może świętą — i zbawiła światy —
Czemuż zagrzmiały klątwy — i buchnęły stosy?

Wstał wiek nowy — i młotem potężnym uderzył
Pierś ludzkości — i świeże formy się zrodziły;
Człowiek poczuł, że dawne ideały przeżył . . .
— Czemużby uczcić bielsze nie miał dosyć siły?

Dziś — w pół rozbity posąg stoi z twarzą białą,
Straciwszy greckich linii pogodne wymiary . . .
I nie wie — co pochwycić: krzyż czy miecz swój stary,
I zda się, że tak cierpi — jakby żywe ciało. . . .

O wieku! mistrzu twardy, co żelazną dłonią
Masz nadać tej postaci bladej kształt ostatni,
Rozpal jej gwiazdę wiedzy nad wzniesioną skronią,
A ramiona jej otwórz tak — jak uścisk bratni.

PO BURZY . . .

O Panie! Ty po burzy dajesz tęczę światom,
Ty podnosisz kielichy pochylonym kwiatom,
Rozwijasz skrzydła ptasząt i ostatnią chmurę
W rozjaśnionego słońca przystrajasz purpurę. . . .

Do jutra cicha wioska ochłodnie z przestrachu:
Ktoś wesprze zgiętą jabłoń, ktoś krokwie na dachu
I zanim młoda jutrznia z wschodu się wynurzy,
Szczęśliwi wsi mieszkańcy zapomną o burzy.

O Panie! Ty konieczne żywiołów niesnaski
Z oblicza ziemi ścierasz prawicą swej łaski
I nie zostawisz śladu klęski albo troski
W przejrzystych sferach ciszy, gdzie masz tron ojcowski.

Ach! czemuż w piersi ludzkiej, rozbitej od gromu,
Zamiast ciszy i tęczy jasnego pierścienia,
Pozwalasz, aby grzmiały, głucho, pokryjomu
Echa burzy duchowej, trujące wspomnienia?

GRUNWALD . . .

(Przed obrazem Matejki)

Z drogi, z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i z nicości

Cała krwawa,
Zmartwychwstawa,
Jak zwycięstwa duch!

Oto grzmiąc, jak orkan, leci
Zawierucha tych stuleci,

Co pod zbroją
Wrzące stoją,
Śledząc mieczów ruch. . . .

Uskrzydlona i pancerna,
Hasłom bratnim, jak śmierć wierna,

W pole klęski
Zastęp męski
Z różnych wiedzie dróg. . . .

I nie zgadnie wróg krzyżacki,
Czy go miecz dosięże lacki,

Czy go ramię
Czecha złamie
U Litwina nóg.

Stal goreje, oszczep chrzęści,
Topór warczy w chrobrej pięści . . .

Tam pierś naga
Tchnieniem smaga,
Nim dłoń zmierzy cios. . . .

Okrzyk walki w przestrzeń bucha;
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,

Rozmach ręki,
Zgrzyty, jęki,
W jeden zlewa głos.

Hej! . . . zapłata to odmienna,
Niż Dobrzyńska ziemia pszenna!

Krzywdy stare
Poza miarę
Wykipiały krwią. . . .

Precz z drużyną stąd służalczą!
Nieśmiertelni tutaj walczą!

W szczęku, w pyle,
Na tę chwilę
Kładą pieczęć lwią!

Któż prawnucze serce zmierzy
Z wielką piersią tych rycerzy,

Grzmiących w blasku,
W zgiełku, w trzasku,
Jako orłów ród. . . .

Kto dziś zdzierży takie boje,
Taką sławę, takie zbroje.

Drzewca stare,
żywą wiarę . . .
Kto dziś stworzy cud. . . .

Las zielony patrzy zdala,
Jak ta burza się przewala;

W krwi i w dymie
Wielkie imię
Dzień ten daje mu. . . .

Pył, co leci w błękit żywy,
Szum sztandarów, świst cięciwy

W dziejów karty
Niezatarty
Pomnik wpiszą chrztu.

Z drogi! Z drogi! . . . Któż dotrzyma
Rozpędowi sił olbrzyma,

Co w dniu chwały
Zbrojny cały,
Pogromem się zwał?

Walczy — miecz się zrasta z dłonią . . .
Pędzi — żywą jest "pogonią" . . .

On przez wieki,
W świat daleki
Sławę niesie w cwał!

MEMU MIASTU . . .

Wychowałeś ty mnie, grodzie,
Na swym chlebie, na swej wodzie,
Na tym chlebie z piołunami,
Na tej wodzie z memi łzami.

Wychowałeś ty mnie twardo,
Z myślą smętną, z duszą hardą,
Z żarem w piersi, z łzą w źrenicy,
Na zadumie, na tęsknicy.

Nie słowika wykarmiły
Miody twoje i kołacze,
Lecz zuzulę u mogiły,
Co pod chmurnem niebem płacze.

Nie wyrosłam tobie kwiatem,
Nie zabłysłam ci, jak gwiazda;
Lecz tułaczo poszłam światem
Z sierocego mego gniazda.

Słałabym ci teraz wieści
Z dalekiego kraju ducha,
Lecz za wiele w nich boleści
I noc wkoło nazbyt głucha!

Szumią fale starej Prosny,
Co rwie brzegi każdej wiosny;
Kipi serce krwią ostatnią
Za tą stroną, za tą bratnią!

W mrokach stoją stare mury,
Nad murami idą chmury;
Ach, daremnie, ach, bez końca
Ja i ty czekamy słońca!

Obesłałabym cię różą,
Białą różą i liliją;
Ale stoję tu pod burzą,
Ale wokół wichry wyją. . . .

Wyją wichry, idą tucze,
Górą słychać wrzaski krucze,
A tam nizko, a tam w dole,
Step mogilny, głuche pole. . . .

Bogdaj my się z sobą byli
Nie żegnali na rozstaju!
Ptak, co puści się w złej chwili,
Nie powraca już z wyraju.

Może jeszcze kiedyś przecie
Przełamię się z tobą chlebem;
Może usnę tak, jak dziecię,
Na twem łonie, pod twem niebem.

Szykujże mi tam gospodę
I dom cichy między swemi;
Na niewielką mą urodę
Dość-ci będzie garści ziemi!

WARSZAWA . . .

Warszawo, Warszawo, ty czerwienny grodzie!
Obrano cię niegdyś królową w narodzie.
Nie obrano ciebie dla twojej urody,
Jeno dla tej Wisły, dla tej Białej Wody . . .
Jeno dla tej starej mazowieckiej ziemi,
Co się kołysała szumami leśnemi. . . .

Kołysała ciebie, do snu ci śpiewała:
"Rośnij ty mi, grodzie, wysoko, jak skała . . .
Wysoko jak skała, co w nią biją fale,
Na brzeg rzucające skrwawione korale . . .
Rośnij mi do słońca, daleko za chmury,
Kędy orły lecą srebrzystemi pióry. . . ."

Wiatr się górą niesie, po gałęziach chodzi,
Zorza, co dziś zgasła, znowu rankiem wschodzi . . .
Na polanie stoi stary dąb pochyły,
Co wyrósł przed wieki z piastowej mogiły . . .
Na polanie stoi, drobnym liściem chwieje,
W szumach opowiada twoje dawne dzieje.

Hej, nie było tobie jasnej gwiazdy w niebie,
Ani jasnej doli nie było dla ciebie!
Na granicie Wawel — na piasku Warszawa,
Nad tą modrą Wisłą świeci tęcza krwawa.
Nad tą modrą Wisłą jaskółki latają,
Gubią w wodzie piórka — że gniazda nie mają!

Ziemio, matko stara, mazowiecka niwo,
Bądźże miastu twemu chlebem swym życzliwą!
Dębie ty piastowy, pieśniarzu żałosny,
Niechże go twe szumy budzą każdej wiosny!
Siłę niechaj bierze z kłosów swojej ziemi . . .
Serce niechaj karmi pieśniami staremi!

KRAKÓW . . .

Hej! puszczę ja oczy daleko od siebie!
Niech lecą, polecą, jak ptaki po niebie,
Aż do tej krainy,
Gdzie pada zmierzch siny
Od Karpat — ku starej kolebie!

Tam Kraków siadł cichy, w głębokiej zadumie,
Kto spojrzy — zapłacze — i smutek zrozumie . . .
Jak duch nad mogiłą,
Rozmyśla, co było —
I tęskno mu w obcym dziś tłumie. . . .

Ku niebu strzeliście, w poranne błękity,
Podaje swych wieżyc krużganki i szczyty . . .
I gra z nich hejnały
Na rozświt, na biały,
Co wstaje rosami nakryty. . . .

A góra tam stoi, co Wawel się zowie,
I dźwiga pamiątki po starym Krakowie,
Tam w grobach podziemnych,
Wśród lochów tych ciemnych
Śpią króle w koronach na głowie. . . .

A Wisła tam szumi i prawi powieści —
Wiatr kędyś od kopca Kościuszki szeleści —
I kamień tam gada
I dziwy powiada
O dawnej wielkości i cześci.

A kiedy się nocą gwar miasta uciszy,
Ten, kto się zaduma — westchnienia posłyszy . . .
To skarżą się groby —
To murów żałoby —
To przeszłość w mogile tak dyszy.

Hej, czasy, wy czasy, hej, stare wy wieki,
Płyniecie, jak woda tej Wisły, tej rzeki,
Na morze, na sine,
Na czarną głębinę —
I tylko szum słychać daleki. . . .

WISŁA . . .

A co ty nam niesiesz z drogi,
Stara nasza Wisło,
że nad tobą wichrów tyle,
Tyle chmur zawisło.

Jeśli idziesz od Karpatów,
Co pod śniegiem stoją,
Czemuż to nas fale twoje
Mętną wodą poją.

Jeśli idziesz od Krakowa,
Jako Krakowianka,
Czemu w tęsknych szumach płyniesz,
Bez pieśni, bez wianka.

. . . . . .

O! jak smętno jest ptaszynie,
Gdy nad grobem leci . . .
O! jak smętno matce Wiśle,
Gdy się skarżą dzieci. . . .

Zerwały się orły z gniazda
Wysoko od ziemi,
Pomąciły białe śniegi
Skrzydłami czarnemi. . . .

Wyschły kwiaty na dolinie,
Podlewane łzami . . .
Burza pieśni zagłuszyła
Mroźnymi wichrami. . . .

Więc dziś mętne moje wody
Przez te pola niosę,
I zabieram z czarnej roli
Gorzką, krwawą rosę. . . .

Więc do morza z skargą idę,
Zasmucona, cicha,
Za mną płaczą jasne zdroje
I ta ziemia wzdycha. . . .

KARTA Z RAPTULARZA . . .

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— "Ratuj, królu! Giną Niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu!

Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samym sercu Europy!

My — siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem — knechty i rycerze . . .
— Ratuj — królu — bohaterze!"

Król się porwał rozgniewany:
"Wara, krzyknął, bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!

— Miecz mi dajcie! . . . Hej, trębacze,
Niech otrąbion kraj zobaczę!
Niech Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

Niech husaria skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!"

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy:
— Kraju miły! Bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna! . . .

. . . . . .

Za trzy zorze i trzy noce
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szczerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierci. . . .

Grzmią armaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą — jak to Polak bije.

Biały koń się prze przed Janem,
Po tem polu krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa góra we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki,
Nie do świtu — lecz na wieki.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie . . .
— "Hej! na obóz! Naprzód wiara!"
Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr lecą, jak grom walą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

. . . . . .

— "Naprzód!"
Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił — bije trwoga . . .
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

HOŁD KRÓLOWEJ JADWIDZE . . .

Na grób twój pójdziem i na miejsce Boże,
Z którego dzwon dziś chwałę twą ogłasza.
O, zapal w sercach naszych nowe zorze,
O, daj nam światło, co moc starą zmoże,
— Królowo nasza!

Zapłomień zimne piersi iskrą ducha!
Oczyść nam usta węglem Izajasza!
Gdzie nędza cierpi, gdzie siedzi noc głucha,
Miłość z serc naszych niech ogniem wybucha,
— Królowo nasza!

Pokaż nam drogę do bratnich dusz ludu,
Gdzie chaty ciemne, gdzie mroczne poddasza!
Daj czołom naszym najświętszy chrzest trudu,
I tęczą twego opromień je cudu,
— Królowo nasza!

Daj zgodę myśli, i jedność daj czynu,
Daj karność — niech się chów twój nie rozprasza!
O, rozpal w pośród niewiast polskich gminu
Żar pożądania zasługi wawrzynu,
— Królowo nasza!

Daj ziemi służyć! Daj bronić nam ziemi,
Gdy ją dłoń wrogom przedawa Judasza,
Razem z prochami ojców — razem z temi
Piastowych kmieci strzechami siwemu,
— Królowo nasza!

Daj stać niewieścim duchom w tej świątyni,
Co dziś cześć twoją skroś wieków roznasza,
I niech się światło nad nami uczyni,
O, pierwsza chramu tego hospodyni,
— Królowo nasza!

Związ nas imieniem twojem w zwarte roty!
Daj męstwo! Niech nas walka nie przestrasza!
Daj zburzyć twierdze krzywd, nędzy, ciemnoty!
Rozwiń przed nami proporzec Twój złoty,
— Hetmanko nasza!

PO GRUDCE ZIEMI . . .

Na Pomnik Mickiewicza

Gdy sądy boże, jak wichry powstały,
By kości nasze rozmiatać po świecie,
Sierocy sztandar wielkości i chwały
Bóg oddał w ręce poecie.
Wziął go wieszcz, w blaskach słonecznych rozwinął,
Jako ofiary i nadziei znamię;
Ściągnął nad ludem potężne swe ramię
I jak wódz — na duchy skinął.
Poczuł w sobie hufiec, rozproszony
Po krwawych ziemi całej polach bitwy;
Pieśń się zerwała nad łany Korony,
Nad puszcze sinej w mgłach Litwy.
I w sercach ludu szukając oddźwięku,
Wiązała w klęskach potargane struny,
Nawykłe z dawna do klątwy bez jęku,
Kiedy w nie biły pioruny.
Długo my byli, jak lutnia strzaskana,
Niezdolna wydać nic więcej, prócz zgrzytu,
Na której wichry od rana do rana
Targały ciszę błękitu.
Długo my byli, jak trup porzucony,
Co się nocami przebudza cichemi
I idzie — bladym upiorem wskrzeszony,
By ssać krew własnej swej ziemi.

Aż tknięci słowem nieśmiertelnem mistrza,
Hymn my ofiary podnieśli z mogiły . . .
Odtąd harmonia wciąż czystsza i czystsza
Wzmaga nam ducha i siły.
Wieszcz wskrzesił serce narodu mdlejące
W marnych wysiłkach śmiertelnej rozpaczy . . .
On dla rozbitków, dla nędznych tułaczy
Był, jako ziemia i słońce.
On z pieśni swojej uczynił ognisko
Obozu duchów, przy którem się grzeje
Naród zmartwiały, nim zorza zadnieje,
Bóg wie . . . daleko, czy blisko!
On z pieśni swojej uczynił nam hasło,
Po którem, bracia, na duchów strażnicy
Poznać się możem nad ziemią zagasłą
W martwej zwątpienia ciemnicy.
On nam z niej słowa uczynił pacierza,
Hymn narodowy nadziei i wiary,
Puhar krzepiący i arkę przymierza,
Co strzeże duchów ofiary.
Jak zawołanie wspólnego nam rodu,
Pieśń jego poszła po całej tej ziemi . . .
I była chlebem wśród suszy i głodu,
Zdrojami była żywemi.
A budząc sennych z długiego uśpienia,
Jak blask poranny, co bije wskroś powiek,
Dla zbrodni — była okrzykiem sumienia,
Dla słabych — hasłem: "Tyś człowiek!"
Drżący ją starzec powtarzał o świcie,
Patrząc w słoneczność wschodzącej jutrzenki;
Dusza młodzieńca swój zapał i życie
Z jednej czerpała piosenki.

Pieśń ta uwiła królewski diadem,
W którym łez naszych zabłysły kropelki,
Nad czołem dumnem, spokojnem, choć bladem,
Kobiety — obywatelki.
I zarzuciła płaszcz drogi, utkany
Z żywej tajemnych uczuć naszych przędzy,
Na ziemię ojców, na krwawe jej rany,
Na nagość i wstyd jej nędzy.
Gdy biła w skrzydła anielskie nad ludem,
Nawet bluźnierca uginał kolana . . .
A w oku jego wzbierała, jak cudem,
Łza wrząca, dawno nie znana.
O bracia moi! ja wam nie uczynię
Krzywdy, wołając o pomnik Adama;
Wiem, że ta ziemia poruszy się sama
I wyda z siebie świątynię.
Wiem, że się zwiną puszcze starej Litwy
Na wieniec godny śpiewaka swojego;
Wiem, że z ich szumem, jak z głosem modlitwy,
Rzeki do morza pobiegą.
Wiem, że zniesiemy rękami własnemi
Z nad brzegów Niemna i z równin Korony
Choćby po grudce ojczystych pól ziemi
Temu, co czuł za miliony.

DO GRANICY . . .

— Zaparli chałupę
I "befel" gwoździem do wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek, dźwignęłam na ręce
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy. . . .
— Patrzę — z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci,
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci
Jakby żegnając właśnie . . . A był ranek
Zimny i wiatr nam zawiewał do kości,
A słońce tlało, jak lichy kaganek;
Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na oną drogę smętną. . . .
— Szłyśmy razem,
Kobiety z dziećmi żałosną gromadą;
Za nami, pobok, strażnicy precz jadą
I klną i dziatwę drobną biją płazem,
Nagląc do drogi. . . .
— Byłaż to godzina! . . .
Rodząca bólów swoich zapomina;
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli
I z trzech stron świata — zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą. . . .
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki,
Z gniazd wyrzucone, albo z wody ryby . . .
Jezu Ty Chryste. . . .

— Odwrócę ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiśniowe,
Na wdowią rolę, trójpotem zroszoną . . .
A ta mi strzecha stanęła, jak złota,
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra . . . A wszystko, od płota
Aż do żórawia, co moknie w studzience,
Wydało mi się, jakby było żywe
I jakby do mnie wyciągało ręce. . . .
Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy . . . A choć w trawie stała,
Nie posięgnęła się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się a wzdycha,
Właśnie jak człowiek. . . .
— Dziw, żem tam nie padła,
Taka mnie żałość zdjęła! . . . Wszystko moje
Tam zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie
Między tych matek żałosnym narodem . . .
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba . . .
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko, jakby czegoś zadumane,
I oczy, jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce. . . .
— A bliżej koło mnie
Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa,
I drogi sobie kijem szukająca
I jak osiki listek, cała drżąca . . .

Więc że jej stare nie służyły nogi
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz. . . . Upadła wśród drogi.
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało,
Jak w Weroniki chuście, i zostało
Jak pieczęć krzywdy naszej, przyłożona —
Pod okiem Boga — do ziemi tej łona.

Jak kamień, ciężkie, jak węgiel, gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą,
Albo jak kawki w polu. . . .
— Dalej! Dalej! . . .
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.
A na rozstaju był krzyż. Więc się one
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły . . .
A gwiazdy wzeszły na niebo czerwone,
Jak krwawe Boże łzy — i tak świeciły.

. . . O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczysz uchronę
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone.
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu.
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze . . .
Myż tylko sami, pomiędzy wszystkiemi,
Mamy być wieczni tułacze? . . .

. . . . . .

Ustał płacz niewiast i tylko się z cicha
Tu, owdzie łkanie stłumione zaniesie,

A las w oddali to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie . . .
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał i o coś się pytał. . . .
A już od rana plątało się przy mnie
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimnie
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: — A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś! — odrzecze mi na to.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i tato!
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili,
Precz mi kazali bieżeć za innemi. . .
I jak to kurczę głowinę pochyli
Na bok i do snu skuli się na ziemi. . . .
Więc ją fartuchem okryłam i wstałam
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

. . . . . .

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły . . .
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci,
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci . . .
A było ich już, jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo. . . . A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej pod krzyżem odprawować warty
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy. . . .

W białym on piasku bez trumienki leży,
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie. . . .

. . . . . .
. . . . . .

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie straże
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią. . . .
A dziś zczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby. . . .

. . . . . .
. . . . . .

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno.
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem. . . .
A jestem dzisiaj porażona gromem
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi
I słońcem swojem cieszyła mi duszę. . . .

. . . . . .

Ach, to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę. . . .

. . . . . .

O WRZEŚNI . . .

Tam od Gniezna i od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy, ziemia jęczy:
— Prusak polskie dzieci męczy!

Za ten pacierz w własnej mowie,
Co ją zdali nam ojcowie,
Co go nas uczyły matki,
— Prusak męczy polskie dziatki!

Wstał na Gnieździe Orzeł biały,
Pióra mu się w blask rozwiały . . .
Gdzieś do Boga z skargą leci . . .
— Prusak męczy polskie dzieci!

Zbudziły się prochy Piasta,
Wstał król, berło mu urasta,
Skroń w koronie jasnej świeci,
— Bronić idzie polskie dzieci. . . .

— Zwołajcie mi moje rady,
Niechaj śpieszą do gromady!
Zwołajcie mi moich kmieci . . .
— Prusak męczy polskie dzieci!

Wstańcie, sioła! Wstańcie, grody!
Ruszcie z brzegów Gopła wody!
Bijcie dzwony od Kruszwicy,
— Skroś Piastowej mej ziemicy!

Bijcie, dzwony, bijcie serca,
Niech drży Prusak przeniewierca,
Niech po świecie krzyk wasz leci:
— Prusak męczy polskie dzieci!

Niechaj wiara moja stanie,
Niech się skrzyknie zawołanie,
Wici niechaj lud zanieci . . .
— Prusak męczy polskie dzieci. . . .

CO MI NADA . . .

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg!

Ci mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze
Z tych dalekich dróg!

Obejdź lądy, opłyń wody:
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary pszczelny ul. . . .

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól. . . .

W marmurowych chodzisz grodach,
Utęskniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką,
Het, przez łężny szlak. . . .

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać naprzemiany,
Co tam, gdzie i jak. . . .

RANKIEM W POLU . . .

Posrebrzało pole rosą,
Chodzi zorza stopką bosą,
Chodzi miedzą, chodzi żytem,
Sieje perły srebrnem sitem.
Zaszeptały liściem drzewa,
Pierwszą nutkę ptaszę śpiewa,
Dzionek modrą idzie drogą . . .
— Zresztą nigdzie nic, nikogo!

W sinym jarze wioska drzemie,
Opar kryje łążne ziemie,
Wierzby w strugach wodę piją,
Mgły lekuchną przędzę wiją,
Gaje mówią w głos pacierze,
Ślubną suknię brzoza bierze,
Macierzanki pachną błogo . . .
— Zresztą nigdzie nic, nikogo!

Z pod zroszonej ziemi grudki
Wstają jasne niezabudki,
Roztulają złote oczy
U zdrojowych wód przezroczy.
Maczek zbudził się zajęczy,
Kropelkami rosy brzęczy,
Za nim bratki, jako mogą . . .
— Zresztą nigdzie nic, nikogo!

Cisza w polu — że aż dzwoni,
Pusto w polu — jak na dłoni!
Przejrzeć można w koniec z końca
Złotniejący świat do słońca,
Czysty lazur ponad światem,
Przetykane błonia kwiatem,
Cienie gruszy ponad drogą . . .
— Zresztą nigdzie nic, nikogo!

NA KUJAWACH . . .

Na Kujawach rżną skrzypice:
Skoczę w tanek, dziewczę chwycę,
Chwycę dziewczę z poza stoła,
Wykręcę je dookoła.

Dokoluśka widno z nieba,
Dokoluśka bochen chleba,
Dokoluśka talar biały,
Dokoluśka — świat je cały!

Niech ta w podłuż tańczą pany
Z izby za próg — odbijany . . .
Na Kujawach, chwalić Boga,
Chłop nie przejdzie w tańcu proga!

Na Kujawach dziewczę moje,
Dzisia jedno, jutro dwoje;
Kołem jasne słonko chodzi,
Na co pojrzy, to zarodzi!

Kołem, kołem, popod ściany,
Przez bok poła od sukmany,
Na łbie czapa, jak pół stoga,
Wstęga na niej, że — la Boga!

Kołem, kołem, popod ściany!
Trzos rzęsisto nabijany,
A we trzosie dukat prawy . . .
— Jak Kujawy, to Kujawy!

Stara bieda za mną k'sobie,
A ja od sieb' migiem drobię;
Jak się bieda od sieb' ruszy,
Ja znów k' sobie, co mam duszy!

Chce mnie bieda za czuprynę,
To przyklęknę, to się zwinę,
Na psa urok, stara bieda . . .
Kto się da, a chłop się nie da!

Coraz głośniej huczą basy.
Przeszły czasy, przyjdą czasy!
A i co mi za niewola?
Komu z pola, mnie do pola!

Z prawej nogi, z lewej nogi,
Wszyscy święci na bok z drogi!
Jak Kujawiak się okręci,
Na bok z drogi, wszyscy święci!

Sam Pan Jezus widzi z nieba,
że nam dzisia placu trzeba,
Sam Pan Jezus z nieba zerka,
Jak Kujawiak rżnie oberka!

Coraz prędzej Pietr Muzyka
Po skrzypicy ciągnie smyka;
Coraz gibciej dziewczę gnie się,
Jak węgorek w mokrym lesie.

Na przechybkę, na przegiętkę:
Oj, załapię cię na wędkę;
Na przegiętkę, na przechybkę:
Oj, załapię moją rybkę!

Dokoluśka płot u chaty,
Dokoluśka same braty,
Dokoluśka gniazdo ptasze,
Dokoluśka — wszyćko nasze!

NA KURPIKACH . . .

Zamodrzała puszcza świtem,
Postukuje bartnik sitem,
Postukuje w pszczelne kłody:
— Będąż, będąż lać się miody!
Stoi łąka w pierwszym kwiecie,
Szumi w młody liść dąbrowa,
— O reteczki, o mój świecie,
Jegódeczko jełowcowa!

W starej chacie pukłak stary,
W barci ulów nie do pary.
Obkurzonych ziół w kościele
Po wiechetku na złe trzmiele . . .
A czy puszcza rój wyżywi,
Czy umorzy — co my krzywi?
Boskać to w tem wszystkiem głowa,
— Jegódeczko jełowcowa!

Będąż jeszcze tu kłopoty,
Nim marcowe miną psoty,
Nim się słonko udobrucha,
Nim borową pleśń odchucha.
Ale pszczoła, jak to pszczoła,
Leda czego je weseła,
Leda wiatr ją w bór pomiecie . . .
— O reteczki! O mój świecie! . . .

Myszyniecka puszcza dzwoni,
Rój za rojem aż się goni.
Idą pszczoły na obloty,
Jak ten dukat brzęczą złoty.
Ot, jakbyś go miał w kalecie,
Gdzie na pogrzeb grosz się chowa . . .
— O reteczki! O mój świecie!
Jegódeczko jełowcowa!

Będzież jeszcze tu roboty,
Nim się rój uwiąże złoty,
Nim go w rosach, modrym świtem
Przynakryją srebrnem sitem.
Tu jałowiec mi się kurzy,
Tu rój mały, tu znów duży —
— żebyś taka była zdrowa,
Jegódeczko jełowcowa!

U gałęzi gronem wiszą,
Liść nie szepnie ranną ciszą,
Pachną smółki gdzieś z gęstwiny,
Idzie w górę dymek siny.
Już rój garnę białem piórkiem,
Już mi brzęczy sak pod sznurkiem,
Jest i matka z rojem przecie . . .
— O reteczki! O mój świecie!

Drugi z rojem nie uradzi,
Choć obmiecie i obkadzi.
Trza znającej na to głowy,
Trza czas wiedzieć i zamowy. . . .
Siwe dęby w puszczy siedzą,
Siwe ojce to tam wiedzą,
Jakie kiedy przerzec słowa —
— Jegódeczko jełowcowa!

Oj, wy roje, pszczelne roje,
Najpierw Boskie, potem moje!
Najpierw Boskie służebniki,
Potem moje pracowniki!
Puszcza matka żywi w lecie,
A ul-ociec zimą chowa!
— O reteczki! O mój świecie!
Jegódeczko jełowcowa!

Dał-ci ludziom Ociec z nieba
Coby wyżyć — tyle chleba,
A zaś Kurpiom, ode głodu,
Ukapnął ci z nieba miodu. . . .
Ni ja z pługiem, ni ja z kosą,
Ni ja z sierpem jasną rosą,
Jak ptak, letka moja głowa —
— Jegódeczko jełowcowa!

Chodzę, kroczę poza chatą,
Jak dzień długi, całe lato,
A i nocą, pod gwiazd blaski . . .
A co orać, kiej są piaski?
Zdybię grzyba, to jagodę,
Dłubię ule, wiążę siecie,
Kurpik w puszczę — ryba w wodę . . .
— O reteczki! O mój świecie!

Gdzie nie zajdę, naskróś słyszę
To szum puszczy, to znów ciszę,
Naskróś czuję, jak nią rusza
Jakaś wielka, mocna dusza. . . .
Jak zasłucham się w tym szumie,
Jak tę cichość wyrozumię,
To i kury pieją trzecie . . .
— O reteczki! O mój świecie!

A zaś zimą wilk się włóczy,
Na kominie sośniak huczy,
Z kalenicy Kurp dobywa
Koziej nogi, co je krzywa.
Jak podsypie do panewki,
W sęk, to w sęka! Nie przelewki!
Broń od Szweda jeszcze chowa . . .
— Jegódeczko jełowcowa!

Miga rogacz rudym pasem,
To i puknie sobie czasem . . .
To znów chyłkiem się przemyka
Łoś — to w łosia, dzik — to w dzika!
Święty Boże nie pomoże,
Jak wygarnie, jak wymiecie!
Kulka w czoło, lub w komorze . . .
— O reteczki! O mój świecie!

Idą śniegi, idą tucze,
Po boru się wicher tłucze,
U ogniska Kurp' zasiada . . .
Nuże pieśni! Nuże rada!
A wtem płomię wichr pomiecie,
Z kalenicy huknie sowa . . .
— O reteczki! O mój świecie!
Jegódeczko jełowcowa!

Choć schowany w borów szumie,
Na książce się Kurp' rozumie.
Het, od dziada i pradziada
Co wyczytał — rozpowiada:
To o wojnie, o komecie,
Jak się broni Częstochowa . . .
— O reteczki! O mój świecie!
Jegódeczko jełowcowa!

Siwą głową bartnik kiwa,
Dziewki przędą u łuczywa,
Z cicha brzęczy rój ten boży,
Aż do pierwszej w niebie zorzy. . . .
Stoją sosny na widecie
Szepce puszcza ciche słowa . . .
— O reteczki! O mój świecie!
Jegódeczko jełowcowa!

NA LECHICKIM POLU . . .

Przez lechickie, puste pole
Cichy pielgrzym idzie w gości,
A gdzie przejdzie — ziarno pada
Słonecznej jasności.

Idzie miedzą, idzie drogą,
Przez ugory, przez dąbrowy,
A gdzie przejdzie — tam wyrasta
Posiew Chrystusowy.

Nie wyrasta, jako cedry,
Lecz jak polne, świeże kwiaty,
Blizkie ziemi-rodzicielki,
Blizkie biednej chaty.

I nie szumi, jako burza
W swej potęgi majestacie,
Ale ziemi mówi: "Matko!"
A bliźniemu: "Bracie."

I wyrosły one słowa,
Niby kłosy żyzne, chlebne,
Takie proste, polne takie,
A takie podniebne!

I już ziemia się rozmaja
W pustce swojej i posusze . . .
Już się w piersiach przebudziły
Senne ludzkie dusze. . . .

Już serc wiosna się zakwieca,
Tam, gdzie pierwej była zima,
Już bieleje chata kmieca
Za cieniem pielgrzyma.

. . . . . .

II.

Przez lechickie puste pole
Cichy pielgrzym idzie w gości . . .
A gdzie przejdzie, ziarna rzuca
Słonecznej jasności.

— Kto ty jesteś, o pątniku,
Co posiewasz ziemię w zorze?
— Jam apostoł, Wojciech Święty,
A tu niosę słowo Boże.

— Jakże przejdziesz, o pątniku,
Między obce ci pogany?
— Poprowadzi mnie ten Chrystus,
Co był za nas na śmierć dany!

— Jakąż bronią, o pątniku,
Walczyć będziesz w twojej drodze?
— Ja miłością będę walczył,
Światło siejąc, gdzie przechodzę!

— Jakich-że to ech, pątniku,
Tak za tobą słychać granie?
— To jest pieśń "Bogarodzica,"
Co tu z ludem się ostanie!

O, JEST MI DOBRZE . . .

O, jest mi dobrze i nic mi nie trzeba!
Tak blisko morza i blisko tak nieba,
A tak daleko myślami mojemi
Jestem od ziemi . . .
I tak wysoko na skrzydłach zadumy
Nad obce tłumy!

O, jest mi dobrze! Pieśń morza kołysze
Sen mój i noce me śpiewnemi czyni . . .
Lecące fale mam za towarzysze
Z srebrnej pustyni,
A nieskończoność tchnie mi tu w oblicze
Tchy tajemnicze.

O, jest mi dobrze. Wy wszyscy tu ze mną!
Ściany me szepcą rozmowę tajemną,
Co ją zamyśleń wieczornych chwilami
Mam tutaj z wami . . .
I mówi do was najcichsze swe słowa
Pieśń ma echowa.

O, jest mi dobrze! Z takiego daleka
Ginie mi wszelka znikomość człowieka . . .
Nie widzę ani słabości, ni winy
Bratniej drużyny,
I każdy duch mi ogniami tęsknoty
Mieni się — złoty.

O, jest mi dobrze i cicho na duszy . . .
Głos, co me imię w powietrzu poruszy,
Dolata tutaj przez morza błękity,
Od gwiazd odbity,
I w progi moje przynosi mi w gości
Coś z ich wieczności.

O, jest mi dobrze! Od krańca tu ziemi
Tak łatwo odbić na brzegi gdzieś Boże;
Tak bez szelestu, brózdami jasnemi
Łódź piany porze . . .
I nic nie wstrzyma mnie, gdy stąpię nogą
Tą srebrną drogą. . . .

O, NIEMA PRAWDY . . .

O, niema prawdy w tem, ni prawdy cienia,
Co ludzie mówią "morze zapomnienia."
— Bo mi ta mroczna, a cicha głębina
Wszystko wspomina . . .
I cała przeszłość idzie mi tu w gości
Z nieskończoności.

Z falą lecącą do srebrnego brzega,
Co mnie odeszło, to znowu przybiega . . .
I gdy w zadumie nad morzem tem stoję,
Znowu jest moje . . .
I cicho patrzą na mnie z tej roztoczy
Kochane oczy.

I com rzuciła, to w szumach tej fali
Jeszcze się ze mną żegna, jeszcze żali,
I cała gorycz życia i żółć cała
Tu się ustała . . .
A to, co los mi przykopał mogiłą
To znów ożyło!

WEZWANIE . . .

Do żywych źródeł idźmy, do bijących
Z łona macierzy!
Niech nam chłód rzeźwy potoków jej rwących
Ducha rozświeży. . . .

Rzućmy się piersią nań, przywrzyjmy łonem
Do tej krynicy,
Co życiem nowem i nienaruszonem
Tryska z tajnicy. . . .

Tam w gromkim huku wiosennych wód bicia
Przez mroków noce
Do wiosennego wołają świat życia
Wieczyste moce. . . .

Jak orzeł z grzmotem wodospadów leci,
Gdy go w wir chwycą,
A zaś się na tłach tęczowych rozświeci
Piór błyskawicą —

I trzęsie iskry i skrzydeł swych końce
Nad srebrne grzywy
Unosi w rozświt dnia, w poranne słońce,
Strzałą z cięciwy —

Tam my się rzućmy, tam, gdzie żywą mocą
Wrą ziemi żyły,
A zaś się wzbijmy na mrocznych dni nocą,
W lot nowej siły!

PIOSENKA MOJA . . .

Piosenka moja po świecie chodzi
W lnianej koszuli,
I o podwiośniu w borach zawodzi
Głosem zazuli . . .
Ślady jej stopek wiatr cichy zwiewa,
Obmywa rosa,
Kiedy po świecie chodzi i śpiewa
Jasna i bosa.

Piosenka moja z rodu sierota,
Cudzo jej wszędzie . . .
Chciałaby lecieć, gdzie zorza złota,
Jak te łabędzie . . .
Jak te łabędzie — puchy rozwiewa
Gdzieś ku jutrzence,
Kiedy po świecie chodzi i śpiewa,
Wznosząca ręce.

Piosenka moja żyje tęsknicą,
Jak czarnym chlebem,
Ani ją jasne cuda zachwycą
Pod obcem niebem . . .
Ku gwieździe patrzy, co tam omdlewa
Blaski drżącemi,
Kiedy po świecie chodzi i śpiewa
O swojej ziemi!

POWRÓCĄ DO WAS . . .

Powrócą do was oczy me,
Ale zdmuchnięte z słońca,
Za którem dzisiaj wytężam wzrok
W dal mglistą, w dal bez końca. . . .

Powrócą do was usta me,
Lecz zwarte już na wieki,
Ani z nich wyjdzie skargi głos
Echowy — a daleki. . . .

Powróci do was serce me,
Ptaszyna martwa, cicha,
Gdy już ostatni życia dech
Z piosenką pierś wydycha. . . .

Lecz kiedy na nie bratnia dłoń
Rzuci garść czarnej ziemi,
Uderzy jeszcze w śmierci śnie,
Dla swoich — i ze swemi!

W MAŁEJ PIOSNCE . . .

W małej piosnce siły wiele,
Kto ją sercem gra . . .
W niej jest uśmiech — gdy wesele,
W niej — gdy smutek — łza. . . .

Mała piosnka zapamięta
każdy polny kwiat,
Czarodziejsko w niej zamknięta
Wiosna dawnych lat.

Piosnka idzie, jak sierota,
Jak tęskniący duch,
I kołace w ciche wrota,
Gdzie jest brat, gdzie druh. . . .

Piosnka ze snu serca budzi,
Gdy je drętwi cień,
I przed świtem woła ludzi
Na słoneczny dzień.

Z wiatrem leci echem chyżem
Do rodzonych stron
I nad mogił drogich krzyżem
Bije w srebrny dzwon!

PO DRODZE TEJ . . .

Po drodze tej bez końca
Chodziliśmy we troje:
Ten jasny promień słońca
I ja i — serce moje.

Ja byłam wędrownicą
W krainę marzeń złotą,
A słońce — dnia źrenicą,
A serce me — sierotą.

A szliśmy w ludzkim tłumie . . .
Słoneczny promień — w złocie,
A za nim ja — w zadumie,
A serce me — w tęsknocie.

I przywiał wiatr obłoki,
Co promień słońca skryły . . .
Ja — poszłam w świat szeroki,
A serce — do mogiły.

JEST W PIERSI MOJEJ . . .

Jest w piersi mojej cichy grób,
żaden go kwiat nie stroi,
I żaden tam nie leży trup
W śmiertelnej swej ostoi . . . .

Nie dzwoni nad nim dzwonów spiż,
Nie ciężą ziemi bryły;
Nie sterczy kamień, ani krzyż
U cichej tej mogiły. . . .

Tylko w nią zapadł promień ten,
Co złoci moje życie . . .
Tylko w niej leży cichy mój sen
I ufne serca bicie!

TY, COŚ WALCZYŁ . . .

Ty, coś walczył dla idei,
Chwała ci!
Boś wykrzesał z twej nadziei
Nawskroś burzy i zawiei —
Jasne dni. . . .
Ciebie niosły w wielkie boje
Archanielskie skrzydła twoje,
I odzianyś jest przed światem
Blaskiem ducha i szkarłatem
Własnej krwi!

Ty, coś poległ dla idei,
Chwała ci!
Boś padł w progu twej nadziei,
Nie czekając swej kolei
Jasnych dni. . . .
U twych prochów, u mogiły
Będą wieki szukać siły,
I naznaczą twoje kości
Wielką drogę ku przyszłości
Śladem krwi!

Jeszcze większa tobie chwała
Ty, co żyjesz dla idei,
Przędąc dla niej szaty ciała
Przy ogarku twej nadziei
Jasnych dni. . . .
W pracy, w męce,
Krwawisz ręce,
Na jutrzenną świata przędzę
Ból swój wijąc, swoją nędzę . . .
A nikt nie dba i nie zgadnie,
Gdzie ostatnia kropla padnie
Twojej krwi!

PIEŚŃ O DOMU . . .

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, skroś srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż! . . .

WIOSENNE WITANIE ZIEMI . . .

Nie wszystko smutkiem, nie wszystko żałobą:
Jeszcze ty z nami, a my jeszcze z tobą,
Nie odumarłaś sierot do ostatka,
Ty — nasza matka!

Znów do płodnego przytulasz nas łona,
Z ciemnicy mroków w blask słońca wskrzeszona,
Znów tchniesz moc swoją w mdlejących serc bicie,
Ty — nasze życie!

O karmicielko! O stary nasz domie,
Gdzie zniczem gore żywiące nas płomię,
Ty rody polne hodujesz i ptasze,
O gniazdo nasze!

Pierś twoja ciemna znów bierze kolory,
Tajnymi szumy gadają twe bory,
Sto rzek pieśń twoją do morza donasza,
Ty — harfo nasza!

Skowronki twoje znów lecą w błękity,
Szumi żórawi klucz, zorzą nakryty,
Chlebem przyszłości twe pola runieją,
Nasza nadziejo!

Ucieczko słabych, bezobronnych zbrojo!
Nieprzemożeni, przy tobie co stoją . . .
Ciebie wichr burzy, ni grom nie przestrasza,
Ty — twierdzo nasza!

O zatajona skarbnico ty ducha,
O złoty szybie, skąd życie wybucha!
W tobie się iści, co będzie, co było,
Ty — nasza siło!

WSTAŃ, O DZIECIĘ . . .

I.

Wstań, o dziecię! Idź na pole,
Gdzie pot ludu wsiąka w rolę,
Gdzie pod jasnem naszem niebem,
Kłosy brzęczą żytnim chlebem,
Jako struny szklane . . .
Idź i słuchaj, a w tym szumie
Może serce twe zrozumie,
Jakie to tam rosy świecą,
Jak masz uczcić dolę kmiecą
I zgrzebną sukmanę!

II.

Ucz się, drogie dziecię moje,
Nosić wcześnie twarde zbroje,
Jak dawni rycerze!
Nie z żelaza, nie ze stali,
Te, co ludzie wykowali,
Hełmy i pancerze;
Ale jasną, ale dzielną,
Zbroję ducha nieśmiertelną,
Co się strzał nie boi,
Ale taką tarczę złotą,
Co się zowie wolą, cnotą,
A za oręż stoi.

III.

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy zlanej potem,
Odgadujesz dolę twardą:
Uchyl czoła, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi;
Lud i praca — to są siły,
A świat cały niemi stoi!

IV.

Szanuj, drogie dziecię moje,
W małem ziarnku — przyszłe plony,
W małej kropli — przyszłe zdroje,
W szelągu — miliony,
W każdej myśli — zaród czynu,
Życie — w chwilce, co ucieka,
A sam w sobie — szanuj, synu,
Przyszłego człowieka!

PRZYGRYWKA . . .

Wyjdę z chaty pod figurę,
Będę Boga błagać, prosić,
By mnie zmienił w czarną chmurę
I rozkazał wichrom nosić.

Jak bliźnięcy my tułacze
Polecimy, het! . . . na wolę . . .
Cóż mi dole? . . . Co niedole? . . .
Duch mój rwie się! Duch mój płacze!

Oj, ty wietrze, ptaku mglisty,
Przez błękitną leć głębinę . . .
Niechaj w cichych szumach płynę,
Jak mdlejąca pieśń lutnisty. . . .

Oj, nie do was, wy stolice,
W blaskach złota i purpurze,
Bo płonęłabym, jak burze,
Ciskające błyskawice!

Ale do was, nędzne chaty,
Pola smętne i jałowe,
Ale do was, leśne kwiaty,
Wysrebrzone w rosy płowe. . . .

Ale do was, bory ciemne,
Co poicie mnie muzyką,
Jak ja, smętną, jak ja, dziką,
Zdradzającą łzy tajemne.

Ale do was, wy mogiły,
Krwią pojonej ziemi kwiaty . . .
Tam zaczerpnie tchu i siły
Duch mój, jeniec ten skrzydlaty!

A KTO CIEBIE, TY WIERZBINO, WYCHOWAŁ?

— A kto ciebie, ty wierzbino wychował?
A kto twoje fujareczki czarował?
— Wychował ci mnie mój rodzic,
Ciemny las,
Kędy stoję w chłodnej rosie
Aż po pas!

Wykarmiła mnie ta ziemia, ta matka,
Płakiwała ze mną brzoza, sąsiadka . . .
Czarna rola podawała
Chleb i sól,
Wykołysał wiatr szumiący
Z łąk i pól.

Latał ci on miesięcznemi nockami
Nad sennemi wioski naszej chatami . . .
W srebrnej strudze maczał skrzydła,
Jako ptak,
I roztulał dzikie głogi,
Polny mak.

Z starych mogił zbierał skargi i żale . . .
I otrząsał po kalinach korale . . .
I uderzał grzmiącą piersią
W czarny bór,
Aż się ozwał siwych dębów
Głośny chór!

Tęskność, smutek, łzy sieroce, jak biały
Tuman z łąki, za nim w ślady leciały . . .
Wiatr gałązki moje gibkie
Całował,
Na fujarki je urzekał,
Czarował! . . .

U OKIENKA . . .

W chacie u mego siedzę okienka,
Cieniuchną nitkę wysnuwa ręka;
Przede mną kądziel siwa, brodata,
A oczy — lecą na koniec świata!

Z mego okienka widać niemało,
Byle się tylko patrzeć umiało,
Byle tchem ciepłym od wnętrza chaty
Odchuchać srebrne na szybach kwiaty. . . .

W lewo i w prawo widać szmat nieba
I tylko oczy podnieść potrzeba,
żeby zobaczyć wśród gwiazd tysiąca
Cości wielkiego . . . cości bez końca! . . .

Choć w szybce otwór taki malutki,
Choć mgła się nad nim wiesza, jak smutki,
Choć rosa stoi w perłach, jak łezki,
Widać het! . . . cały pałac niebieski!

A kiedy wiosną kogut zapieje,
Kiedy w słoneczku wioska odnieje,
To taka jasność uderzy potem,
Jakby kto chatę potrząsnął złotem. . . .

I widać wtedy z mego okienka,
Jak się u brzegu chwieją czółenka,
Jak ta Wisełka, ta modra, nasza,
Flisów do drogi z sobą zaprasza. . . .

Wiosce tam wielkiej wody nie trzeba:
Młynek na strudze dość zmiele chleba . . .
A nieraz przecie myślę: Moc boża,
Że nasza Wisła idzie do morza!

Idzie i szumem po świecie gada,
Jak się tu u nas sprawia gromada . . .
I niesie — Bóg sam wie, jak daleko,
Tratwy i pieśnie i łzy, co cieką. . . .

Z mego okienka widać na lewo
Ogromne, stare, spróchniałe drzewo,
Co, powiadają, zakwitnie wtedy,
Jak już na świecie nie będzie biedy.

Ni ludzkiej krzywdy, ni poniewierki,
Ani wojenki, ani żołnierki,
Gdy każdy w własnej chacie zasiędzie
I wszystkich braćmi nazywać będzie. . . .

Jaćbym tam temu nie była krzywa!
Chce się zwać bratem — niech się nazywa . . .
Byleby tylko Jaśka w Dąbrowie
Dali inaczej wołać ojcowie! . . .

A tam na prawo, gdzie boża męka,
Widać het pole z mego okienka . . .
Po miedzy tatuś w zamysłach chodzi:
Czy też zarodzi? . . . czy nie zarodzi? . . .

Oj, głód — to straszna jest kara nieba . . .
Ojcze nasz, daj nam czarnego chleba,
Zapal nam słonko najświętszą ręką
I rzuć promyczek w każde okienko!

JESIENIĄ . . .

Szare ptaszyny, szare ptaszyny
W łunie zachodu lecą! . . .
Ostatnie złote słońca kruszyny
Na ich skrzydełkach świecą . . .
Za sine morze, jak czarna chmurka,
W kraj świata mkną, daleko! . . .
A w locie gubią pstre swoje piórka
Nad oną modrą rzeką. . . .
Oj, wy ptaszyny! pewno nie znacie,
Naszej bielonej chaty,
Ani ogródka mego przy chacie,
Gdzie kwitną krasne kwiaty . . .
Pewno nie znacie mego dziadula,
Co z lipy łyżki struże . . .
I plastry miodu wybiera z ula,
Ot, takie słodkie, duże. . . .
Pewno nie znacie tej dzikiej gruszy,
Szumiącej w drobne liście . . .
Ani Stasieńka, co gra od duszy,
Tęstkliwie, a ogniście. . . .
Pewno nie znacie mgieł tych, co zrana
Po łąkach tak się wloką,
że trzeba w srebrze brnąć po kolana,
Jak tylko zajrzy oko. . . .

Ani tej tęczy, co ziemi sięga
Na pańskim, het, folwarku,
Jak najognistsza w kolory wstęga,
Kupiona na jarmarku.
Ani tej sosny, co rośnie krzywa
W niezdartej swojej opończy
I jeno z wiatrem gałęźmi kiwa
I białą smółkę sączy. . . .

Ani tej naszej grobli nad rzeką,
Huczącą, niby żarna,
Gdy z niej po żwirach kropelki cieką,
Jak rozsypane ziarna. . . .
Ani tej łąki gdzie pachnie siano,
Grabione przede żniwy. . . .
Ani ugoru, gdzie gna co rano
Owieczki owczarz siwy. . . .
Ani tych dymów, co się tam ścielą,
Jesienną wróżąc słotę . . .
Ani taneczka z huczną kapelą
Ludziskom na ochotę. . . .
Ani tej zorzy, co het, za górką,
Na wyścig ze mną wstaje . . .
A tak się śpieszy przyjść na podwórko,
Aż mnie matusia łaje. . . .
Ani miesiączka tego jasnego,
Co się tak patrzy blady,
Aż się coś dzieje w sercu dziwnego,
Choć płakać! . . . ani rady!

Pewno nie znacie tego przełazka,
Kędy po wodę chodzę,
A Stacho do mnie, jak do obrazka,
Modli się tam przy drodze. . . .
Ani tych dzwonów z kościelnej wieży,
Co we mgłach kędyś toną . . .
Ani mogiłki, gdzie tatuś leży,
Pod darnią, pod zieloną. . . .
Ani tej pieśni, co płynie rzewna
Przy krosnach, u ogniska,
Kiedy łuczywo z smolnego drewna
Iskrami w koło pryska. . . .
Ani tej nocki, co wstaje biała,
W złocistych gwiazd koronie
Patrzeć, czy rosa już rozsypała
Sznur pereł po zagonie.

Ani tej ciszy, co w chaty progu
Z palcem na ustach siada
I słucha, kto się poleca Bogu,
Kto krzyż na czoło wkłada. . . .
Ani świerszczyka, co przy kominie
Ćwierka, schowany w dachu . . .
Ani snów dziwnych o rozmarynie,
O drużkach . . . to o Stachu. . . .

Bo gdzieżby wam też, mocny mój Boże!
Na głody, chłody, troski,
Za siódmą górę, za siódme morze
Od takiej lecieć wioski!

PRZEORAŁY RAZ I DRUGI . . .

Przeorały raz i drugi
Ziemię naszą ciężkie pługi;
A po każdym skiba czarna
Czeka siewu, czeka ziarna.
Hej, siewacze, błogi czas!
Czemuż dotąd niema was?

Burze wstrząsły ziemi łonem,
Wiatr przeleciał nad zagonem,
Spadły z nieba żyzne deszcze,
A was dotąd niema jeszcze!
Hej, siewacze, na wasz trud
Czeka ziemia, czeka lud!

Kości ojców, ich mogiły
Pola nasze użyźniły;
Słonko wschodzi nam powoli,
Białe rosy drżą na roli. . . .
Hej siewacze, błogi czas!
Stara ziemia czeka was!

TEMU TYLKO PŁUG A SOCHA . . .

Temu tylko pług a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łzy i ból!

Temu tylko ostra brona,
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiędze,
Kto zna twardej doli nędzę,
Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!

Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa . . .
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz, to dziś — miecz . . .
A wy, zimni, z pól tych — precz!

CHODZIŁY TU NIEMCE . . .

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce:
"Sprzedaj, chłopie, rolę,
Będziesz miał czerwieńce!
Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole . . .
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole!"
— A mój Niemcze miły,
Idźże, kędy raczysz,
Ale mojej roli
Równo nie obaczysz!
Schowaj se czerwieńce
I białe talary . . .
Kto przedaje ziemię,
Nie naszej ten wiary!
Bogatyś ty, Niemcze,
I trzos twój chędogi,
Ale na tę ziemię
Jeszcześ za ubogi!
Pójdą twe talary
Za rolę, za płoty;
A kto mi zapłaci
Ten miesiączek złoty?
A kto mi zapłaci
Za tą jasność bożą,
Co w moje okienko
Idzie z każdą zorzą?
Za ten dach słomiany,
Co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni
Rankiem na pacierze?

Za te lasów szumy,
Za te polne kwiaty,
Za ten krzyż pochyły,
Co mi strzeże chaty?
A kto mi zapłaci
Za te jasne rosy,
Co się srebrem sypią
Na łąki, na wrzosy?
Za wiosenny klekot
Naszego bociana?
Za tę pieśń z pod lasu:
"Oj dana! . . . oj dana! . . ."
A kto mi zapłaci
Za tę modrą wodę?
Za ciepłe słoneczko,
Za cichą pogodę?
Za ten piasek biały,
Gdzie się trzpioczą dzieci?
Za tego skowronka
Co nad głową leci?
Za ten wiatr co wieje,
Za fujarki granie?
Za tego świerszczyka,
Co tam świerka w ścianie?
Za palmę, co pęka
W kwietniową niedzielę?
Za gruszę tę polną,
Co długi cień ściele?
A kto mi zapłaci
Za słodkość tę miodu,
Co pszczoły ją niosą
Do ula z ogrodu?
Za cmentarz rozkwitły
W głóg dziki, jak sady,
Gdzie leżą w mogiłkach
Ojcowie i dziady?

A toćże i mnie tam
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła:
"Chodź, chłopie, do nieba!"
A toćby mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać
Ojcowej mogiły!
Nie sprzedam ci roli . . .
Weź, Niemcze, talary . . .
Kto ziemię przedaje,
Nie naszej ten wiary!

ZASZUMIAŁ LAS, ZASZUMIAŁ LAS . . .

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni . . .
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni. . . .

Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęsknot moich żaru,
I sine mgły i srebne łzy
Rozbłysły w cieniach jaru. . . .

Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr,
Echem mych skarg zbudzony,
I poniósł szum żałosnych dum
W dalekie, cudze strony. . . .

Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me, na trwogę,
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brat,
Rozbudzić dziś nie mogę!

PO CISZY . . .

Ustaby moje milczały, jak trumna,
Gdyby o skargi chodziło mi własne;
Bo ja też umiem stać cicha i dumna
I pod wiatr czoło mieć jasne.

Z życiem przywykłam rachować się twardo
I własną dolę odrzucać z tej szali,
Na której serce milionów się pali
I drży, zdeptane pogardą.

I wiem, że teraz jest pora ciemności,
W której się duchy wzajemnie druzgocą,
Nim światło wejdzie i spokój przyszłości
Nad walką świata i nocą.

Ale mam w sercu miłość i ból taki,
Co w piersi mojej płomienie zażega;
Więc biję w skrzydła i wzlatam, jak ptaki,
I krzyk z ust moich wybiega.

Zbudzićbym chciała i rozgrzać tym krzykiem
Tych, co zasnęli, zastygli wśród drogi:
Mniejsza, że nikt mnie nie nazwie słowikiem,
Lecz ptakiem burzy i trwogi.

Nie przyszłam po to, by pieścić wam uszy
I z kwiatów składać wiązankę różową,
Lecz by niedoli milczącej dać słowo
I sięgnąć do waszej duszy!

Głos mój — wiem — wzleci i zniknie w tym gwarze
Wieku, co huczy, jak wicher na ziemi;
Lecz kiedyś przecie powiedzą nędzarze:
"Płakał ktoś łzami naszemi!"

WIECZORNY DZWON . . .

Wieczorny dzwon, wieczorny dzwon
Pochwycił duszę moją
I uniósł ją do lubych stron,
Gdzie gwiazdy we łzach stoją!

Tam z łąk i pól, tam z łąk i pól
Westchnienie ciche leci
I piersi żar i męski ból
W mokrych źrenicach świeci. . . .

Rozwiał się czar, rozwiał się czar,
Co trzymał mnie w zachwycie
U stóp tych skał, olbrzymich mar,
Stojących w mgły błękicie!

Wskroś rzek i gór, wskroś rzek i gór
Czuję cię, wiosko droga!
I słyszę twój szumiący bór
I widzę krzyż u proga,

I łzy i znój, i łzy i znój,
Co cię od wieków poją . . .
O kraju mój, o kraju mój!
Znów jestem twoją, twoją! . . .

NAD MORZEM . . .

O niezmierzone! o morze!
Na twoje srebrnej harfie nie śmiem złożyć dłoni,
A pochwycona czarem, jaki pieśń twa roni,
W milczeniu ducha się korzę!
Z zamglonych wieczności progów
Idziesz, jak idą czasy, konieczne, niezmienne;
A fale twe, lecące, jak ptaki bezsenne,
Widzą skon ludów i bogów.
Tragiczne strofy twej pieśni
Słyszane były w wieków konających łkaniu
I znów będą słyszane w stuleci zaraniu,
Gdy ziemia noc swoją prześni.
Do mglistych westchnień lutni pod ręką Bajrona,
Ludzkość, tysiącem nędz swych smagana i łżona,
Skarży się w twoim języku.
Pieśni twej — kto zna poczęcie?
I kto będzie dość wieczny, by czekać jej końca?
Na okręgach księżyca i na jądrze słońca
Położył Pan jej pieczęcie,
O, jakże gorzkie jej słowo!
Gdyby ludy, słuchając, pojęły jej dźwięki,
Jak przy skończeniu świata, powstałyby jęki
Muzyką Józafatową!
Bo nie przeminął od wieka
Ani jeden z tych słabych, co krzywdy doznali,
żeby jego wołanie nie grzmiało w tej fali,
Jako ślad nędzy człowieka.
Lecz teraz jest to zakrytem,
Dla małości dusz naszych, które chcą spocznienia

I usypiają, nędzne, pośród krwi i cienia,
Jako pod jasnym błękitem.
A gdy się czas ten dokona,
I sprawiedliwość weźmie berło swe na ziemi,
Pójdzie dreszcz sądów bożych falami morskimi
I otworzą się wód łona.
Wtedy pieśń twoja, o morze,
Z przeraźliwą jasnością w słuch ludów uderzy . . .
I zdumieją się ludy i pójdzie wiew świeży
Po ziemi całej przestworze,
Po ciemnych głębiach żywota.
I nazwie ziemia pieśń tę — spowiedzią stuleci.
I podniosą się narody
Wiekuistym przypływem ducha-wskrzesiciela,
I ucichną twe jęki i pieśni wesela
W błękit podniosą twe wody.
Lecz dziś, o morze! twe szumy
Nieukojone płaczą nad nędzą ludzkości!
I ja płaczę wraz z nimi. . . .

POŁÓŻ RĘKĘ NA SERCU . . .

Połóż rękę na sercu, a jeśli ci ono
Gnuśnym i sennym ruchem w piersiach się kołysze,
Jeśli się lęka przerwać wywczasów twych ciszę,
A zamiast grzmieć i tętnić — usypia ci łono,
Jeśli uderzeń swoich przyśpieszyć nie może,
Ani buchnąć płomieniem rozpaczy i wzgardy,
Jeśli w piersiach ci leży, jak kamień ów twardy,
Którego pług nie ruszy, lecz w chwastach oborze:
Zaprzyj się tego serca i słowy gorzkiemi
Klnij tych, co ci je dali małem i robaczem,
I płacz — jeżeli możesz — rzęsistych łez płaczem,
Boś nędzny, najnędzniejszy z nędzarzów tej ziemi!

Serca, co się tchem wieku, jak iskra, zapala,
Jako płomień, wybucha, a jak piorun, gaśnie,
Serca, przez które płynie gorącej krwi fala,
Serca, co pęknąć zdolne — potrzeba ci właśnie!
Jeśli takiego nie masz, z schylonem obliczem
Idź a szukaj w bezcześci gnuśnego ukrycia
I miejsca, gdzieby wolno nazywać się — niczem,
Oddychać bez powietrza i istnieć — bez życia!

A CHOĆBYŚCIE WROŚLI W ZIEMI . . .

A choćbyście wrośli w ziemi
Siłami wszystkiemi,
Choćby wszystkich dżdżów obłoki
Poszły wam na soki:
Nie wzniesiecie w górę czoła,
Gdy wiosna zawoła,
Nie wydacie duchem kwiatu
Ni sobie, ni światu —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

A choćbyście przeszli morza,
Błękitne przestworza,
Choćby góry całej ziemi
Z skarbami wszystkiemi:
Powrócicie, jak żebracy,
Z waszych dróg i pracy,
Załamiecie próżne ręce,
W strasznej głodu męce —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czole,
Choćby z stali były męże,
A z gromów oręże:

Pójdą w jeństwo wasze roty
Popod cudze płoty,
Wasze boje będą klęską.
Wasza śmierć niemęską —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćby wam trąby grały
Nowych dni hejnały,
Choćby cały świat z mogiły
Wstawał pełen siły:
Wy się z trupich waszych pleśni
Nie dźwigniecie w pieśni
I w zmartwychwstań wielkiej dobie
Zostaniecie w grobie —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

KTO POLICZYŁ ILE SIŁY . . .

Kto policzył, ile siły
Zużył polny kwiat ten lichy,
By się wydrzeć z swej mogiły,
Aby przebić grób swój cichy
W zmarwychwstania dzień,
I rozpłonąć drobną głową
W barwę świtu purpurową
Ponad noc i cień?

Kto wie, jakich pragnień żary
Przepaliły pień ten stary,
Zanim puścił pędy młode
Na wiosennych tchnień swobodę,
Na poświsty burz?
Kto policzył tętna bicie
W drobnym krzewie, kiedy skrycie
Wiąże pąki róż?

Kto zaprzeczyć się odważy,
że rzucone ziarno marzy
O przyszłości plonu żniwa?
że się własnym rzutem zrywa
I podźwiga w kłos?
Kto mi powie, jak łan długi,
Co tu łask, a co zasługi,
Ile łez a ros?

O zaprawdę! wiosna puka
Do wrót tylko tych cmentarzy,
Gdzie się ciepłych tchnień doszuka,
Gdzie pod ziemią życie gwarzy,
Gdzie jest puls i ruch . . .
I tam tylko zmarłe wskrzesza,
Gdzie na ustach się zawiesza
Niewystygły duch!

O zaprawdę! bez pragnienia
Bytu, bez prac dobrej woli
Nie powróci wiosna tchnienia
Jednej trawce z czarnej roli,
Nie w jej mocy cud!
Ona tylko tam zakwita,
Gdzie od dębu do źdźbła żyta
Czuje żywy trud.

A gdzie zbraknie takiej siły,
Co rozżarza proch mogiły,
Co z iskierki jednej ducha
Promień wskrzesi i rozdmucha
Na ognisko dusz:
Nie przylecą tam komety
Na popiołach wić bukiety
Gorejących róż.

Gdzie zabraknie takiej mocy,
Coby słońca wykrzesała
Z czarnych włosów cichej nocy,
Gdy na gwiazdach stoi biała
W pośród mlecznych dróg:
Tam nie przyjdzie żadna zorza
Ni z za góry, ni z za morza,
Przez srebrzysty próg.

Gdzie zamilkło żywe słowo,
Co służyło jako hasło,
Aby w długą noc zimową
Serce w piersiach nie zagasło,
Nie straciło tchu:
Tam nie przyjdzie żadna wiosna!
Pieśń zwycięska, pieśń radosna
Nie rozbudzi snu!

CONTRA SPEM SPERO . . .

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę,
I obrócony wzrok trzyma na burze
I nawałnice,
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei
Przeciw nadziei.

Tak pieśniarz ślepy, gdy go noc otoczy,
Choć wie, że rankiem nie wzejdzie mu słońce,
Podnosi w niebo obłąkane oczy
I dłonie drżące
I mroki pije źrenicą zagasłą,
Wierząc w dnia hasło.

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze . . .
I syn się karmi kłosami gorzkiemi
Z ojców swych ziemi.

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły,
Idziem, jak idą bezdomne przechodnie,
Z zwiędłemi czoły,
A stopy nasze zasypuje ślady
Wicher zagłady. . . .

Wiem, niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli . . .
I ja też lecę, jak ptak obłąkany
I wichrem gnany.

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ogarniona sferą,
Oczyma szukam dnia blasków i słońca
Contra spem — spero . . .
I w mogił głębi czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze. . . .

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów . . .
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei,
Przeciw nadziei!

KWIATY . . .

Rzucajmy piękna siew!
Niech wschodzą kwiaty,
Jak cudnych marzeń rój,
Lekki, skrzydlaty. . . .

Za kwiatem przyjdzie nam
I owoc boży,
I urok piękna sam
Dobro otworzy.

Cóż kwiatek? — Barwny puch,
Oczu ułuda . . .
Lecz w pięknie żyje duch,
Co tworzy cuda.

Zaprawdę życia ten
Nie strwonił marnie,
Kto kwiecie swoich niw
Z miłością garnie. . . .

I w ludów wiosny dzień
Stanie ten śmiało,
Kto rzucił ziemi swej
Choć różę białą. . . .

NOWY ROK . . .

Witaj zdrowy, roku nowy,
Nowej pracy dniu!
Choć nie zdejmiesz troski z głowy,
Nie przysporzysz snu;
Choć się człowiek nie dopyta
W nowe gody te,
Czy mu na chleb starczy żyta,
Czy go minie złe. . . .

Choć nie będzie lżej bić młotem,
Ani ciągnąć pił,
Chociaż musi krwawym potem
Spotnieć, aby żył:
Przecież sercu jego miło
Witać nowy rok
I w świat boży z nową siłą
Podnieść jasny wzrok.

Bo jest w piersiach u człowieka
Taka dziwna moc,
że z nadzieją słońca czeka,
Choć na ziemi noc.

Bo w nim żyje siła taka,
Taki pęd w nim tkwi,
że się zrywa lotem ptaka
Do jutrzejszych dni.

Hej! niech życzy, kto życzliwy,
Uściśnijmy dłoń . . .
Jedność bratnia skarb prawdziwy;
Tego skarbu broń!

Jak się człowiek po gromadzie
Spojrzy w ciężki czas,
To na sercu rękę kładzie:
Jeszcze kupa nas!

MATCE . . .

Słyszę wołanie twoje. Szeroko po świecie
Leci głos trwożny matki, zlęknionej o dziecię.
Serce w nim bije, w dzwon go spiżowy zamienia . . .
Słyszę cię, wskroś własnego bólu i milczenia.

Lecz złą obierasz drogę. O, nie do szczęśliwych
Wołaj! O, nie do matek wołaj synów żywych!
Nie do tych, co głów drogich chciwem okiem strzegą
I trosce twojej mówią: Co mi? Ja mam swego!

Ty idź po wielkich, smutnych, opuściałych drogach,
W domostwa czarne wstępuj i siadaj na progach
Które anioł w noc klęski, znak kładąc, pomijał,
Gdy synów pierworodnych mór matkom zabijał.

Ty idź do głośnej jękiem skroświekowym Ramy
I górę przekrocz trupa i stań u tej bramy,
Którą syny umarłe wynoszą Racheli . . .
Tam wołaj, tam zaklinaj przez kość, co się bieli! . . .

Ty idź na bujne łąki, stojące w łez rosie,
Gdzie kosi śmierć i kładzie pokos na pokosie . . .
Gniazd szukaj, z których jastrząb słowiki wybiera,
Idź w bór ludzki, gdzie rąbie odwieczna siekiera.

Na stare idź cmentarze, co grobów, twą nogą
Deptanych, w rowach swoich pomieścić nie mogą;
Tam pomiędzy postacie, które wiatr ugina,
Patrz pilnie — szukaj matki umarłego syna.

Poznasz ją: stoi cicha, drżąca, bez podpory,
Na twarz jej zgasłą biją mogilne kolory
Ziemi, gdzie zakopaną ma nadzieję swoją . . .
Poznasz ją: czarne sosny tak w wyrębach stoją.

Ona ciebie zrozumie: ją pochwyć za szatę
I prowadź ją w poddasze twoje, czy komnatę
I mów jej słowa ciche, nagłe i gorące . . .
Mów szeptem, bo się zbudzi dziecię twoje śpiące.

Z ODDALI . . .

Czekajcie mnie, czekajcie mnie,
Aż spadną jasne śniegi! . . .
Może ja wrócę w mroźnej mgle
Na własne, ciche brzegi. . . .

Może w gwiaździstych szronów noc
Z stygnącem w piersi tchnieniem,
Przez długich tęsknot gnany moc
Przylecę choćby cieniem. . . .

I stanę wpośród białych ścian
Pod jarzącymi błyski,
Nie czując starych moich ran,
Wskrzeszony przez uściski. . . .

I naszych sosen wetchnę woń
Z jasnej choinki dziatek . . .
I zwiędłą, wyschłą moją dłoń
Wyciągnę po opłatek. . . .

O! gdzie ten dom, gdzie jest ten próg,
Wysoki a lipowy,
Gdziem słyszał kiedyś "Prowadź Bóg!"
Gdziem słyszał: "Bywaj zdrowy!"

Tam w śnieżnych wichrach ziemi szmat,
A nad nią strzecha świeci . . .
Słomiana strzecha naszych chat,
Gdzie dusza moja leci. . . .

O, długież noce, długie dnie,
Mojej tułaczej jazdy! . . .
Czekajcie mnie! Czekajcie mnie,
Aż błysną pierwsze gwiazdy. . . .

KOCHAM CIĘ

Kocham cię gwiazdo, w lazury rzucona
Z dala odemnie,
Do której próżno wyciągam ramiona,
Tęsknię daremnie!
Ty jesteś może zagasłym już globem,
Pustynią chmurną,
Wygnanych duchów ojczyzną i grobem,
Strzaskaną urną.
Może! . . . Lecz teraz, gdy płoniesz tam, z dala
Pochodnią złotą,
Duch się mój smętny do ciebie rozpala
Cichą tęsknotą!

Kocham cię, kwiecie, co w skalnej szczelinie
Zakwitasz dziko,
Zbudzony z pąka powiewem, co płynie
Górską muzyką!
Zerwany, zwiądłbyś w gorącej mej dłoni
I byłbyś niczem,
Oddawszy ducha w przedśmiertnej swej woni,
W tchnieniu dziewiczem . . .
Lecz teraz, gdy cię prócz rosy i słońca
Nikt nie tknął w świecie,
Gdy się otwierasz, jak dusza tęskniąca,
Kocham cię, kwiecie!

Kocham cię, duchu samotny, daleki
Od mego cienia,
Co swym porywom włożyłeś na wieki
Pieczęć milczenia!
Ach! gdyby kiedy usta ci otwarły
Skargi płomienne,
Ty byłbyś dla mnie, jak anioł umarły,
Jak widmo senne . . .
Lecz gdy się bronisz bladością i łzami
Od żądz wybuchu,
Gdy taka cisza i jasność jest z nami,
Kocham cię, duchu!

NA SKRZYDŁACH PIEŚNI . . .

Na skrzydłach pieśni dusza moja lata
Nad okręgami błękitnego świata,
Który gdzieś, kiedyś, na ziemi, czy w niebie,
Bóg musiał stworzyć dla mnie — i dla ciebie.
Czuję w powietrzu kwiatów jego tchnienia,
Szum jego lasów zadumanych słyszę,
Znam jego blaski i jego zaćmienia
I pieśni jego — i ciszę!
A przecież nie wiem, czy on jest zjawiskiem
Sennem, czy może drobnem gniazdkiem ptaszem,
Czy nawet tylko uśmiechem, uściskiem,
Tęsknotą, pragnieniem naszem?
Wiem, że myśl moja tam światłem się poi,
Jak ptak, co leci do słońca o świcie . . .
Wiem, że tam kiedyś, u srebrnych podwoi,
Ducha twojego spotkałam w błękicie.
A przecież nie wiem, kiedy z tobą jestem,
Czy się wznosimy, jako dwa płomienie,
Czy jak dwie gwiazdy, spadamy z szelestem,
W powietrze lekkie zostawiając drżenie?
Wiem, że nie znajdę nigdzie ukojenia
I wieczną będę trawić się tęsknotą,
Dopóki żarów mojego pragnienia
Tam nie ugaszę czarą szczerozłotą!
A przecież — nie wiem, jaka wiedzie droga
W ten świat uroków i ożywczej siły . . .
Czy wskroś przez słońce, jakoby do Boga,
Czy wskroś przez ziemię, jakby do mogiły?
Ja tylko czuję, że on gdzieś istnieje! —
Jak żeglarz, kiedy odwagę utraca,
Na brzeg daleki, co w mgłach gdzieś sinieje,
Gasnące oczy obraca,

I jak rozbitek w uniesionym kwiecie
Zgaduje blizkość ziemi i zbawienia,
Tak ja o naszym tym błękitnym świecie
Marzę z jednego słówka i spojrzenia!
Gdy na twych piersiach, cicho tuląc głowę,
Śnię przyszłych świtów odblaski różowe,
Gdy myśl się twoja z moją myślą splata,
Wiem, że ta chwilka jest z "naszego świata!"
Dusza mi wtedy cała błękitnieje,
Jakby w niej gwiazdę rozpalił kto złotą . . .
I znowu płonie nadziemską tęsknotą —
I znowu wierzy i znów ma nadzieję!
Na ustach gasną żary słów tej ziemi,
Myśl się prześwietla blaskami miesiąca . . .
W ramionach twoich, cicha, dumająca,
Oczu twych szukam oczyma smutnemi . . .
Wiem, że nie stąd rodem my oboje,
że zgiełk ten próżny, który nas dolata,
Namiętne drobnych celów niepokoje
Walki nędz pełne — nie z "naszego świata!"
Lecz, gdy ta chwilka przebłyśnie nad głową,
My, jakby z raju wygnani na nowo,
Na ustach nosim ziemi czcze uśmiechy
I łzy jej w oczach — i w sercach jej grzechy!

Ach, kiedyż, kiedyż, wolni, jak dwa duchy,
żądz tych i pragnień zerwiemy łańcuchy? . . .
I wyzwoleni będziem od serc bicia
I od rumieńców nagłych i — od życia?
Idziemy smutni, idziemy znużeni
Przez państwo ognia i bólów i cieni,
I tylko cicha tęsknota paląca
Wróży, że kiedyś dojdziemy do końca . . .
Lecz zanim życie z swą nędzą się przyśni,
Dusza się moja zrywa — i ulata
W górę, tam — w górę — do naszego świata,
Na skrzydłach pieśni!

CO SIĘ STAŁO?

Gajem cichym szum przelata,
Brzoza wstrząsa szatą białą,
Pierzcha ptasząt czerń skrzydlata . . .
— Co się stało? Co się stało?
Przysłoniwszy oczy rzęsą,
Słońce patrzy poprzez liście . . .
Szarych mietlic drżące kiście
Brylantowe rosy trzęsą . . .
Rozwichrzyły się srebrzyste
Pasma lekkich, długich cieni . . .
Na mchy rzucił snop promieni
Arabeski przeźroczyste.
W pół piosenki przecichł nagle
Na gałązce ptaszek szary;
Bocian podniósł ciężkie żagle
I popłynął na moczary . . .
Wykąpane w wód przeźroczy
Niezabudki kupką całą
Otworzyły modre oczy . . .
— Co się stało? Co się stało?
Uleciały świetlną smugą
Kryształowych roje muszek . . .
Jakiś psotnik, jakiś duszek
Zachwiał trzciny ponad strugą . . .
Na wiatr puścił motyl młody
Z barwnej tęczy tkane skrzydła . . .
Zamąciły jasne wody
Przeźroczyste malowidła . . .
Dziwne, słodkie rozmarzenie
Po gałązkach brzóz przewiało,
Niby światła, niby cienie . . .

— Co się stało? Co się stało?
Jakieś blaski, jakieś żary
Uderzyły przez powietrze . . .
Potem gasły — bledsze — bledsze,
Rozwiewając się w opary . . .
Szmer się szerzy, miesza, dzieli,
Szybszym ruchem biją tętna,
Po liliowej głogów bieli
Łuna rzuca się namiętna . . .
Jakieś smutki i tęsknoty
Z mgłą padają na świat białą . . .
Czuć w powietrzu szmer pieszczoty . . .
— Co się stało? Co się stało?
Zda się, że ta ustroń cicha
Drży z rozkoszy, płonie, żyje . . .
Ach! ktoś szepce . . . szepce . . . wzdycha . . .
Ach! to komuś serce bije!
Ach! to wiosny słodki trunek
Upojenie w piersi sączy . . .
Ach! to pierwszy pocałunek
Rozkochane usta łączy!

KTOŚ MNIE CZEKA . . .

W ciszy nocnej szumią drzewa,
Łąki pachną dookoła . . .
Wiatr daleką pieśń przywiewa . . .
— Ktoś mnie czeka! Ktoś mnie woła!
Czuję dziwne niepokoje . . .
Tajemnicze serca drżenie . . .
Bądźcie zdrowe, łąki, zdroje!
Woła na mnie przeznaczenie.

Wschodzi ranek purpurowy,
Ptaszka zrywa się wesoła . . .
Fale krwi biją do głowy . . .
— Ktoś mnie czeka! Ktoś mnie woła!
Pół z uśmiechem, a pół z troską
Droga mi się śni daleka . . .
Bądź mi zdrowa, moja wiosko!
Życie, życie na mnie czeka!

Pąk roztula róża biała,
W rosie stoją nizkie zioła . . .
Noc miesięczna drży i pała . . .
— Ktoś mnie czeka! Ktoś mnie woła!
Strach mi czegoś . . . blednę, płonę,
W duszy tak mi jakoś rzewno . . .
Bądźcie zdrowe, sny prześnione!
Ach, to miłość, miłość pewno!

Opalowa gore tęcza,
Mgła opada z lasów czoła . . .
W żyłach tętni krew młodzieńcza . . .
— Ktoś mnie czeka! Ktoś mnie woła!
W piersiach kipi, jakby morze . . .
Duch błyskami się napawa . . .
Skrzydła rwą się gdzieś w przestworze . . .
— Ach, to rozkosz: ach! to sława!

Upojenia czara złota
Czyż nasycić mnie nie zdoła?
Wiecznąż będzie ma tęsknota?
— Ktoś mnie czeka! Ktoś mnie woła!
Gaśnie gwiazda na błękicie,
Z echem kona pieśń daleka . . .
życie! żegnaj mi, o życie!
Czarna ziemia na mnie czeka!

O GWIAZDY ZŁOTE! . . .

O gwiazdy złote!
Po toż świecicie nocami cichemi,
By wrażać w serce uśpionej tej ziemi
Wieczną tęsknotę?
Ach! kto raz dotknął czary upojenia,
Stojąc samotny wśród nieskończoności,
Ten nie ukoi już nigdy pragnienia
W zmąconych źródłach nicości!

Ciche przestrzenie!
Kiedyż, ach, kiedyż płonące źrenice
Odgadną waszą srebrną tajemnicę,
Przenikną cienie?
Lekka, przejrzysta mgieł waszych zasłona,
Co się rozwiewać zdaje z ust mych tchnieniem,
Czyż tak na zawsze będzie rozciągniona
Pomiędzy prawdą a ludów sumieniem?

Ciemne błękity!
Czemuż wschód słońca tak jeszcze daleki?
Czy ujrzą kiedy stęsknione powieki
Nowych zórz świty?
Czy patrzeć mają, wiecznie wytężone,
W tę rozjaśnioną lekko wschodu stronę,
Kędy przez chmury łez ludów perłowe
Słońce podnosi swą głowę?

O nocy smętna!
Ty, co uciszasz łkającą pierś świata,
Czemu w bezsennych porywach ulata
Dusza namiętna?
Jestże to klątwą, czy dolą jej błogą,
że gdy śpi ziemia, tęsknoty wybuchy,
Co niezrodzonych wieków budzą ruchy,
Usnąć, ucichnąć nie mogą?

PRZED ODLOTEM . . .

Z jaskółką czarną rzucam gniazdo moje,
Wioskę zieloną . . .
Przede mną lecą jakieś niepokoje
Chmurką spłoszoną. . . .
Słońce mi w drogę daje złotą smugę,
Gdzie ścieżka płowa,
A łąka za mną szle błękitną strugę,
Szepcząc: "Bądź zdrowa!"
Porzucam wszystko, idę w świat daleki!
Tylkobym rada
Wziąć z sobą szumy srebrzyste tej rzeki,
Co hucząc, spada. . . .
Przejrzysty lazur szerokiej przestrzeni
I oddech wolny
I chłód tych świeżych, tych borowych cieni
I kwiat ten polny. . . .
Tylkobym chciała tej brzozy płaczącej
Wziąć z sobą smutki
I parów, we mgłach wilgotnych dyszący,
I niezabudki. . . .
Wieczorną gwiazdę, co w ciszy błękitu
Pała milcząca . . .
I srebrne hasła i błyski przedświtu
I ten wschód słońca.
Tylkobym w kielich z białego powoju
Rosy wziąć rada
I znane szepty lubego mi zdroju,
Co przez sen gada. . . .
Echo fujarki, chrzęst kosy na łące,
Piosnkę żniwiarzy . . .
I słówko bratnie, serdeczne, gorące:
"Niechaj Bóg darzy!"

FRAGMENT . . .

Skarżycie się na wiek, co ideały
Odziera z szat i waży je i mierzy . . .
Skarżycie się, że duch poezji biały
W śmiertelnym śnie z strzaskaną lutnią leży. . . .
Skarżycie się, że niema śpiewać komu,
Że zagłuchł świat, do złotej biegnąc mety,
Że wpośród burz i krwawych walk ogromu
Bez echa drży znikoma pieśń poety. . . .
— Lecz gdzież jest pieśń, co czarów swych potęgą
Przykuwa słuch lecących w bój szermierzy,
Ołtarzem jest, świętością i przysięgą,
Przez którą duch, zwątpiwszy nawet, wierzy?
Lecz gdzież jest pieśń, z marmuru wyrzeźbiona,
Jak biały bóg, co nocy cień zwycięża? . . .
Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy jak korona
Słonecznych zórz, na jasnem czole męża?
Lecz gdzie jest pieśń, co jako młot olbrzyma,
Z surowych skał wykuwa dzieło ducha? . . .
Gdzież jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,
Pada, jak grom, a jako pożar bucha?
Lecz gdzież jest pieśń, co czołem swem wybiega
Do wyżyn tych, gdzie pnie się duch stęskniony?
Gdzie pieśń, co skry w zmartwiałej krwi zażega
I hasłem jest, pod którem wrą miliony?
Lecz gdzież jest pieśń, co w przyszłość wkracza śmiało

I ziarnem prawdy zasiewa niwę dziką?
Gdzie jest ta pieśń, co duszę ma i ciało
I wielkich słów ludzkości jest muzyką? . . .
Ach! taką pieśń, lirnicy małowierni,
Zanućcie tu, w powszednim ziemi gwarze,
Gdzie stoi tłum ostygłej, martwej czerni
I garstka tych, co strzegą jej ołtarze. . . .
Niech taka pieśń, jak orzeł, w górę wzleci,
A trupy drgną. Zaprawdę, mówię wam,
Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci,
Ja milion serc wzruszonych pieśnią dam.

WSKRÓŚ NOCY . . .

W noc cichą czuwam, a myśl wytężona
Lecących światów chrzęst płomienny słyszy . . .
I drżę i tęskne wyciągam ramiona
Do tajemnicy, nurtującej w ciszy.

O! niech mi powie, kto gwiazd myślą sięga
I szmeru tajnych prądów życia słucha,
Gdzie jest tym prawdom złożona przysięga,
Któremi ludzkość karmi swego ducha?

Komu i na co jej walki, jej cele?
Gdzie ujście mają jej znoje, jej trudy,
Jej uniesienia, jej ból, jej wesele?
Gdzie lecą wieki i gdzie lecą ludy?

Czy ty, przyrodo, chwytasz ich porywy
Słońcu na strzały do złotej cięciwy?
Czy z nienawiści kujesz klęsk swych miecze?
Czy w perły ścinasz gorzkie łzy człowiecze?

Czy z myśli mędrców budujesz gór szczyty?
Czy z serc niezłomnych wykuwasz granity?
Czy z młodych marzeń przędziesz chmurki płowe?
Czy z tęsknot deszcze lejesz brylantowe?

Czy z smutków czarnych dzikie wznosisz puszcze?
Czy uściśnienia przeobrażasz w bluszcze?
Czy z pocałunku stwarzasz różę białą?
Czy z cichych dumań zmierzchom dajesz ciało?

Czy ty, przyrodo, uśmiechy radosne
Zaklinasz w kwiaty, chwilkę szczęścia — w wiosnę?
Nadzieję, w ptaszka, co rankiem świegoce?
Przyjaźń w gwiazd światło, miłość — w letnie noce?

Czy ty z narodzin i śmierci okrzyku
Zgłoski wykuwasz w tajemnym języku?
Czy ty z uniesień wichrom ciało dajesz,
A ostrzem wzgardy diament w ziemi krajesz?

Czy ty zwątpienie w mgły rozsnuwasz ciemne?
Rozpaczą ognie podsycasz podziemne?
Z tajnych udręczeń rdze osadzasz krwawe,
A żądzę topisz w buchającą lawę?

Czy z wielkich czynów światy stwarzasz nowe?
Czy krwi wylanej rzeki rubinowe
Przed nowem słońcem przepromieniasz w zorze?
Czy pragnieniami chłoszczesz sine morze?

Czy głuche gniewy zaklinasz w wulkany?
Wzruszenia tłumów — w grzmot powstrzymywany?
Krzywdy rozwierasz w przepaście bezdenne,
A w pomście — gromy rozpalasz płomienne?

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata
I wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne
I w ciszę rzuca pytania namiętne.

Pójdę, gdzie tchnienia czas nabiera w biegu . . .
Pójdę, gdzie przestrzeń linie swe rozmierza . . .
Tam, na przepastnym pochylę się brzegu,
Gdzie nicość w życie, jak piorun, uderza. . . .

Tam oko w oko z tajemnicą stanę,
Wieczne ogniwa bytu liczyć pocznę,
Aż prawda zrzuci zasłony obłoczne
I duch mój przejrzy to, co niezbadane.

TĘSKNOTA . . .

W pół senne duchy owiewa
Przeczuciem świtu,
W zmroki wiosenne przywdziewa
Szatę z błękitu.
Ucisza gwary i szumy
Skinieniem ręki . . .
Lirnikom szepcze ich dumy,
Ptaszkom — piosenki. . . .
Poezją w krwi młodej płynie
Z cichym szelestem,
Spłonionej mówi dziewczynie:
"Oto ja jestem";
Na smutnym licu drży cieniem
Spuszczonych powiek
I w pierś ci puka pragnieniem:
"Zbudź się: tyś człowiek!"
Wśród tłumu staje milcząca,
Niby sierota,
I myśl uśpioną potrąca —
Święta tęsknota.

Zwycięską prawdy potęgą
Ducha uderza;
Czoło pochyla nad księgą,
Krzepi szermierza . . . .
Do ideałów ramiona
Wyciąga, drżąca,
I w piersi chwyta, spragniona,
Złote skry słońca.
Nad bladem czołem czcicieli
Chwałą wybłyska . . .

Unosi z wieków topieli
Ducha zjawiska. . . .
Potężnem pragnień poczęciem
Rodzi olbrzymy
I ust zdmuchuje dotknięciem
Czczych rojeń dymy.
Kogo poślubi, ten szczyty
Orłem przeleci,
Aż ujrzy ciche błękity —
Przystań stuleci —
I już nie zazna pokoju
Cichej godziny,
Aż się napije u zdroju
Wiecznej głębiny.
W mędrcu rozbudza pragnienia
Podniosłe, czyste,
I wraża w ludów sumienia
Prawdy wieczyste.
Jest tchem idącej ludzkości
W pracy i w znoju
Uśmiechem nieskończoności,
Sztandarem w boju;
I wschodzi w ducha głębinie,
Cicha i złota,
Aż w blaskach wiedzy wypłynie —
Gwiazda — tęsknota.
Drży, woła czynu płonąca,
Ziemię popycha,
Przez noc chaosu — do słońca,
Walką oddycha.
Pierś jej — to wulkan, jej oczy —
To zorza krwawa;
Przez śmierć do życia, grzmiąc, kroczy,
Przez gwałt — do prawa.
Dłońmi własnemi rozrywa
Pąki przyszłości

I na dzień biały dobywa
Kwiaty ludzkości.
Wre, milcząc, i tajemnicze
Roznieca żary,
A gdy odsłoni oblicze,
Świat trzeszczy stary.
Jady krzywd zbiera i mierzy
I pije, blada . . .
Aż gdy godzina uderzy,
Piorunem spada.
Walczy i pragnie i płonie,
Duchami miota
I chodzi w ogniów koronie —
Burza — tęsknota.

W wygasłe wpatrzona światy,
W gwiazdy strącone,
Na piersiach zeschłe ma kwiaty,
Z dumań zasłonę.
Zliczyła wszystkie mogiły,
Wszystkie ofiary . . .
Do walki brakło jej siły,
Celu i wiary.
Co ziemskie, rzuciła ziemi;
Dziś z sercem zgasłem,
Oczyma patrzy cichemi
Za wiecznem hasłem.
Groby miłością oplata,
Jak gniazdo puchem,
Na świecie, lecz nie ze świata,
Cieniem jest, duchem. . . .
Czar wspomnień, ból rozłączenia,
To jest istota . . .
życie, jak powój — ocienia
Cisza — tęsknota.

DO MŁODEJ BRACI . . .

Czuwaj, strażnico! W ludzkości pochodzie
Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie!
Niech tory biją przed braćmi ciemnemi,
Niech będą świtem i jutrznią tej ziemi —
I wyciągniętą po światło prawicą. . . .
Czuwaj, strażnico!
W wieków i ludów i pojęć rozterce
Ty stój, gdzie bije puls ziemi i serce!
Tchnieniem zapału rozgrzewaj ty słońce,
Nad małodusznych głowami stygnące,
I bądź wiosennej burzy błyskawicą . . .
Czuwaj, strażnico!
Czystą ci trzeba w przyszłości wejść progi
I strząsnąć pyły nędz ziemskich wśród drogi
I z ramion zrzucić żądz nizkich kajdany . . .
żaden duch wielki nie był pokalany,
Kochanek prawdy musi być dziewicą . . .
Czuwaj, strażnico!
Wrzącego ducha, co światła jest głodny,
Kwiat jednodniowy zaiste nie godny!
Skarbów zapału nie rzucaj ty w błoto,
Umiej samotnym żyć z swoją tęsknotą,
Usta swe czystą napawaj krynicą . . .
Czuwaj, strażnico!
Dziś samym walczyć nie można zapałem:
Myśl — przekuj w słowo, a słowo — zrób ciałem!
Siej za swym pługiem nie mary, lecz czyny,
Przyszłości jasne ukochaj dziedziny
I bądź ciśniętą nocy rękawicą . . .
Czuwaj, strażnico!

Jeśli ty, orle połamawszy loty,
Pomiędzy płazy upadniesz tu nizko,
Jeśli ty duchem zaprzesz się tęsknoty,
Miłości bratniej zagasisz ognisko,
Jeżeli na tej wpół uśpionej ziemi
Zastygniesz między duchami martwemi,
Jeżeli rzucisz ty berło zapału,
Jeśli się zrzekniesz praw do ideału —
Świat się zatrzyma w wielkim swoim ruchu
I znikczemnieje, zesłabnie na duchu
I długiej nocy cienie go pochwycą . . .
Czuwaj, strażnico!
Idź, idź, idź naprzód! Ta przyszłość słoneczna,
Na którą ludy pracują — istnieje!
W mrokach my jeszcze, lecz w górze już dnieje!
Przed tobą twarda — a konieczna . . .
Ty pierwsza musisz wedrzeć się na szczyty,
Pierwsza zwiastować poranne błękity,
Wznieść sztandar pracy, wytrwania wśród znoju
I być hejnałem świtu i pokoju,
W słońce zwróconą ludzkości źrenicą —
Czuwaj, strażnico!

NADZIEJA . . .

Tchnieniem ust twoich przed tobą niesiona,
Wzlatam w błękity, jak przędze pajęcze
Marzeń, z srebrnego wysnute wrzeciona
W zorze i tęcze.
Gdy pierś twa błogim spokojem oddycha,
Różaną stopą dotykam się ziemi
I staję wtedy przed drzwiami twojemi,
Prosta i cicha.
I chodzę z tobą po izbach twej chaty,
Po twoich polach i po twoich łąkach,
I budzę róż twych wiosenne szkarłaty,
Drzemiące w pąkach.
Chodzę tak blizko, że tylko nas dzieli
Tych kilka chwilek, co zbiegną do końca,
Zanim się zorza różowa wybieli
W promieniach słońca.
Dobrze mi z tobą — i tobie też ze mną!
Nikt z nas w głębiny tajemne nie patrzy,
Nikt się z nas troską nie dręczy daremną,
Codzień to bladszy.
Pókiś ty cichy — i ja nie mam siły
Podnieść się wyżej nad wioski twej dymy,
Nad lasów twoich wiekowe olbrzymy,
Nad twe mogiły.
I tylko czasem, gdy serce się zwierza
Z tajnej tęsknicy, w błękitne obszary,
Do gwiazd ulatam, jak słowa pacierza,
Pełnego wiary.
Lecz kiedy pierś twa rozszerzy się nagle,
Gdy płomień ducha twój oddech rozpali,
Rozwijam skrzydła z tęczowych opali,
Jak lekkie żagle. . . .

Zrywam się, wzmagam i lecę za światy,
żarem twych pragnień namiętnych niesiona . . .
Cień mój, daleki od cichej twej chaty,
W mgłach sinych kona. . . .
Im gorętszymi wzywasz mnie przysięgi,
Im dalej goni za mną twa źrenica,
Tem szersze, wyższe przepłomieniam kręgi,
Jak błyskawica.
Gdy konasz z tęsknot i wznosisz ramiona
Do dalekiego rozświtu przyszłości,
Jam tak daleko, jak mglista zasłona
Nieskończoności!
Gdziem cię nie wiodła! Gdziem z tobą nie była,
Ja — twoja słabość, i ja — twoja siła!
Gdzieś się nie rzucał, trawiony pragnieniem,
Za moim cieniem!
Przed tobą lecąc, jak mgliste pochodnie
Ogników, świętość oświecam — i zbrodnie,
A imię moje, jak piętno, się żarzy
Na każdej twarzy.
W wiecznej pogoni ze szczytów na szczyty
Strącam w przepaści — i wznoszę w błękity —
I nad mogiłą rozciągam ramiona —
Niepochwycona.

WICHREM PORWANY . . .

Jest jedno cudne wśród ludu podanie,
O którem słysząc, gubiłam w przestrzeni
Wzrok smutny, jak ci, co napół uśpieni,
Wpadają w ciche, błękitne dumanie.
I zdało mi się, że widzę w oddali
Góralską wioskę, tę wioskę prostaczą,
Co przechowała dawną, żywą wiarę,
Co na swych krzyżach chusty wiesza stare,
A na obrazach swych sznury korali
I wstęgi kraśne i kwiaty i zioła,
A na swych piersiach szkaplerze czerwone,
Które je piętnem płomienistem znaczą,
A serce swoje trzyma zawieszone —
Czyste i jasne — aż na niebios progu,
Jak votum srebrne w ołtarzu kościoła,
Prostej roboty, ale dane — Bogu.
Wioska tuliła się w głębokim jarze,
Na macierzankach, wrzosach i mchach cała . . .
A widok miała aż na dwa błękity:
Na skrawek nieba, gdzie jutrznia różana
Budziła pierwsze liliowe rozświty,
Rozpłomieniając, jak złote ołtarze,
Występy skalnych ścian i nagie szczyty —
I na ten potok, skąd wodę czerpała
Każdego zmierzchu i każdego rana
I kędy także drżał błękit odbity.

Naraz nad wioską zrobiło się czarno . . .
Chmury nadbiegły czeredą niekarną
I ołowiane skrzydła swe rozniosły
Ponad wąwozem, jako burzy posły . . .
Ogromnym hukiem zatrzęsły się skały
I jako działa, salwy podawały,

A grzmiąc aż w głębi kamiennej posady,
Zgroza płoszyła dzień drżący i blady.

I zdało mi się, że widzę lecącą
Na czarnych barkach wielkich nocnych ptaków,
Z stalowym biczem skręconej w sznur wody,
Ze złotą wstęgą wplecioną we włosy,
Burzę upalną, szaloną, kipiącą,
Która rzuciwszy z cuglami swe dłonie
Na wolę swoich powietrznych rumaków
I gdzieś na szczycie skalnym, nad Bieszczadem,
Sznur pereł białych rozsypawszy gradem,
W jaskrawych błysków królewskiej koronie
Przelatywała strwożone niebiosy,
Jak amazonka przyrody.

Dwoma szczytami chwycony i wparty
W sam gardziel jaru, korowód straszliwy
Miotał się, jako w ostępie zwierz dziki,
Któremu w żebra nóż wbije myśliwy.
Wiatry śmigały, jak spuszczone charty,
A błyskawice — jak sokoły lotne;
A gromy nakształt rogowej muzyki,
Niosły pobudkę przez wichry samotne . . .
Nagle ucichło wszystko. — Burza miewa
Takie omdlenia wściekłości złowieszcze,
Po których z siłą zdwojoną wybucha . . .
Przestają wtedy giąć się z szumem drzewa,
Srebrnemi skrzydły przestają bić deszcze,
Ziemia umilkła i bez tchu, drżąc, słucha.

W ciszy tej leci kędyś z biednej wioski
Głos niepokoju, głos trwogi i troski.
Niewiasty w chatach, tuląc dziatwę małą,
Szepcą pacierze do Marii Dziewicy;
I w sinem, trupiem świetle błyskawicy
Schylają głowy: "A słowo się stało!"

W tem nagle krzyk się rozległ przeraźliwy!
Zmieszane głosy i płacz drobnych dzieci
Biją w niebiosy, jakoby dzwon żywy . . .
Góral, co zawisł u skalnej szczeliny,
Gdzie ledwo orzeł śmie gniazdo pomieścić,
Chwycony siłą gwałtownego prądu,
Miota się, wichrem niesiony przez chmury,
Wśród kiru niebios i błysków purpury
I huraganu szalonej zamieci,
Skręconej w trąbę, na której dzień sądu
Archanioł mógłby przepaściom obwieścić —
Tak godną była miejsca i godziny!

Napróżno woła i wyciąga ręce,
Patrząc na wioskę i na dach swój stary . . .
Próżno się z burzą, jak z wrogiem szamoce . . .
Próżno błyskawic dusi złote węże
I czarne chmury porywa za bary
I pięścią wiry huraganu grzmoce . . .
On nigdy, nigdy ziemi nie dosięże
I z wichrem latać będzie w wiecznej męce!

Ostatnie słowa baśni tej nad głową
Przewiały, jakby echo konające,
Poza ostatnią chmurę piorunową,
Kiedy już tęcza rozwiewa wstęg końce . . .
Ja słucham jeszcze — i tonę w zadumie . . .
— Ach! czemuż, burzą tęsknoty porwana
I uniesiona przez wichrów podmuchy,
W wiecznej pogoni za widmem znikomem,
W namiętnych marzeń i porywów szumie,
Jako zaklęte, latać muszą duchy
Ponad tą ziemią, która mi jest domem . . .
I wiecznie pragnąc i wiecznie się smucić
I tak się trawić, jak płomień skrzydlaty . . .
Czemu nie mogą spocząć, ani wrócić
Do mojej wioski i do mojej chaty? . . .

LIPY KWITNĄ . . .

Lipy kwitną. . . . Woń przesłodka dyszy,
Puch się kwietny sypie poprzez płoty;
Wskroś szerokiej, wskroś porannej ciszy
Brzęczy w słońcu pszczelny rój nasz złoty!

Lipy kwitną. . . . Złoty rój nasz brzęczy,
Miodem pachnie prastara pasieka,
Malowany kolorami tęczy
Tuman siny wieje gdzieś z daleka.

Lipy kwitną. . . . W sinym wskroś tumanie
Ciche, senne, w zorzach widać chaty,
A do każdej światła zwiastowanie
Jasną stopą niesie duch skrzydlaty.

Lipy kwitną. . . . Idą w gości duchy,
Do chat czarnych, do niskiej zagrody,
A wskroś drogi polatują puchy,
A wskroś drogi pachną białe miody.

Lipy kwitną. . . . Oto przypomina
Stara chata przedwiekowe dzieje . . .
Oto bije przejrzenia godzina,
Oto blask się ciemnym oczom sieje. . . .

Lipy kwitną. . . . Wieją wonie miodu
Prastarego wieją wonie cudu . . .
W słońce spojrzał ślepy syn narodu,
W słońce spojrzał duch mojego ludu!

Lipy kwitną. . . . Woń przesłodka dyszy,
Kwietne puchy lecą poprzez płoty,
Wskroś szerokiej, wskroś porannej ciszy
Brzęczy w słońcu stary rój nasz złoty!

PRELUDIUM . . .

Nie kocham jeszcze, a już mi jest drogi;
Nie kocham jeszcze, a już drżę i płonę
I duszę pełną o niego mam trwogi
I myśli moje już tam, w jego progi
Lecą stęsknione . . .
I ponad dachem jego się trzepocą
Miesięczną nocą. . . .

Nie kocham jeszcze, a ranki już moje
O snach mych dziwnie wstają zadumane;
Już chodzą za mną jakieś niepokoje,
Już czegoś pragnę i czegoś się boję
W noce niespane . . .
I już na ustach ślad noszę płomienia
Jego imienia. . . .

Nie kocham jeszcze, a już mi się zdaje,
że nam gdzieś lecieć, rozpłynąć się trzeba
W jakieś czarowne dziedziny i kraje . . .
Już mi się marzą słowicze wyraje
Do tego nieba,
Które gdzieś czeka, aż nas ukołysze
W błękitną ciszę.

NOKTURN . . .

Do nocy tęsknię, do srebrnego cienia,
Coby mi nakrył źrenice płonące
I dał współsenną chwilkę upojenia. . . .

Do nocy tęsknię i przeklinam słońce,
Które swe wszystkie blaski rzuca we mnie,
By mi pokazać więzy nas dzielące.

Wiem, że napróżno, i wiem, że daremnie
Ten sen mię cichy kołysać przylata,
Co twoje imię szepce mi tajemnie. . . .

Wiem, że się nigdy nie zejdą wśród świata
Takie dwie drogi i takie dwa duchy,
Które raz życie — jak nasze — rozbrata.

Wiem, że to sen jest, sen wiotki i kruchy,
W który się oczy moje zapatrzyły,
I że do śmierci nam dźwigać łańcuchy,

A zaś mieć zimne, dalekie mogiły.

CZEM JESTEŚ? . . .

Leciećbym chciała daleko . . . daleko . . .
Gdzie z brzóz płaczących srebrne rosy cieką,
Kędy szum lasów pierś przejmuje drżeniem . . .
— Czem jesteś, szczęście? Wspomnieniem?

Leciećbym chciała tam, gdzie olchy rosną,
Gdzie głogi dzikie zakwitają wiosną,
Gdzie się powoje, jak baśń dziwna, plotą . . .
— Czem jesteś, szczęście? — Tęsknotą?

Leciećbym chciała — za jasnym gdzieś zdrojem
Myśl puścić wolno, jak wody bieżące . . .
I widzieć tylko łan zboża i słońce . . .
— Czem jesteś, szczęście? — Spokojem?

Leciećbym chciała, lecz nie wiem, do czego
Wyciągnąć rękę i przywrzeć płomieniem . . .
Idę — a za mną cień smutku dawnego . . .
— Czem jesteś, szczęście? — Złudzeniem?

Leciećbym chciała do chwilek tych jasnych,
Gdy życie, pragnień nieświadome własnych,
Jest jako blaski, co na wschodzie dnieją . . .
— Czem jesteś, szczęście? — Nadzieją?

Leciećbym chciała . . . sen cichy, sen złoty
Prześnić samotna i konać z tęsknoty,
I "kocham" mówić dalekiem spojrzeniem . . .
— Czem jesteś, szczęście? — Pragnieniem?

Leciećbym chciała i nie wrócić więcej . . .
Raz tylko serce uderzy goręcej,
A potem cisza . . . wszystko się prześniło . .
— Czem jesteś szczęście? — Mogiłą?

WEZWANIE . . .

Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
W poranek róż majowy;
Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
Bo ci na drogę padnie cień
Mej cichej, smętnej głowy. . . .

Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
W jesienne, mroczne rano;
Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
Niech blade niebo skryje nas
W swą płachtę, z mgły utkaną.

Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
W jutrzenne życia zorze;
Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
Gdy dłoń i serce kwiaty rwie,
A ust puharem — morze.

Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Gdy rosa pada chłodna;
Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Kiedy się życia wytli moc,
A serce wyschnie do dna.

Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
W rozmyślań wielką ciszę;
Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
Gdzie czarnych sosen szmer i szum
Mogiłę mą kołysze. . . .

JESTŻE PEWNEM? . . .

Jeśli chcesz, droga, bym zapomniał ciebie,
To pogaś pierwej te gwiazdy na niebie,
Które świeciły nam w noce majowe . . .
To, jako lampę wytloną nad ranem,
Zdmuchnij ten księżyc z licem zadumanem
I rozsyp z rosą blaski jego płowe. . . .
To przed jutrzenką wstań, biała, z pościeli
I zagaś świt ten, co brzask szary bieli,
Płosząc słowika, trwożnego kochanka . . .
To nocy ciemnej, wiszącej nad ziemią,
Proś, niech nie budzi zórz sennych, co drzemią
Na kształt róż w pąkach zwiniętego wianka. . . .
— Lecz jestże pewnem, że gdy księżyc blady
Zetrze z błękitów srebrzyste swe ślady,
I gdy ostatnia gwiazda już zagaśnie,
Jestże dość pewnem, że dla zbłąkanego
Wśród tej ciemności i chaosu tego
Jedynem światłem nie będziesz — ty właśnie?

JEŻELI KOCHASZ . . .

Jeżeli kochasz, nie wołaj mnie z sobą!
Pomiędzy nami jest przepaść głęboka,
Co nas rozdziela swych cieniów żałobą
Na wieki!
Próżno oczyma poglądasz smutnemi
I próżno drogie wyciągasz ramiona . . .
Ty będziesz dla mnie tak zawsze na ziemi
Daleki!
Od ciebie do mnie, odemnie do ciebie
Wolno przelatać promieniom księżyca,
Co w zmierzchy letnie całuje na niebie
Lazury. . . .
I szumom lasów i ciszy pieszczotom,
Pieśni słowiczych wyznaniom namiętnym
I pełnym pragnień wieczystym tęsknotom
Natury.
Ale my sami tak trwajmy, bez słowa,
Bez łzy, bez skargi, jak cienie dwa blade . . .
Ból nasz niech tylko milczenia wymowa
Tłómaczy.
Rozkosz? Czy myślisz, że chwile zachwytu
Duch twój — sam sobie, obojgu nam — życie,
A twym porywom konieczność przesytu
Przebaczy?
My tak zostańmy na długo, na zawsze!
Płonące usta śmierć niechaj ochłodzi . . .
Mnie szczęście inne, pełniejsze, jaskrawsze
Przeraża! . . .
żadnych uniesień i żadnych wybuchów!
Mojemu sercu daj spalić się w ciszy,
U beznadziejnych pożądań wszech duchów
Ołtarza. . . .

My nie z tych, coby umieli róż kwiatem
Zarzucić przepaść, dzielącą dwie dole,
I przejść królewskim rozkoszy szkarłatem
Głębinę. . . .
Ja wiem, że jeśli zawołasz mnie w ciszy
Imieniem, które na ustach ci płonie,
Dusza cię moja stęskniona usłyszy
I zginę!
I to, co miało mi źródłem być mocy,
Będzie omdleniem potęgi istnienia . . .
Co było światłem, to stanie się nocy
Żałobą. . . .
O patrz! ta przepaść tak pełna jest trwogi . . .
Dusza się moja wyrywa do ciebie . . .
Jeśli więc kochasz, nie wołaj mnie, drogi,
Ze sobą!

NA GROBIE RYCERZ . . .

Na grobie rycerz z dawnych lat
Z wzniesioną głową stoi;
Na czole hełm, na ręku tarcz,
A pierś zamknięta w zbroi.

Wróżbę on kiedyś taką miał
Za dni swych, za żywota,
że kiedyś kośbę skończy śmierć,
Ozwie się trąba złota.

I czeka rycerz wiek i dwa,
Wśród śmierci stojąc żniwa,
I słucha w dzień i słucha w noc,
Czy trąba się odzywa.

I rdza mogilna zjadła miecz
I hełm wyżarły deszcze
I w tarczę bije wiatr i śnieg,
A rycerz czeka jeszcze. . . .

I słońce mu wypiło wzrok
I mchy wyrosły z zbroi,
I pierś pęknięta sypie proch,
A rycerz ciągle stoi. . . .

I słucha w dzień i słucha w noc,
Kamienne czoło wznosi,
A śmierć tuż przy nim chodzi wzdłuż
I kosi . . . kosi . . . kosi. . . .

GDYBYM . . .

Gdybym ze złota powstał, mógłbym się tem smucić,
Że w proch i w glinę ziemi mam się zaś obrócić;
Mógłbym, nakrywszy głowę, ze skargą siąść w progu,
Przeciw śmierci głos podnieść i przeciwko Bogu.

I gdybym z złota powstał, mógłbym mieć za zmianę,
Że w popiół się rozsypię i prochem zostanę,
Że zgasną moje blaski i jasność się zetrze,
Kiedy rosa mię zgryzie, a zczeznę na wietrze.

Alem ja z prochu tego, z tej wzięty jest ziemi,
Dokąd się zaś powrócę za laty mojemi.
Po co mi skargi szerzyć, że stanę się pyłem?
Do domu mego wrócę i będę, czem byłem.

OTO ŁÓDŹ MOJA . . .

Języków ludzkich słuchałam do syta,
Do tchu utraty, do zawrotu głowy.
— Oto łódź moja od brzegu odbita . . .
O morze, twojej pożądam dziś mowy!

Niechże mnie teraz twa cisza powita
Zapomnianemi w wrzawie świata słowy;
Niechaj bezbrzeżnym błękitem nakryta,
W głos się twój wsłucham i w płacz twój echowy!

Mówże ty ze mną teraz pacierz stary
Dzieciństwa mego, porannej mej wiary,
Pacierz pól moich, gdzie szumi łan żyta. . . .

Mówże ty ze mną milczeniem zadumy
I takim szumem, jak borów mych szumy . . .
— Oto łódź moja od brzegu odbita. . . .

PRZED BURZĄ . . .

Toń ślepa. Taka była na początku świata,
Zanim w nią uderzyła pierwsza strzała słońca.
Barwy i światła znikły, wygasły bez końca,
U brzegów rozerwana piany brudnej szmata.

Wicher nadciąga z dala i mrokiem pomiata.
Ostatni kształt, ostatnią fal linię roztrąca,
Ciemność głęboka, dzika, pomieszana, drżąca,
Chaos bezduszny, otchłań martwa, lodowata.

Rozpękły wód kryształy, odruzgi ich płyną,
Jak topielce, bezwładnie, obojętnie, sino,
Przestworzenne się ze dna podniosły odmęty. . . .

Niebo, wody i zmierzchy skłębiły się społem,
Morze nie jest już morzem, lecz głuchym żywiołem . . .
Nad przepaściami lata nawałnic Duch święty.

JAKIE GŁUCHE, PUSTE SKAŁY . . .

Jakie głuche, puste skały!
Jaka martwa ta kraina!
— Czemu, stara matko-ziemio,
Nie uchowasz sobie syna?

Czemu syna nie uchowasz
Na pieśniarza, na lirnika,
Coby śpiewał starą chwałę,
Starą chwałę, co już znika?

Czemu syna nie uchowasz
Na poszeptach twojej wiosny,
Coby głos dał twym nadziejom,
Skowronkowy głos radosny? . . .

Czemu syna nie uchowasz
Na tej rosie, co ulanie,
Kiedy nocka płacze cicha
Na przeszłości twej kurhanie? . . .

Czemu syna nie uchowasz
Na tych mgłach, co wieją w dali,
Na tych blaskach gwiazdy sinej,
Co się na twem niebie pali? . . .

Chodziłby on w zadumaniu,
Nosiłby on lirkę małą,
Śpiewałby ci, matko-ziemio,
Czemby serce twoje łkało.

Chodziłby on w zadumaniu
Po tych skałach, po tych górach
I z orłami twymi gadał,
Na wichrowych lecąc piórach.

I z orłami twymi gadał
O jutrzenki twej purpurze
I na dzikie pola swoje
Pieśni białe rzucał róże!

W MOJEJ MAŁEJ, NIZKIEJ IZBIE . . .

W mojej małej, nizkiej izbie
Aż po pułap, słońcem złoty,
Wszystkie kąty pełne marzeń,
Marzeń, dumek i tęsknoty.

Cieniem włóczą się po ścianach,
Blaskiem lecą przez okienko;
Chcą do życia, chcą do świata,
Chcą być pieśnią, czy piosenką. . . .

Od sinego oto morza
Przez szafiry, przez lazury
Chcą za siódmą lecieć rzekę,
Chcą za siódme lecieć góry. . . .

Od mirtowych gajów woni
Chcą na puste gdzieś bezdroża,
Do sosnowych chcą gdzieś borów,
Do szumiących łanów zboża.

I od obcych, cudzych twarzy,
Z których serca nie zaświecą,
Chcą do swoich, do dalekich . . .
— Niechże idą! Niechże lecą!

NA MORZU W CISZĘ . . .

Ani ja czuwam, ani śnię,
Ni śpieszę się, ni trwożę,
Tylko wyciągam dłonie me dwie
Na wielkie, ciche morze. . . .

Ani do nieba tęsknię bram,
Ni rwę się w ziemską drogę,
A tylko czuję, że pióra mam
I lecieć, lecieć mogę. . . .

Dusza ma wyszła z piersi mej,
U steru łodzi stoi
I lekkim cieniem w głębinie tej
Odbija się i dwoi. . . .

Dusza ma wyszła na cichość wód,
Jak pszczoła na kwiat błoni,
I zapomnienia najsłodszy miód
Z tej modrej pije toni. . . .

Schylona stoi na łodzi burt,
Przepaści głosów słucha . . .
Cała podana w ten ciemny nurt
Co szepce jej do ucha. . . .

Jestże to szum? Jestże to śpiew?
Fali czy serca bicie? . . .
Czy morze gra? Czy moja krew?
Czy idzie śmierć, czy życie? . . .

Nie słyszę lekkich plusku fal,
Ni głosów z brzegu słyszę,
Tylko gdzieś płynę w niezmierną dal,
W wieczności modrą ciszę. . . .

Tylko ramiona wznoszę tak,
Z wzniesioną stojąc głową,
Jako do lotu skrzydła ptak,
W przejrzystość lazurową.

CREDO . . .

Wierzę w światła potęgę i w ducha zdobycze,
Wierzę w cel życia wzniosły, choć daleki,
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białem od promieni
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni . . .
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej strażnicy.
Wierzę, że dawne błędy żelaznym łańcuchem
Ciężą nad późnych wieków i wolą i ruchem.
Wierzę w dziedzictwo kary, w pokutę dziejową;
Wierzę, że sprawiedliwość zstąpi nam królową . . .
Wierzę w ciszę i w spokój po gromach i burzy;
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem, się nie nuży . . .
Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie
W największej własnych uczuć i porywów wojnie.
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;
Wierzę w nieskończoności jasne ideały,
Wierzę, że z drobnych iskier, skrzesanych przez dzieje,
Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje,
Wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawę ziemi,
Kędy się krzepią duchy wodami żywemi,
Kędy nizkie zabiegi milkną przed obliczem
Wiekuistej ustawy z berłem tajemniczem . . .
Wierzę w kwiaty nadziei, co z mogił nam wschodzą,

Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą . . .
Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości
Do potężnych idei prawa i równości . . .
Wierzę, że błędnych komet blask zagasa zwolna,
Wierzę, że ludzkość wiecznie łudzić się nie zdolna,
Lecz nim dosięgnie prawdy, smutna i stęskniona,
Nieraz do marnych cieniów wyciągnie ramiona.
Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę,
Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte . . .
Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary
Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary.
Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi . . .
I "niechaj mi się stanie podług wiary mojej!"

PRZED BOGIEM . . .

Jeślim zgrzeszyła — spowiadam się Tobie,
Tobie jednemu, coś w duszy mej głębie
Zlatał, jak one strwożone gołębie,
Co widząc chmurę, stojącą w żałobie
Burz i piorunów nad stawu błękitem
I rzucającą swój cień na kryształy,
Lecą — i w obłok zwinąwszy się biały,
Otchniony jasnym z pod piór drżącym świtem,
Biją w wód szybę srebrnemi skrzydłami,
Chcą rozbić ciemność, co napój ich plami.

Jeślim zgrzeszyła — zgrzeszyłam przed Tobą!
Przed Tobą samym! I rękę też Twoją
Chcę mieć na głowie w tym sądzie! — Za sobą
Nie żądam prośby — ni żadnej obrony.
Każ, niech się głosy obce uspokoją!
Niechaj się cofną odemnie precz krokiem
Ci, co przed Twoim chcąc zakryć mnie wzrokiem
Własny mi płaszcz swój narzucają — zbłocony!
Ciebie — co wszystko wiesz — ja się nie boję!
Sam zostań ze mną — i zamknij podwoje!
Ja wobec Ciebie mam dosyć odwagi
Stanąć — jak posąg przed mistrzem swym — nagi.

Jeślim zgrzeszyła — Ty sam wiesz, o Panie!
Że serce moje, na kształt harf pękniętych,
Łez zawsze pełne — i jęków — i krzyków —
I zaduszonych wiosennych słowików,
Po których w gajach rozchodzi się łkanie,

I róż zdeptanych — i gwiazd zadmuchniętych —
I żrących dymów z mogilnych pochodni —
I łun co biją w nie od ludzkich zbrodni . . .
I że to serce — ja, co też mam siłę
Tylko na jedno życie, muszę nosić
W piersiach, jak wiecznie skrzypiącą tam piłę,
Której zgrzytowi nie mogę rzec: Dosyć!

Ach! Ty sam widzisz, Ty znasz, Ty to czujesz;
Ty, co noc ciemną i parną malujesz
W gwiazd białe róże . . . Ty wiesz, ile marzeń
Zbudzić się może i wylądz z tęsknoty!
Jakie ułudy i jakie pieszczoty
Szeptać do ucha sen umie zwodniczy,
Po którym — któż się blasków swych doliczy?
Ty wiesz sam, ile okropnych przerażeń
Bije na ducha w zwątpienia ciemnicy,
Jaki szturm nagłej życia nawałnicy
Duch znosić musi — i tulić swe pióra,
Żeby ich w strzępy nie zdarła wichura!

Ach! Ty sam widzisz, jak ciężko, jak duszno
Żyć w tej ciemnicy, gdzie duchy się męczą!
Jak trudno prawom ziemi być posłuszną,
Co nas osnuły tkaniną pajęczą
I z wolnych, w błękit zapatrzonych dzieci
Zrobiły muchy, brzęczące w tej sieci!
Na cóż mi wola? Gdzie pójdę — uderzę
W mur jakiś głową i czoło zakrwawię . . .
Ja, Panie, prawom Twoim — błogosławię!
Lecz niech przeklęte będą te pręgierze,
Pod które ciemnych i bezbronnych wloką,
By nędzę bratnią postawić na oko!

Jeślim skarżyła się — to taką mową,
Co zakrwawiona jest w serdecznej ranie!
Ogniem mi ust paliło to słowo,
Którem rzucała — na wiatrów rozwianie,
Na utonięcie w tej ciszy bez końca,
Co nas oddziela od Ciebie — i słońca!
I łzy się moje — tu, do mnie wracały,
Jak nie mający gdzie spocząć ptak biały!

Jeślim skarżyła się — to nie za siebie!
Krzywdy ja własnej nie liczę, nie pomnę,
Choć wiem, że także mam Ojca na niebie,
Co ma dziedzictwo jasności ogromne —
I mógłby dziecku, co płacze pocichu,
Dać trochę słońca w konwalii kielichu . . .
Alem rzucona jest na ziemię duchów,
Rozbitych w locie — i na ziemię ciemną,
Gdzie ludzie dróg swych szukają daremno,
Gdzie lasy pełne szumów i rozruchów,
Gdzie w każdej rzece: Jak w Dnieprowej fali,
Pieśń utopiona rankami się żali,
Gdzie się zlatują słowików tysiące,
Jako westchnienie wśród róż latające,
Gdzie kwiaty polne po nocach łzy ronią . . .
Więc smutna jestem — i zlękniona o nią
I skargą pieśni bijąca w niebiosy,
Póki słowiki płaczą — i drżą rosy.

I nie wiem nawet, czy Ty sam, o Boże!
Gdybyś na chwilę porzucił błękity
I ujrzał chaty te — i zgrzebne świty
I w karki wrosłe niedole obroże
I twarze blade i serca złamane
I w każdej ludzkiej piersi jakąś ranę
I w każdym oku jakąś łzę tajemną . . .

I gdybyś ujrzał, jak nam tu jest ciemno,
Chłodno i głodno na biednej tej ziemi
I ile smutków przed każdym jest progiem:
Tobyś zapłakał sam łzami krwawemi,
Ty, któryś przecie jest — Bogiem!

Więc i nade mną sąd uczyń litosny!
Bom pełna żalów — i trosk — i tęsknicy . . .
I serce moje, na kształt błyskawicy,
Co rozpromienia ciche noce wiosny,
Pali się — gaśnie — i w zmrokach ciemnieje —
I leży w piersiach, jak kamień na grobie . . .
I znów się zrywa, jak ptaszę, i mdleje,
Samo dla siebie ma nieraz pogardę,
Lecz wobec ludzi — jest dumne i harde
I tylko w ciszy spowiada się — Tobie!

POWITANIE ROKU . . .

Zawsze ja będę błogosławić ciebie,
O nowa zorzo na pochmurnym niebie
Smętnych okręgów żywota!
Zawsze ja wyjdę na próg naszej chaty
Pieśnią cię witać, o gościu skrzydlaty,
O jutrznio złota!

Krótką ty jesteś i przelotną chwilką,
Jednym porywem i westchnieniem tylko
Do przyszłych dni ideału!
Lecz kto zdrętwiały żyć musi w ciemnicy,
Temu jest słońcem jasność błyskawicy,
Moment zapału.

Raz w rok. . . . Jak mało! A przecież jak wiele!
Dłoń mi podajcie, drodzy przyjaciele,
Którzy czujecie wraz ze mną!
Jutrznia, co błyska nad ziemią uśpioną,
Niechaj nie będzie dla ducha straconą,
Ani daremną!
Przez jeden moment tak wiele czuć można,
W płomień wybucha iskierka ta trwożna,
Co w piersi tajemnie tleje . . .
W sercu się wzmaga na rok cały bicie,
Nowem ogniskiem zajmuje się życie,
Krzewią nadzieje!

Ach, gdyby co rok przez jedną godzinę
Ludzie się w bratnią łączyli drużynę,
W wspólne ogniwa łańcucha
I czuli razem swój ból, choć przez chwilę,
Ileżby życiu przybyło na sile,
Na mocy ducha!

Więc zawsze będę błogosławić ciebie,
O nowa zorzo na pochmurnym niebie
Smętnych okręgów żywota!
Zawsze ja wyjdę na próg naszej chaty
Pieśnią cię witać, o gościu skrzydlaty,
O jutrznio złota!

ZA JEDNO CIEBIE . . .

Za jedno Ciebie błogosławię, Panie,
żeś z gwiazd dał myślom łoże i posłanie
I że kołyszesz je aż do rozświtu
W miesięcznych blaskach twojego błękitu . . .
Za balsam ciszy, na ziemię wylany,
Za mrok, co więźniom zakrywa kajdany,
Za sen nędzarza o braterstwa chlebie,
Za zapomnienie — błogosławię Ciebie!

Na nędzę naszą i na wielkość Twoją,
Na tajemnice, co przed nami stoją,
Na krzywdy nasze i ból i konanie
Dosyć nam patrzeć przez dzień cały, Panie!
Więc za tych zmierzchów litosną zasłonę
Za mleczne drogi, ku świtom rzucone,
Za mgłę, co kryje komety na niebie
Za noc i ciemność — błogosławię Ciebie!

Za wolność ducha — bez klątwy i winy,
Za nieliczone istnienia godziny,
Za snów skrzydlatość, co przestrzeń zaciera,
Za uśmiech, który z porankiem umiera,
Za oddech ziemi, swobodny choć w nocy,
Za moc rozkoszy, za rozkosz niemocy,
Za dreszcz, co kwiaty pochyla ku sobie,
Za sen o szczęściu — błogosławię Tobie!

O! błogosławię, że mi swoje dłonie
Na czoło kładziesz i chłodzisz mi skronie
I oczy moje zamykasz gorące
I nad tęsknotą moją gasisz słońce . . .
O, błogosławię za chwilę wytchnienia,
Za zdjęte jarzmo, co mi tarło szyję,
Za te pół-śmierci, za te pół-istnienia,
W których nie czuję, że żyję. . . .

PIEŚŃ NOWOROCZNA . . .

W słoneczność my patrzmy, w słoneczność tę bożą,
Co z przyszłych dni wschodem zabłyśnie na ziemi!
Skrzydłami się do niej zrywajmy orlemi,
A niech nas zaćmienia nie trwożą!
Od brzegów przeszłości odbijmy ochoczo,
Żegnając dni stare — kto pieśnią, kto łzami . . .
Błękity nad głową — a ziemia przed nami,
Choć burze się wkoło szamoczą.
Hej, rozpiąć tam żagle! Już brzeg stary znika,
Już cichym nas szeptem żegnają mogiły . . .
Do pracy! do pracy! Wytężmy dziś siły!
Cel wielki — to rozkaz sternika!
O gwiazdo ty drżąca, o gwiazdo zbłąkana,
Co rzucasz się nocą błyskami krwawemi!
Nie naszym ty wodzem, nie słońcem tej ziemi,
Co czeka na wschód swój do rana!
Na cichych my wodach posnęli leniwie,
A muły nas brudne obeszły, jak sidła . . .
Hej! w górę tam żagle! . . . hej! w górę tam skrzydła!
Do wioseł, do wioseł, kto żywie!
Nie zdradzim my hasła, jak nędzni korsarze,
Co chyłkiem czyhają na zdobycz nikczemną;
Przebędziem bez trwogi noc burzy, noc ciemną,
Aż słońce nam ziemię ukaże!
Ach, wschodzi! Ach, idzie srebrzystych pian wałem . . .
Ach, ściele się w przyszłość jaśniejsza nam droga!
Hej! w górę tam serca! Niech duchów załoga
Porannym w świat zabrzmi hejnałem!

AVE! . . .

O konający na krzyżu, o Chryste!
Bądź pozdrowiony przez męczeństwo duchów,
Co idą smutne, milczące i czyste,
Wśród walki życia wybuchów. . . .
I podniesione są w ciche błękity,
Jak białe hostie ludzkości,
Albo jak kielichy krwawe
Okupu naszej przyszłości . . .
I przed rozbłyskiem nowej gasną zorzy,
Jak Ty, do krzyża przybity,
Baranku Boży . . .
Ave!

O! bądź pozdrowion, ginący z pragnienia,
Przez te płomienie tęsknoty i żary,
Co pierś naszego trawią pokolenia,
Które w rozbite swe czary
Nabrać nie może z żywych źródeł wody . . .
Przez płomień walk, co ulata
Nad ciemnym okręgiem świata,
Ogniem go dzieląc pomiędzy narody . . .
Przez głuchych porywów lawę,
Co nurtuje łono ziemi,
Przez gorzki kielich zwątpienia,
Co nas truje swymi jady . . .
Bądź pozdrowion cichy, blady,
Męczenniku Ty pragnienia,
Co między orły rzymskiemi
Konasz wśród niebios zaćmienia . . .
Ave!

O! bądź pozdrowion w opuszczeniu Twojem
Od słońca, ludu własnego — i Boga,
Przez tęskność duchów, co idą przebojem,
Kędy do światła im droga. . . .
A przecież nieraz, gdy nikt ich nie słyszy,
Patrząc na ciemnych tłumów senne morze,
Które im rzuca mętną pianę — sławę,
Skarżą się wśród nocnej ciszy:
"Czemuś nas opuścił, Boże?" . . .
Chryste, co przed tłumem dzikiem,
W splotach cierniowej korony
Konasz ze skargi okrzykiem,
Przez wszystkie zwątpienia ziemi,
Wśród których niebo nie błyska
Cudem żadnego zjawiska
Ponad ludami smętnemi,
Bądź pozdrowiony! . . .
Ave!

W WIELKI PIĄTEK . . .

Tak mi się czasem wydaje, o Chryste,
że nie tam kędyś daleko, za morzem,
Aleś tu, u nas, miał drogi cierniste
I żeś tu naszem przechodził się zbożem,
Puszczając palce po harfie tych kłosów,
Co mają ludzki jęk i echa głosów.

Że tutaj, w którejś z chat naszych, o Panie,
Gdzie przez tułaczy wytarte są progi,
Był twój wieczernik smętny i rozstanie
I chleb łamany z braćmi i te trwogi,
By słów ostatnich nie wydały ściany,
I pożegnania kielich — krwią nalany.

I zdaje mi się, że te nasze sosny,
Te brzozy białe, szumiące wśród niwy,
To był ogrójec twej męki żałosny,
To były twoje miesięczne oliwy
I że tej nocy twój pot ściekał krwawy
Na leśne zioła nasze i na trawy.

I zdaje mi się, żeś tu był pojmany,
W pęta zakuty i sieczon u słupa . . .
Bo tak mi, Chryste, znajome twe rany
I siność twoja i katów twych kupa
I świst rzemieni, co krają, jak nożem,
że to nie mogło być gdzieś tam, za morzem!

I wiem, że tutaj na miedzy, skroś drogi,
U jakiejś starej, zapadłej mogiły
Wyróść musiały te ciernie i głogi,
Które w Twą głowę bolesną się wpiły . . .
Bo żadne inne tak ranić nie mogą,
Jak te, co rosną tu, nad naszą drogą.

I to wiem, Panie, żeś tu kędyś blizko
Pod krzyżem upadł na nasze ściernisko
I żeś krwią swoją tę ziemię zakrawił
I obraz na niej swej męki zostawił,
I patrzę nieraz na pola te puste,
Jako na ową z Jeruzalem chustę. . . .

I widzę we mgle śnieżystej, zdaleka,
Z twarzą znędzniałą, z łachmanem na grzbiecie,
Pochylonego ku ziemi człowieka,
Którego wielki krzyż śmiertelnie gniecie . . .
I wiem, że to jest Cyrenejczyk Chrysta,
A resztę mgła mi kryje . . . mgła śnieżysta.

I wiem i czuję, że tu jest Golgota,
Gdzieś był przybity do krzyża, o Panie!
Bo nie jest nigdzie tak ciężka tęsknota
I takie blasków słonecznych konanie
I taka żałość i tak do ostatka
Nigdzie przy krzyżu syna nie trwa matka.

I zdaje mi się, żeś tu wyrzekł słowa:
— "Eloi, Eloi, lamma sabbacthani." —
Że tu z ramienia zwisnęła Ci głowa,
I żeś tu skonał i zszedł do otchłani,
Gdzie wszystko chwili wybawienia czeka,
Od polnych głazów do serca człowieka.

I zdaje mi się. że tu leżysz w grobie,
Który jest ciężkim zawalon kamieniem,
I że straż pilna czyni się przy Tobie . . .
Ale ja czekam z tęsknotą i drżeniem,
Bo wiem, bo czuję, że tu też, o Panie,
W dniu trzecim — będzie Twoje zmartwychwstanie!

NA DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA . . .

Zawcześnie dla nas zmartwychwstałeś, Panie!
Bo nam to trzecie nie wzeszło zaranie,
Co ponad groby jutrzenki rozściela,
A jest żywota hasłem i wesela.

Jeszcze nas zewsząd otacza noc głucha,
Całun nam więzi i ciała i ducha,
A przy tej czarnej mogilnej pieczarze,
Snu wiekowego strzegąc — stoją straże.

Tyś nam ich jeszcze nie przeraził, Chryste,
Powracający, jak słońce ogniste,
Jeszcze orężem o pierś naszą wsparty,
Wróg niespokojnie odprawia tu warty.

Zawcześnie dla nas zmartwychwstałeś, Boże!
Bo nam nie błysły cudowne te zorze,
Co wysrebrzają grobowe kamienie
I umęczonym piersiom dają tchnienie.

Jeszcze się dźwignąć nie może ta głowa,
Którą nam gałąź zraniła cierniowa;
Jeszcze do życia nie wznoszą się ręce,
Przebite gwoździmi w krzyżowej swej męce.

Jeszcze się w gwiazdy nie zbłysły nam rany,
Jeszcze się krwawi grzbiet srodze smagany,
A twarz z ślin wzgardy obeschnąć nie może . . .
Zawcześnie dla nas zmartwychwstałeś, Boże!

Nad polem naszem słoneczna tarcz złota,
Którą zczerniałą widziała Golgota,
Dotąd nam stoi w wiekowym zaćmieniu,
Dotąd czuć ziemię w przestrachu i drżeniu.

Nad polem naszem czerwone miesiące
Na chmurach leżą, jak sierpy krwawiące,
A po mogiłach, co jęczą w żałości,
Z dawna umarłe ruszają się kości.

Pod błękitami, wśród tego zaćmienia
Braterstwa ludów i ludów sumienia,
Tkwi jeszcze krzyż nasz i ziemia przeraża
Cieniem owego krwawego cmentarza. . . .

Jeszcze nad nami urąga się tłuszcza,
Jeszcze nas Bóg nasz i Ojciec opuszcza
I krzyk zwątpienia słychać i wołanie:
Zawcześnie dla nas zmartwychwstałeś, Panie!

W pragnieniu ducha truciznną pojeni,
Z sercem, co za cel służyło ościeni,
Krwi oddajemy i życia ostatek
Wśród jęków ziemi i synów i matek.

A tam o szatę naszą całodzianą
Los skrwawionemi dłońmi pomiotano
I rozdzielono to, co było bliźnie
I co się jednem czuło w tej ojczyźnie.

Oto się jeszcze targ sprośny odbywa,
Dłoń krzywdzicieli wyciąga się chciwa,
Temu po morze i temu po morze . . .
Zawcześnie dla nas zmartwychwstałeś, Boże!

Jeszcze nie zeszli ci jaśni, ci biali,
Których dłoń głaz nam grobowy odwali,
Jeszcze nie zeszedł do naszej ciemnicy
Duch, który bije jak grom błyskawicy.

Noc przeminęła i ciężka i długa
I dzień mogilny przeszedł i noc druga . . .
I znowu ranek i znów wielkie cienie,
A nas jutrzenne nie budzą promienie!

I smutnie wkoło — i ziemia bez ducha;
Tchów wskrzeszających pożąda a słucha:
Kiedyż się słońcem wyzłocą otchłanie . . .
Zawcześnie dla nas zmartwychwstałeś, Panie!

ŚWIATBY JUŻ DAWNO PRZESTAŁ TRWAĆ . . .

Światby już dawno przestał trwać
W łez, krwi i zła powodzi,
Tylko że w każdą cichą noc
Chrystus po ziemi chodzi.

Chodzi po ziemi wszerz i wzdłuż
Drogą świetlaną, jasną,
I zbiera łzy w miesięczny kruż,
Kiedy płaczący zasną.

I zbiera krzywdy i zbiera krew
Tych, co ponieśli rany,
I ściera z ziemi ból i gniew
Okrajem swej sukmany.

I ściera z ziemi trud i znój,
Śmiertelne ściera poty,
A przed nim snuje pas srebrny swój
Ten księżyc blado-złoty. . . .

Nie wiedzą ludzie, co i jak
We śnie im dusze leczy,
A to w przejasny, miesięczny szlak
Zstępuje Syn Człowieczy.

Nie wiedzą ludzie, co i jak
W pierś im balsamem spływa,
A to stóp świętych bliży się znak,
Miesięczna jasność żywa. . . .

Niemałoć w świecie krzywd i win,
Niemało jest żałości . . .
Uznojon idzie Człowieczy Syn
Przez czarne bólu włości. . . .

Jest-ci dzban Jego po morza głąb,
Po bezdno oceanu,
Lecz nędz i krzywdy w nim już po wrąb,
I coraz ciężej Panu. . . .

Jest-ci dzban Jego po morza kres,
Po gwiezdnych niw okraje,
Lecz coraz pełniej ludzkich w nim łez,
I w znoju Pan ustaje. . . .

I coraz cięższy dźwiga krąż
Nocami miesięcznemi . . .
Maluczko, a nie będzie już
W co zbierać łez tej ziemi. . . .

Maluczko, a przez kruży brzeg
Przechluśnie się krew świata,
I księżycowy zczerwieni śnieg
Chrystusa długa szata. . . .

I ociężeje szaty rąb,
W krwi uroszonej wełny . . .
. . . Po nieba szczyt, po morza głąb
Świat będzie bólu pełny.

MODLITWY WIOSENNE . . .

I.

"Ach, skrzydeł ludzkości . . ."
Niech wolny duch wzleci,
Szeregom stuleci
W krainę światłości
Niech drogę ukaże;
Niech jutrznią oświeci
Narodów ołtarze
I białe sztandary
Pokoju, miłości
Niech w ciszy rozwinie!
Niech czynów ofiary
I wiedzy świątynie
W noc burzy, zawiei,
Jak przystań nadziei,
Dla tłumów otworzy! . . .
Ach! skrzydeł ludzkości! . . .
Ach, skrzydeł! . . . Duch wolny
Niech z wiecznych praw siłą
Ruch życia mozolny
Harmonią zespoli!
Niech z dzielnych dusz woli
Wykrzesze diamenty
I światu, co bryłą
Wystygłą się zdaje,
Przypomni świt boży,
Gdy został poczęty! . . .
Z przyszłością dni nasze
Niech celem skojarzy,
Niech tchem swym ogrzeje
Zmartwiałe poddasze,
Chleb światła rozkraje

Pomiędzy nędzarzy!
Przez wieki, przez dzieje,
Przez zmroki i świty
Duch wolny niech wieje,
Jak szare to ptaszę,
Co leci w błękity!
Niech życie spaczone
Uzacni, uprości,
Błyskawic koronę
Niech twórczej da sile
I w ziemskim się pyle
Znieważać przestanie! . . .
Ach, skrzydeł ludzkości! . . .
Ach, skrzydeł, o Panie!
Niech wszystko, co silne,
Podniesie swe loty
I ziemia obroty
Niech swoje przynagla!
A prochy mogilne
I cieniów szeregi
Niech próżno nie ciężą
U piór naszych żagla!
Duch niechaj otchłanie
Potężnym swym ruchem
Wypełni po brzegi!
Niech prawdy czciciele
Dostojnie zwyciężą;
Niech wszystko, co żywe,
Rozwija się śmiele,
Niech wszystko, co wielkie,
Zostanie odczutem!
Nad znojną prac niwę,
W przestrzenie wszechświata
Po rosy kropelkę,
Po siłę miłości
Duch niechaj ulata!
Ach skrzydeł ludzkości!

II.

Ty nam, Boże, nie strój ziemi
W kwiatów puchy,
Póki łzami gorącemi
Płaczą duchy!
Póki głos namiętnie bije
W Twe niebiosy,
Niechaj ziemia dżdżu nie pije,
Kwiaty — rosy.
Póki siły duszy omdlałe
Giną marnie,
Niech nie kwitną róże białe,
Ani tarnie . . .
Póki ludzkich nędz miliony
Życie kryje,
Niech się lasów cień zielony
Nie rozwije . . .
I niech pączki swe drzemiące
Lilia chowa,
Póki głuchych skarg tysiące
Drży bez słowa . . .
Niechaj słowik oniemieje
Nad dąbrową
I niech pieśń zawiodą dzieje
Hiobową. . . .
Niech strumienie srebrne wieści
Ciszej niosą,
Aż rozbrzmieje krzyk boleści
Z ranną rosą. . . .
Burza płaszcz niech rzuci ciemny
Na błękity,
Aż wybuchnie ból tajemny,
Ból ukryty!
Boże! z ziemi zdejm zasłonę
Oblubieńczą,

Póki duchy znieważone
W pętach jęczą!
Niechaj w czarnym kirze stanie,
Jak sierota,
Gdzie mgła światów przez otchłanie
Wieje złota. . . .
Albo uderz w nią, jak gromem,
Swą prawicą. . . .
Niech ją ogniem niewidomem
Zieniem chwycą,
I własnymi swymi żary
Niech wypiecze
Blizny swoje, bój swój stary,
Łzy człowiecze!
Niech tak stanie gorejąca,
Jak wulkany,
I odkryje w blaskach słońca
Swoje rany,
Aż Ty, Boże, dojrzysz przecie
W swym lazurze,
Jakie kwitną dziś na świecie
Krwawe róże! . . .
Aż ciemnoty zdejmiesz znamię
Z ludów czoła,
Do walk cichych wzbudzisz ramię
Archanioła. . . .
Aż się w ruch potężny wzmogą
Żywe prądy
I zwycięską zdepcą nogą
Nowe lądy. . . .
Aż zakipią oceany
Od serc bicia,
Aż podniesie świat zbratany
Toast życia!
Wtedy, Boże, niech zakwitną
Łąki świeże,

Niech się w zieleń aksamitną
Las ubierze;
Wtedy daj nam na ołtarze
Wieńce nowe,
I napoje w wiosny czarze
Brylantowe!
Lecz dziś, gdy łzami krwawemi
Płaczą duchy,
Pocóż, Boże, na tej ziemi
Kwiatów puchy?

III.

W noc wiosenną, w noc majową
Duch się zrywa i ulata
Ponad nędze i łzy świata
Archanielską trzyma straż. . . .
Ach! czy znajdzie wielkie słowo
Tajemnicy wszechistnienia?
Czy też konać ma z pragnienia,
Ojcze nasz? . . .

Gdzież ukoi swą tęsknotę,
Burzą zwątpień wskroś miotany?
Gdzie poniesie lot zbłąkany?
Ty mu, Boże, drogę wskaż!
Bo gdy zgasną blaski złote,
Znużon walką nadaremną,
Zapaść może w otchłań ciemną,
Ojcze nasz!

Ziemia twoja w oceanie
Księżycowych blasków tonie
I w błękitnej mgły osłonie
Patrzy w cichą nocy twarz . . .

Srebrną zbroję daj jej, Panie,
Co nie gasłaby o świcie,
Do walk długich, jako życie . . .
Ojcze nasz!

Tęsknot dreszcze, żary ducha,
Szumy lasów, oddech ziemi
Akordami potężnemi
Wtórzą hymnom, które grasz . . .
O! niech ludzkość je podsłucha!
Niech braterstwo, miłość, zgoda
Kryształowy ton im poda,
Ojcze nasz! . . .

Niepoczęty, nieskończony,
Dla uśpionych zjawisk bytu
Oddalone punkta świtu
Stawiasz Ty, co wiecznie trwasz!
Cóż Ci znaczą lat miliony?
Ale duch się rwie w człowieku:
On chce skrzydłem być dla wieku,
Ojcze nasz! . . .

Jeśli nie dość dźwiga znoju
Szala Twoja gorejąca,
Rzuć pragnienia dusz tysiąca
I w błękitach świat ten zważ!
Łez, tęsknoty, niepokoju
Damy tyle, tyle, Panie,
że ta chwiejna waga stanie
Ojcze nasz! . . .

W noc tę cichą, w noc tę błogą,
Rozkwieconą, księżycową,
Ponad ziemi sennej głową
Gwiazd Twych chórom śpiewać każ!

Niech marzenia mleczną drogą
W świat ją inny, lepszy wiodą . . .
Ojcze nasz! . . .

A bezsennych duchów tłumy,
Co prawd wiecznych biegu śledzą,
Tajemniczych głębin wiedzą
W tej srebrzystej ciszy darz!
Niech usłyszą orle szumy
Prącej naprzód, w dal ludzkości . . .
Niechaj ujrzą świt przyszłości,
Ojcze nasz!

IV.

Nie skowronkom, nie słowikom,
Ty, co stwarzasz maj,
Lecz śpiewakom i lirnikom
Siłę pieśni daj!
Starych mistrzów żywe zdroje
Ledwo starczą już,
By ugasić niepokoje
Gorejących dusz.
Wiosny! wiosny nam dla pieśni!
Niechaj wstanie wieszcz. . . .
Niech nam pierś otrząśnie z pleśni
Wielkich wzruszeń dreszcz!
Niech się zbudzi narodowa
Lira z śmierci snu!
Niech rozdźwięknie wieszcze słowa,
Niech nabierze tchu!
Skrzesz, o Boże! błyskawicę
Płodnych wiosny burz . . .

Odrodzenia tajemnicę
W pieśni naszej złóż!
Niech, jak zdrój ojczysty, wzbierze
Z naszych łąk i pól . . .
Niech, jak pszczoła, pyłki świeże
Znosi w wspólny ul!
Niechaj spadną brylantowe,
Urodzajne dżdże,
Niech zapłodnią pieśni nowe,
Niech orzeźwią je!

Dziś, gdy dajesz posłuchanie
Najnędzniejszej z traw,
Czyż wyzujesz ducha, Panie,
Z odrodzenia praw?
Zasłuchana w pieśń przyrody,
Czuję łzy i ból . . .
Pieją ptacy, szumią wody,
A gdzież jest ich król?
Gdzie potężne owe hasła,
Które budzą lwy?
Gdzie pieśń nasza? — Czy zagasła?
Czy ją tłumią łzy?
Czy już Tobie zbrakło, Panie,
Nieśmiertelnych lir?
Kiedyż dla nas wieszcz powstanie,
Z pieśni zerwie kir?
Gdy wokoło wre i tętni
Życia świeży ruch,
Czyż my tylko siędziem smętni,
Jak wyklęty duch?
Czyż się wszystkie skry wytliły
Piorunowych drgnień?
Co jesteśmy? Martwe bryły?
Co jesteśmy? Cień? . . .

Panie! dziś przed Tobą stoję,
Dziecko ziemi tej . . .
Zlej Ty na nią światła zdroje,
Zdroje siły zlej!
Myśli nasze i pragnienia,
Jako struny, zwiąż
Aż z naszego pokolenia
Wstanie lirnik-mąż!
Dostrój wyżej, wyżej jeszcze,
Duchów naszych ton;
Niech uderza pieśni wieszcze
W serca, jako dzwon! . . .

ZA RODZICÓW . . .

. . . . . .

Bym anielskiemi umiał mówić słowy,
By się z słów moich rajskie wiły kwiatki,
Kiedy najdroższe polecam Ci głowy:
Ojca i matki!

Jak drobny kłosek pod słońca promieniem
Wyrasta ziarno do plonu, do życia,
Tak ja z ich miłem na ustach imieniem
Rosłem z powicia.

Co wiem, czem jestem, co myślę, czem żyję,
Wszystko mi przez nich objawia Twą chwałę,
Źródło miłości z ich serca mi bije
Na życie całe!

Gdy ojciec dla mnie o kęs walczy chleba,
Gdy matki błyśnie uśmiechem twarz blada,
Wtedy Twój, Panie, z błękitów gdzieś, z nieba,
Cień na mnie pada. . . .

Wtedy to chciałbym skrzydłami lotnemi
Za Twoim wielkim podążać przykazem,
Wtedy to czuję, że oni na ziemi
Twoim obrazem!

O, chroń mnie, Panie, bym kiedy złym czynem
Miał ich zasmucić, zasępić im czoła!
O, spraw, niech czują, że dałeś im synem
Swego anioła!

WIECZORNY PACIERZ . . .

O, jak cicho, o, jak błogo
Sercu, które kocha Ciebie,
Gdy je w pieczy swojej masz!
Już noc idzie srebrną drogą,
Tysiąc gwiazd błyszczy na niebie,
Ojcze nasz!

Dzwon wieczorny w dali dzwoni,
Milkną w gniazdach swych ptaszęta,
Którym jutro słońce dasz;
Wskroś zroszonych kwiatów woni
Płynie ziemią cisza święta,
Ojcze nasz!

Sen znajduje muszka licha,
Sen otula polne zioła,
Ty nad niemi trzymasz straż.
I nasz domek już ucicha,
Do pacierza matka woła,
Ojcze nasz!

Ty skrzydłami anielskiemi
Osłoń lądy, osłoń morza,
Zwróć ojcowską ku nam twarz!
Niech wieczorna cicha zorza
Tchnie spokojem po tej ziemi,
Ojcze nasz!

W ZADUSZNY DZIEŃ . . .

I.

Wy, co z zastygłą piersią i usty zimnemi
Klękacie dla zwyczaju na mogilnej ziemi,
Wy, co włóczycie senną istność swą po świecie,
Czy wy żyjecie?
Och! mnie nad wami chwyta płacz nieutulony,
I modlićbym się chciała i kazać bić w dzwony
I załamawszy ręce, stać po was w żałobie,
Jak głaz na grobie.
Gdzie duch wasz? W jaką miłość, w jakie ideały
Wcielił się ten najświętszy płomień życia biały?
Gdzie cel jasny, podniosły i wysiłków godny,
Dla jutra płodny?
Gdzie ujście dla sił waszych? U jakiego zdroju
Rzeźwicie wasze czoła i usta wśród znoju?
Jakie hasło wam wrzawę powszednią przygłusza?
Gdzie wasza dusza?
Wy nosicie ją w piersiach, jak lampę zgaszoną,
W brudnych popiołów pełnej i spękanej urnie;
A kiedy już na wieki zastygnie wam łono,
Wy, wy — umrzecie powtórnie!

II.

Wieczny spoczynek. . . . Ach, jest-że mogiła,
Tak cicha, taka pusta i zamarła,
Którejby ruchu wieczystego siła
Nie tknęła i nie otwarła?

Jest-że grób, tak już zapadły i stary,
By w nim potęga przyrody tworząca
Toastu życia nie mogła wznieść czary
W promieniach słońca?
Jest-że proch jaki, tak nędzny lub święty,
Żeby go prawo powszechne minęło?
I czyż na blade poglądając szczęty
Natura przerwie swe dzieło?
Wieczny spoczynek. . . . Ach, jakie złudzenie
Dla tych atomów, zdmuchniętych z błękitu
I szukających wiecznie, nieskończenie
Coraz to nowych form bytu!
Jakie złudzenie dla prochów rozwianych,
Na które szereg odmian w grobie czyha!
Dla tych znużonych i dla tych stroskanych,
Co mówią: "Mogiła cicha!"

O śmierci! tajna wspólniczko narodzin!
Kiedyż ty będziesz spoczynkiem ludzkości?
Któraż z spiżowych twego przyjścia godzin
Obwieści pokój wieczności?
Czy, gdy się ludów dopełnią nadzieje,
Gdy przyszłość wszystkie sztandary zdobędzie
I kiedy w blaskach słonecznych zadnieje
Świt boży wszędzie?
Gdy rozgrzeszenie znajdą wszystkie winy,
Gdy wszelka krzywda będzie nagrodzona,
Gdy dadzą owoc łzy, walki i czyny
Wieków miliona?

Wtedy, gdy pęknie potężne ogniwo,
Co ludzkie prochy i ludzką myśl żywą
Chwyta i wciela w konieczne następstwa
Klęsk lub zwycięstwa?

Czy wtedy, gdy się wyczerpie już dzielność
Popędów życia na całym tym globie
I gdy nicości wzejdzie nieśmiertelność
Na wielkim planety grobie?
Czy wtedy, gdy proch, co sercem był mojem,
I drżał wzruszeniem ducha tajemniczem,
Bóg strząśnie z szat swych z wszechmocnym spokojem
Aby był niczem?
Kiedy na ziemi zabraknie już kwiatów,
Które mogilnym żywiły się sokiem,
I kiedy głob nasz, w znużeniu głębokiem,
Zagaśnie wśród drżących światów?
Ach! może, gdy się w mgławicę obłoczną
Zmieni materia, sił wiecznych narzędzie,
Może Bóg powie: "Niech smutni odpoczną!
Niechaj noc będzie!"
Lecz dziś, gdy zastęp walczących szermierzy
Ginie, by wskrzesnąć wszechruchem wśród globów,
Gdzież ten, co w wieczny spoczynek uwierzy
I w ciszę grobów?

III.

Ktokolwiek widział najdroższe oblicze
Kamieniejące w linie tajemnicze
W przedśmiertnej walki godzinie;
Ktokolwiek słyszał jęk cichy konania,
Kiedy się dusza na usta wyłania
I drży i gaśnie i ginie . . .
Ktokolwiek w drogiej i mdlejącej dłoni
Widział gromnicę, jak światło swe kłoni,
Za ust niepewnym oddechem . . .
Ktokolwiek słyszał obojętne szmery,
Gdy przyszło w miarę dobrać deski cztery,
Żeby się wieko zawarło . . .

Ktokolwiek ziemi oddał skarb najdroższy
I w puste kąty wracał sam, uboższy
O całą miłość umarłą —
Ten w dniu jesiennym, mglistym listopada
Bóle tęsknoty swojej wypowiada
Na cichym grobie cmentarza . . .
Ten swoje modły żałobne i łzawe,
Sieroce nędze i wdowie łzy krwawe
Niesie na stopnie ołtarza.

Lecz kto i kiedy modlitwy pokutne
Odmawiać zechce za te dusze smutne,
Co jeszcze mdleją w podróży?
Za owe chwiejne i wątpiące duchy,
Na ostrych pokus wydane podmuchy,
Jak łódź bez steru, wśród burzy?
Za te, co światła łakną i pokoju,
Za te, co tają, jako rosa, w znoju
Skwarnego dnia, upalenia? . . .
Za te, co w otchłań zapatrzone ciemną,
Próżno wołają, żądają daremno
Prawdy i wiedzy promienia?
Za te, co pragnień pożarem trawione,
Czyścowych ogniów męczeńską koronę
Noszą jak upiór północy?
Za te, co znikąd nie mając ratunku,
Drżące, zbłąkane, bez wyjścia, kierunku,
Bez bratniej giną pomocy?
Za te, co cierpieć nie mają już siły
I odpocznienia pragną u mogiły
Po ciężkim życiu tułaczem?
Za bolejące duchy i zgorzkniałe,
Za te, co szaty pokalały białe,
Kto, pytam, modli się z płaczem?

UMARŁYCH PŁACZĘ . . .

Umarłych płaczę. . . . Na wielkich dni grobie,
Jak brzoza, stoję we łzach i żałobie,
Którą mi nosić, o życie, po tobie!
Koście na polu szeroko bieleją,
Duchy się niosą wichrową zawieją,
Zraniony orzeł nademną kracze . . .
Umarłych płaczę. . . .

Płaczę minionych i ludzi i rzeczy,
Płaczę proporców z wiedeńskiej odsieczy
I trąb Dnieprowych i szczęków i mieczy.
I wiem, że na świat nie wrócą się one
Czasy pradawne, w mogiłach uśpione,
że ani wy ich, ni ja — nie obaczę . . .
Umarłych płaczę.

Do każdej trumny, do każdej mogiły
Poszło pod ziemię coś z pędu i siły
Skrzydeł tych, co nas po świecie nosiły.
Pod kurhanami, pod tarczą gdzieś rdzawą
Śpi to, co było i życiem i sławą,
A coraz rzadziej w dno trumny kołacze . . .
Umarłych płaczę.

NIE DAJ MI, BOŻE . . .

Nie daj mi Boże, śpiewać w zimnym tłumie,
Co wzruszeń nie zna i płakać nie umie;
Nie daj mi, Boże, śpiewać w głuchej nocy,
W której pieśń nie ma ni lotu i mocy!

Lecz daj mi śpiewać na szerokim łanie,
Gdzie wichrem leci i głos i wołanie,
Gdzie serca biją o piersi, jak młotem,
Gdzie pieśń uderza piorunem i grzmotem!

Lecz daj mi, Boże, śpiewać bratnim tłumom,
Z których szum idzie, równy leśnym szumom.
I nad któremi w polocie do słońca
Orłowie lecą, jak chmura wiejąca. . . .

Lecz na ogromnej daj mi śpiewać niwie
Przy wielkiej kośbie, przy wiosennem żniwie,
Gdzie łanem idą szerokie pokosy
I gdzie się z jękiem kłos wali na kłosy. . . .

Lecz daj mi śpiewać w tej jutrzennej chwili,
Gdy się noc długa nad ziemią przesili,
Kiedy ciemności skończy się niedola,
A dzień nam błyśnie nad chaty i pola!

KIEDY PAN JEZUS . . .

Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi
Przed przedawnemi laty,
To się za Jego stopki jasnemi
Garnęły wszystkie kwiaty.

Szły polne lilie, niosąc kielichy
Przeczyste, wonne, białe,
A tuż za niemi powój szedł cichy
I te fiołki małe.

Bratki Mu do stóp rzucały liście,
Puszyste aksamity,
A mak ku Niemu płonął ogniście
W najporanniejsze świty.

Szły za Nim polem, szły za Nim miedzą,
Te rzesze bławatkowe
I niezabudki, co w rowach siedzą,
Wznosiły modrą głowę.

Stulistnej róży przejasne pąki
Woń Mu roniły swoją,
Kobierzec słały te nasze łąki,
Co pod rosami stoją.

Biała konwalia wybiegła z boru,
Zwołuje leśne kwiaty
W sto srebrnych dzwonków do Jego dworu
Za wiewem Jego szaty.

Otwarły oczy stokrocie drobne,
W miękkiej zieleni śpiące,
I te narcyzy gwiazdom podobne,
Co je wybiela słońce.

Szły za Nim kwiaty, szły za Nim zioła,
Płynęły falą tęczy,
A złoty jaskier pochyla czoła
I macierzanka klęczy. . . .

A nasz Pan Jezus patrzał miłośnie
Oczyma przesmutnemi
I błogosławił wszystko, co rośnie
I kwitnie na tej ziemi.

I takim tłumem szło owo kwiecie
Łąkami, polem, lasem,
Kiedy Pan Jezus chodził po świecie
Przed najdawniejszym czasem.

Więc dotąd jeszcze, gdy w letniej dobie
Kwiat gęsto kryje grzędy,
To starzy ludzie gadają sobie:
Pan Jezus przeszedł tędy!

BÓG SIĘ RODZI . . .

Nie rozkazem, co drgające
W żarach ognia stwarza słońce,
I nie słowem, co z nicości
Krzesze żywy byt;
Ale ciałem, ale czynem
Ten, co nazwan Bożym Synem,
Spełnia dzieło wszechmiłości
W ten jutrzenny świt.
Ach! gdy Bogu było mało
Wyrzec: "stań się" by się stało,
Lecz zejść musiał jako dziecię,
By działać jak mąż:
Ty, dni lepszych myśli biała,
Bierz co rychlej szatę ciała,
Czynem objaw się na świecie,
Czynem w światło dąż! —

Wczoraj jeszcze Ziemia cała
Starym żądzom hołdowała,
Niewolniczo kując dłonie
W łańcuch łez i krwi;
Dziś, jak Ewa rozgrzeszona,
W błękit wznosi swe ramiona,
Wolna — wznosi jasne skronie;
Do przyszłości drży. . . .
Odtąd runą bogi stare,
Odtąd nową już ofiarę
W swych świątyniach ludzkość złoży,
Wybieleje świat . . .
Duch zakrzepły się rozgrzeje,
Rozpłomienią się nadzieje,
W sercach głos się ocknie boży:
"Kochaj — to twój brat."

Długo, ziemio, w ciemnym zmroku
Dać nie śmiałaś naprzód kroku
I nie znałaś, chwiejna bryło,
Gdzie twych ruchów oś . . .
Aż wśród pracy i cierpienia
Odnalazłaś punkt ciążenia,
Wiesz, że światło jest twą siłą —
O nie walcz i proś. —

Ach, gdy pierwszy raz na ziemi
Przed duchami omdlałemi
Zaświtały w imię boże
Tory nowych dróg:
Czyliż dziwno, że nędzarze,
Równość prawa biorąc w darze,
Okrzyknęli światła zorzę:
"Bóg się rodzi! Bóg!"

Z TRZYKRÓLOWĄ GWIAZDĄ . . .

Wędrowali Trzej Królowie
Z za dalekich mórz,
Nie wiedzieli, że za nimi
Idą łany zbóż.
Nie wiedzieli, że do szopy
Wszystkie nasze walą chłopy
Na tę jasność zórz!

Słucha jeden, słucha drugi,
Skąd tak cudny głos?
A to śpiewa nasz skowronek
Za pobrzękiem kos!
A to nasze łany, grzędy,
Wyśpiewują te kolendy
Skroś porannych ros!

Przyszli króle do Betleem,
Aż tu nowy cud!
Pyta Jezus: "A gdzież chłopy,
Co tu przyszły z bud?
Gdzie Mazury, Podlasiaki,
Krakowiaki i Ślązaki,
Gdzie mój polski lud?"

Nie zawstydzi się przed Królami
Za swe dary chłop,
Nad kadzidło i nad myrrę
Pachnie żytni snop. . . .
A pszenica się migota
Od szczerego cudniej złota
Pod niebieski strop.

I stanęli wszyscy kołem
Tak, jak wyszli z chat,
I huknęli — "Pochwalony" —
Na caluśki świat. . . .
Odhuknęły góry, lasy:
"Pochwalony po wsze czasy
Bóg nasz i nasz brat!"

Z BLISKA WIDZIAŁAM ŁZY WASZE I TROSKI . . .

Z bliska widziałam łzy wasze i troski,
Z bliska waszego serca czułam bicie;
Z bliska znam nędze i miasta i wioski
I rany wasze i życie.

Z bliska znam sny te, co się nam prześniły,
Tęsknoty, żale i klątwy i zgrzyty,
I z bliska także wiem, że brak nam siły
Z przepaści wzbić się na szczyty.

Z bliska słabości znam nasze i winy
I te złudzenia, co czynią z nas śpiące
Wśród ruchu wielkiej przebudzeń godziny,
Choć dawno wzeszło już słońce!

Na to, co dzieli nas i łamie w dwoje
I od wspólnego odtrąca ogniska,
Na nienawiści i na niepokoje
Patrzałam długo i z bliska.

A teraz oczy moje są zmęczone
Od łez — i droga moja w mgły ucieka . . .
Idę odpocząć w nieznaną gdzieś stronę
I patrzeć na was — z daleka.

CO POCZNIE? . . .

Wśród nocy — własne oczy jej świeciły
Zgrozy pochodnią . . .
Biegła, bo ustać nie miałaby siły
Pod swoją zbrodnią . . . .
Od wichru myśli na głowie jej wstały
Zburzone włosy . . .
Biegła — jak gdyby poświsty ją gnały,
Lub rózeg ciosy.
Bose jej stopy ślad wgniotły leciuchny
W śnieg srebrny, świeży
Aż tam, gdzie śpiący synek jej bieluchny
Pod murem leży . . .
Gdzież biegnie? — Pójdzicież zapytać się rosy,
Czy go wyżywi?
Czy też rwać pocznie stargane swe włosy,
Jak nieszczęśliwi?
Czy pójdzie nocy tej błagać, by cieniem
Czoło jej skryła?
Żeby jej ziemia rzuconym kamieniem
Nie znieważyła?
Czy pójdzie w lasy bić głową o sosny,
Gdzie pustka głucha?
Czy stanie nagle — i w głosek żałosny
Drżąc, się zasłucha?
Czy pójdzie w góry, co stopy jej krwawić
Zębami poczną?
Czy wróci blada, by dziecię swe zbawić
Przed dolą mroczną?
Czy jak zdeptane stokrocie na łące,
Ugnie swe czoło?
Czy wbije oczy, jak noże płonące,
W ciżbę wesołą?
Czy krzykiem pójdzie rozbudzić potęgi,
Co drzemią senne?

Czy w twarz, z policzkiem, odrzuci przysięgi
Zdrady płomienne?
Czy stanie tutaj pod niebios pręgierzem
W błyskawic wstydzie?
Czy pójdzie los swój podzielić ze zwierzem
I żyć w ohydzie?
Czy, załamawszy ręce, jak Niobe,
Tu skamienieje?
I stać tak będzie, aż wieku chorobę
Wyleczą dzieje?
Czy, jak drzewina, gdy robak ją stoczy
Padnie wśród drogi,
A w prochu zdepcą blask płowych warkoczy
Przechodniów nogi?
Czy prawodawcom ukaże się we śnie,
Jak widmo drżące,
I zbudzi sennych, wołając boleśnie:
"Jest nas tysiące!"
Czy pod mur wróci — i porwie na ręce
Swego chłopczyka?
Czy zacznie szarpać to ciałko dziecięce,
Jak lwica dzika?
Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca
O srebrny rąbek,
By cieplej spała dziecinka jej drżąca,
Biały gołąbek?
Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,
Bo matki niema?
Czy zaklnie cicho, by za nią nie biegły,
Jak anatema?
Czy poda piersi raz jeszcze przed świtem
Dziecku u łona?
Czy krzyk natury zagłuszy swym zgrzytem,
Padnie i skona? . . .
O myślicielu! Co pocznie ta matka?
To drobne dziecię? . . .
Milczysz? — Jak ciemną jest życia zagadka! . . .
Ileż łez w świecie! . . .

SOBOTNI WIECZÓR . . .

Od zgrzytającej zębami maszyny
Powstał, znużony, z osłupiałym okiem,
W którem się palił płomyk jakiś siny,
I przeszedł izbę w milczeniu głębokiem.
O czem miał mówić? — Myśl jego, wtłoczona
Pomiędzy koła i śruby i piły,
Była tak ciężką, jak jego ramiona,
Co się bezwładnie wzdłuż ciała zwiesiły. . . .
O czem miał mówić? Wszak świata obroty,
Jego pragnienia i walki i ruchy
Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty,
Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.
Jak senny, przeszedł przez puste warsztaty,
Z głową zwieszoną, z obliczem wygasłem,
Aż tam, gdzie kasy okienko z za kraty
Migało wypłat tygodniowych hasłem.
Wokoło gwarnym cisnęli się tłumem
Dnia najemnicy, z zamgloną źrenicą;
A zmrok zapadał z głuchym jakimś szumem
Ponad tych istnień smutną tajemnicą. . . .
Zapłatę swoją wziął, w ciżbie ostatni,
I wyszedł, czoło ocierając z potu.
Po dniu, spędzonym wśród maszyn łoskotu,
Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,
Myśl z odrętwienia rozbudzić w gawędzie,
Uścisnąć rękę przyjaźni życzliwą,
Poczuć w swym bycie nie martwe narzędzie,

Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo. . . .
Stanął w ulicy; na rogu jaskrawy
Napis obwieszczał, że tutaj dostanie
Głośnej muzyki i hucznej zabawy
I zapomnienia o każdej swej ranie. . . .
U wejścia para buchnęła gorąca,
Tłum w drzwi otwarte cisnął się nawałem,
A błędny obłok skrzydłem swojem białem
Chwytał przebłyski gasnącego słońca. . . .
Cofnął się młody robotnik z przed progu;
Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy
O wiośnie, ciszy, przyrodzie i Bogu. . . .
Jakieś pytania o życiu, o świecie
Zmąconą falą o duszę mu biły . . .
On czuł się cząstką i ruchu i siły,
Lecz nieświadomą i bierną, jak dziecię. . . .
Powiew żywszego, szerszego już prądu
Pchnął myśli jego na głębię od brzegu . . .
Lecz brakło steru i w błędnym tym biegu
Nie umiał dostrzedz przystani i lądu. . . .
Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
Nad brzęk kieliszków i klątwy i krzyki. . . .
Lecz gdzie je znaleźć? Ach, gdyby w tym tłumie
Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo,
Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,
Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!
Jakżeby chętnie podzielił się biciem
Serca, stwardniałej dłoni swej uściskiem,
Jakżeby chętnie żył, choć chwilę, życiem

Wiedzy i światła i prac ducha blizkiem. . . .
Stał tak niepewny, a wrzawa kipiała,
Przed nim szli ludzie. . . . Myślące oblicza,
Siła sympatii jakiejś tajemniczej
Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała. . . .
Z przechodniów owych niejeden zapewne
Kochał lud, myślał o jego oświacie
I miał dla niego to uczucie rzewne,
Które obcemu nawet mówi: "bracie" . . .
Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy
Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?
Czyliż zwyczaje, jak więzów łańcuchy,
Każdej z nich ciasnem nie zamknęły kołem?
Przedmiotem czyjej troski i narady
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?
Czyliż więc dziwno, że wyrobnik blady
Powstał, podumał i poszedł — do szynku.

WOLNY NAJMITA . . .

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą
Między pólkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takiem urągliwem!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywem!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia w łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo . . .
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu wschód wita . . .
Stanął i otarł łzę połą swej świty,
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy. . . .

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu
Gdy się podoba. . . .

Wolny, bo nic mu nie cięży na świecie —
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie
I ból istnienia. . . .

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje . . .
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje. . .

Wolny! — Wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć i płakać i śpiewać —
Bóg mu przebaczy. . . .

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni . . .
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokrą łączkę i mszary i wrzosy
Obsadzi urząd . . . podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź, idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba . . .
Idź, idź do kosy!

Czegóż on stoi? Wszak wolny, jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera. . . .

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta . . .
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie . . .
Wolny najmita!

PRZED SĄDEM . . .

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi,
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
że mógł rozpłakać się i wołać: "matko!"
Gdyby miał matkę . . . i mógł stroić psoty
I pocałunków żądać i pieszczoty
I spać na piersiach ojca . . . a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa,
Wielka i pusta i ciemna i chłodna
I bezlitosna i łez ludzkich głodna
I nigdy dla nich nie mająca słowa
Miłości bratniej i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę,
że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

Przy winowajcy nie było nikogo . . .
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą,
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty
I chyba tylko promyczek ten złoty
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosięta mu płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł. "Gdzie rodzice?"
"Nieznani" — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Bo oto nagle, od jednego słowa
Zdjęło go zimno i pustka grobowa . . .
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu. "Czy w wiosce jest szkoła?"
— "Nie," — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem — pytanie było jakoś dziwne . . .
Wahał się chwilę, czy właściwym będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po szarej bibule. . . .
A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmęczony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy. . . .
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała światła innego prócz słońca
I innych wrażeń ożywczych prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Nad którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia . . .
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia. . . .
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie . . .
I spostrzegł pełny trwogi i zadumy,
że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,

I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące. . .
Widział, że tłum ten — to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości
że chce rachunku — z miliona. . . .
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy . . .
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyny. . . .

— "Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemności błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą? . . .
Niechże was Chrystus sądzi!" —
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze . . .
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: "Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!"

Z WIEJSKIEJ SZKÓŁKI . . .

Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, pobladłe, milczące
Całował cichy.
Lekuchnem drżeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki
I pęk róż dzikich i wianek zielony
W głowach trumienki. . . .
Cicho szeleszcząc przez powój i rąbki
Białych firanek,
Nienakarmione wypłaszał gołąbki
Na pusty ganek. . . .
Otwartem oknem jaskółka wleciała
Z pieśnią majową
I czarnem skrzydłem mignęła, jak strzała,
Nad martwą głową.
Gromnica błyski zimne, jak łzy cudze,
Rzucała drżąca,
Ruchomą plamą czerwieniąc się w smudze
Złotego słońca.
Nikt się nie modlił, nikt we łzach nie klęczał
Przy tej trumience . . .
Nikt się z tą bladą nie żegnał, nie jęczał,
Złamawszy ręce. . . .
I tylko Chrystus wyciągał ramiona
Z krzyża boleśnie,
I tylko pliszka, z gałązki spłoszona,
Nuciła pieśnie. . . .
Nagle z kościółka rozgrzmiały się dzwony,
Przeciągłe, łzawe,
A las zaszumiał w chór sosen zielony
Śmiertelne "Ave." . . .

Na łąki idąc ze świtem i rosą,
Wiejska gromada
Stanęła w progu, ten z sierpem, ów z kosą,
Jako wypada.
Pod przyźbą stoi, oparta pod brodę,
Znachorka siwa,
Wróżąc sąsiadkom na lny ich pogodę,
A deszcz na żniwa. . . .
Młode wieśniaczki z oczyma suchemi
Wzdychają głośno,
A dziad zawodzi, zasiadłszy na ziemi,
Pieśnią żałosną.
Wtem śmiech wybuchnął kaskadą wesołą:
To dziatwa wioski,
Co się zebrała przed pustą dziś szkołą,
Gwarząc bez troski. . . .
Śmierć z swym spokojem ustąpić musiała
Przed życia ruchem . . .
I tak zasnęła ta cicha i biała
Wśród obcych duchem.

O lesie ciemny! O smutne wy dzwony!
Kogo żegnacie?
Gdzie jest jej matka? Gdzie ojciec rodzony?
Gdzie bracia w chacie?
— Rodzona matka — to ziemia, co płowy
Plon żyta dała . . .
Ojciec rodzony, to lud ten wioskowy . . .
Tak go kochała!
— Rodzone siostry i bracia rodzeni,
To wiejskie dziatki,
Te, które wiodła do światła od cieni
Z uczuciem matki.
Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęło śmiało
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie
Przez dobę całą.

Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak, stojąc, na połu jałowem
Z świtu do nocy.
I tylko czasem, pobladła, znużona,
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką. . . ..
I tylko czasem szepnęła: "Jak ciemno!
Kiedyż zadnieje?"
Walcząc z śmiertelną niemocą daremno,
Tracąc nadzieję. . . .
Ach, ona była, jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem . . .
Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha — chlebem. . . .
I była rosą, co rzeźwi o świcie
Zioła mdlejące . . .
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,
Nim wzejdzie słońce.

Dziś stary cieśla w trumienkę sosnową
Zabija ćwieki
I krzyż zakreśla w powietrzu nad głową
W odjazd daleki. . . .
Ubogi wózek zaskrzypiał na piasku
Samotną drogą,
Przed nim mgła srebrna, a za nim snop blasku —
Więcej nikogo.
Tylko sierotka żegnała go mała
Smutnem wejrzeniem,
Tylko się róża w ogródku rozwiała
Ostatnim tchnieniem. . . .
Tylko jaskółki za trumną leciały,
Szczebiocąc długo . . .
I tylko tuman wstał cichy i biały
Nad modrą strugą. . . .

BEZ DACHU . . .

Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli,
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę
I brylantowych iskier błyskawice
Roztliła w śniegów pościeli.
Kto miał ognisko własne i ramiona,
Co go czekały, jak pieszczot ponęta,
Mówił do nocy tej: "Błogosławiona!"
Kto nie miał, mówił: "Przeklęta!"
A takich głosów było, ach! — tysiące . . .
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy . . .
O gwiazdy, czy Bóg je słyszy?
Patrzycie, blade, i ja patrzę, blada;
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę . . .
O gwiazdy, jeśli która odpowiada,
Ja was dosłyszeć nie mogę! . . .

O nocy srebrna! O nocy, królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło . . .
A mglistą szronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą. . . .
O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba
Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła?
Przez litość, słuchaj! Wszak oni chcą chleba
I tylko troszeczkę ciepła!
Ach! gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant, co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tę zamieć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci. . . .
I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jedną tę gwiazdę w błękicie
Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze. . . .

O nocy! Cicha idziesz, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona,
A twoja srebrna, ciężka, długa szata
Całunem jest — dla miliona!

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stanął chłopczyna w tę mroźną zawieję . . .
Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,
że go ten kamień ogrzeje. . . .
Lecz stróż drzwi zamknął na rygle . . . I naraz
Łzy się dziecięce, jak perły, rozsnuły . . .
— "Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras . . .
Policja . . . śledztwo . . . cyrkuły!"
Chłopczyna odszedł, płacząc. Tam, w oddali,
Widać świątyni granitowe mury . . .
A ponad nimi mgła bladych opali,
A wyżej lodowe chmury.
I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem.
W powietrzu szronów latały diamenty . . .
Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był zamknięty
Razem z litością i z Bogiem.
Ach! Gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby chodził ciemnemi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy
I tulił u swych ołtarzy.
Skostniałe dziecię szklanemi oczyma
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga;
Chciało się skarżyć, lecz matki już nie ma,
Mówiło zatem do Boga:
— "Ojcze nasz" . . . Jakto, o synu królewski!
Ojca twojego narody zwą Bogiem,
A ty, wpatrzony w ten pałac niebieskie,
Konasz, bez dachu, za progiem?
"Ojcze nasz" mówisz . . . a czyim ty bratem?
Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą
I głośnym pełnych puharów wiwatem
Gasnące jęki twe głuszą?

"Ojcze nasz!" Boże, czy słyszysz to dziecię,
Co usta z nędzy zbielałe otwiera!
Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie,
I z wiarą taką umiera!

Dziecię mówiło pacierz . . . mgła srebrzysta
Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,
Zrazu gorętsza i błękitno-biała,
Później — dziwnie przezroczysta,
Wreszcie zanikła. W pół otwarte wargi
Przestały szeptać modlitwy i skargi . . .
Wobec ciemnego, milczącego gmachu
Dziecię skonało bez dachu.

Z SZOPKĄ . . .

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo,
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą.
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna,
Nie to, co chaty ich, nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można!
Nie wiem, czy które z tych biednych usłyszy
Kiedy w swem życiu, co godnem jest cześci;
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty ciszy
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści;
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba,
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańcuchu ogniwem.
Lecz wiem, że z dawna uczono batogiem
Odkrywać głowy przed pańskim tym progiem.
Stanęły zbite w gromadkę; nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wybłyska,
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi. . . .
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,
Co raz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych, chłopskich dzieci . . .
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni,
A noc słuchała smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni
I ech żałosnych, zmieszanych w rozdźwięki,
I w jakieś ciche westchnienia i w jęki.

Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugiemi
Stał w pośród jasnej okien dworskich łuny,
Odziany w łachman, z stopami bosemi,

Umilknął nagle, jak rwące się struny . . .
I ponad gwiazdą, klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniósł do góry
I myślał sobie: "Czemu to, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora?
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną
I jakby cienie, po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką! . . .
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: "Bracia, Chrystus się narodził!"
Czemu?

O dziecię! mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytania . . .
Och! oby tylko nie wszedł on sądem
Klęsk ostatecznych nad morzem i lądem!
Och! oby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: "Czemu?!"

CHŁOPSKIE SERCE . . .

W tłumie, na mrozie stanęła pod ścianą,
Okryta starą, mężowską sukmaną.

Posępna rzecz jest ta siwa siermięga,
Przesiąkła potem i łzami i zdarta,
Na zgiętym w pracy i niedoli grzbiecie
Nędzarza, który nigdy z ciemności nie sięga
Do światła żadną ożywczą nadzieją . . .
I smętna rzecz jest i zadumy warta
I sama w sobie taka żałośliwa,
Jakby nie łachman, ale rana żywa
Na narodowem ciele się krwawiąca . . .
Kiedyś, gdy wicher i burze przewieją
I rozbłękitni się w sobie wiek słońca,
O tej siermiędze mówić będą w świecie
I zwać jej dzieje ludu epopeją . . .
I może wtedy nawet my, my sami
Wśród narodowych skarbów i pamiątek
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek
Chować będziemy — i oblewać łzami!

Pół dnia już stała tak, nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzełek trzymała —
Chudoba syna, mizerna i licha . . .
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka, była posępna i cicha,
I tylko usta zacięte, drgające,

Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny,
I bić w niebiosa i wstrząsnąć to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.

Sąsiad przemówił do niej: "Pochwalony!"
Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym . . .
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzyła na drzwi zamknięte, przed siebie.

O, pochwalony! O, błogosławiony
Bądź Ty mi, Chryste, co przebite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bóg nędzarzy!
Ty liczysz kędyś w błękitnem swem niebie
Wszystkie gryzące łzy troski i bólu,
Co żłobią brózdy wśród zwiędłych tych twarzy . . .
O! pochwalony bądź, boleści Królu!

Z trzaskiem otwarto drzwi sali: w natłoku
On jeden tylko jest widny jej oku . . .
Jej Jasiek! . . . Dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś odblaski tragiczne, surowe,
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany . . .
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu. Był gibszy i bladszy,
A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły . . .
— "O matko!" — "Nie płacz! Pan Jezus przemieni . . .
Tyś głodny; weź to, posil się na drogę" . . .
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: "Nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!" Jak chusta, zbladła,
Lecz rozłamała chleb — i z synem jadła.

A w tem wydano ostatnie rozkazy.
Marsz zabrzmiał. Jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów i chaty i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty . . .
— "Hej . . . nie zobaczyć już tego w żołnierce! —
Powstał zgiełk, lament . . . Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,
Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą iść miały rekruty . . .
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła . . .
I zatoczyła się — i martwa padła . . .
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.
— "Dziecko! . . ." krzyknęła raz tylko i zbladła,

JAŚ NIE DOCZEKAŁ . . .

W ubogiej izbie gość zjawił się błogi:
Słoneczny promień, wiosenny, majowy!
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucił się po ziemi,
Jak złota strzała padł na stół sosnowy,
Na deski starej, spaczonej podłogi,
Na tapczan nędzny, zasłany barłogiem,
Na komin pusty, zimny, bez ogniska,
Na obraz, który jaskrawie wybłyska
Złocistą glorią w poddasze nędzarza,
Tak, jakby mógł Ten, co biednych jest Bogiem
I miłosierdziem i smutnych odwagą,
Gromadzić skarby u swego ołtarza
I stać w purpury blaskach i kamieni,
Gdy ludzie głodni, nędzni, opuszczeni,
Korząc się przed nim, biją w pierś swą — nagą!

Był to niedzielny poranek wiośniany.
W izbie wyrobnik siedział z zgasłą twarzą
U pociemniałej i wilgotnej ściany,
Po której zamróz kroplami ociekał . . .
Aż z dum swych ciepłym zbudzony promieniem,
Posłyszał wróble, co na dachu gwarzą:
Spojrzał po izbie okiem smętnem, mgławem,
I szepnął z cichem, stłumionem westchnieniem:
Potem na jasność tę ożywczą słońca
"Jaś nie doczekał!"
I otarł grubej koszuli rękawem
Łzę, co po twarzy toczyła się, drżąca

I taka mętna i ciężka i wielka,
Jakby to wody nie była kropelka,
Lecz kamień, który wyrzucony z duszy,
Padnie w głębiny i ziemię poruszy.

Zima ta ciężka była. Śnieżne duchy
Pomiędzy ziemią latały a niebem,
Białemi skrzydły zakrywszy błękity,
A mroźne wichrów północnych podmuchy
Dreszczem wstrząsały ubogie te ściany,
Wśród których nędzarz tak rzadko jest syty
Twardym i czarnym niedoli swej chlebem;
Tak biedne nosi na grzbiecie łachmany,
Tak ciężko musi pracować na dzieci,
Wśród skrzących mrozów i wietrznej zamieci!
Zima ta ciężka była. Na kominie
Ogień nie co dnia rozniecał się lichy,
Nie co dnia ciepłą gotowano strawę,
Ojciec przychodził wieczorem bez siły,
Nie mogąc dźwignąć siekiery ni piły,
I padał spocząć, jak martwy, na ławę . . .
A Jaś tymczasem, w nędznej koszulinie,
Coraz to bledszy, coraz bardziej cichy,
Na kształt mdlejącej lampy lub pochodni
Zjadał kęs chleba — i siadał na ziemi,
Patrząc na ojca oczyma smutnemi,
Jak ci, co mówić nie śmią, że są głodni!

Wreszcie z tapczana nie podniósł się wcale,
Ojca witając z daleka — uśmiechem . . .
Przeląkł się nędzarz, chwycił go w ramiona,
W piersiach mu grały i łkania i żale . . .
Noc całą dziecko zagrzewał oddechem,
Bo mu się zdało, że stygnie, że kona. . . .
Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę,

A ściany skrzyły się, jak diamentowe . . .
Bo zima na nie rzuciła płaszcz biały,
Łzy na nich marzły — i jak perły, stały.

Rankiem wyrobnik zastawił swą piłę,
Porąbał stołek, rozpalił ognisko,
Przyzwał lekarza. Lekarz, człowiek młody,
Oświadczył, że tu jest powietrze zgniłe,
Że straszna wilgoć ma tutaj siedlisko,
Że dziecku trzeba dać lepsze wygody,
Izbę obszerną, jasną i ogrzaną,
Ciepłe okrycie, a przytem co rano
Posiłek lekki, pożywny, gorący.
Zapewnił nadto, że jeśli chłopczyna
Wiosny doczeka, to wzmocni go słońce.
Wreszcie oświadczył, że mróz — trzaskający!
I wyszedł. — Ojciec stanął, jak zmartwiały,
We drzwi wlepiwszy źrenice błyszczące . . .
A wiatr tymczasem rozmiatał z komina
Iskry i dymy i w szyby tak siekał,
Jakby brał szturmem tę izbę ubogą.
Blada twarz chłopca zrobiła się sina . . .
Do ojca sztywne wyciągnął rączęta,
Rzucił się . . . wargi drobne mu zadrgały . . .
A śmierć, srebrzystą szatą owinięta,
Wzięła go z sobą tajemniczą drogą . . .
Promienia słońca Jaś już nie doczekał!

W mogiłce leży i nigdy mu duszy
Żadne już światło nie zbudzi, nie wzruszy . . .
Nigdy nie wzniesie pogodnych swych powiek
Na wielkie cuda tworzącej przyrody
I nigdy zapał do wiedzy, swobody
Nie drgnie mu w piersi okrzykiem: "Tyś człowiek!"
Ach, ileż takich mogił jest na ziemi

I jakże smutne są takie mogiły!
Ludzkość żyć winna siłami wszystkiemi,
A nędza codzień odbiera jej siły. . . .
Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża,
To siew bez plonu, rzucony na marno,
Kwiat bez owocu — i stracone ziarno.
Poprzez mogiły, gdzie śpią te dzieciny
W milczeniu śmierci przeraźliwem, głuchem,
Ludzkość, uboższa ramieniem i duchem,
Idzie tak wolno, jakby cel się zwlekał!
O bracia, czy w nas wcale niema winy,
że słonka Jaś nie doczekał?

CZY ZGINIE? . . .

Między stosami tłuczonych kamieni,
Na których ludzkie łzy drżały, czy rosa,
Szła wązkim rąbkiem przydrożnej zieleni
Błękitnooka i złocistowłosa.
Drobne serduszko pod nędzną odzieżą
Tak się trzepało, jak ptaszek ukryty;
Szła i wznosiła oczęta w błękity,
Jak ci, co smutni są, a przecież wierzą.
Za nią została z dymami czarnemi
Wioska rodzinna i puste jej pola
I wiatr, co lata ze świstem nad niemi
I zda się jęczeć i woła: "Niedola!"
Za nią zostały te szmery kojące,
Któremi cisza usypia tęsknotę,
I szumy lasów i kwiatki te złote,
Co pierwsze wschodzą w przednówek na łące,
I młyn, co huczy i straszy i gderze,
I rozbryzgana w jutrzenki i tęcze
Rzeczka, co szepcze wieczorne pacierze,
A nocą przędzie mgły srebrne, pajęcze . . .
Za nią została rodzinna jej chata,
Z której ją bieda wypchnęła za progi,
I szmatek ziemi jałowy, ubogi,
Co rodzi żyto raz w każde trzy lata,
I mały Jasiek, co w zgrzebnej koszuli
Nosi wczorajsze zgłąbiałe ziemniaki,
I Burek, co się tak łasi i tuli,
I wierzby krzywe nad rowem i krzaki
I krzyż spróchniały i stare mogiły
I zapomniana socha na ugorze,
Przy której ojciec padł kiedyś bez siły,
Czując, że dzieciom chleba nie wyorze . . .

Wszystko zostało! Aż w piersiach coś boli
I takie krwawe to niebo wieczorne . . .
Matka trzydniówką odrabia komorne,
A ty, sieroto, idź, szukaj swej doli!
Hej, mocny Boże! Hej, mocny Ty Boże! . . .
Iść ciężko . . . ciężej umierać od głodu!

Podniosła oczy. Tam, w łunach zachodu,
Stolica gore i kipi, jak morze,
Zda się, że od niej żar bucha i parzy . . .
Jakieś wołania i śmiechy i jęki . . .
U spodu ciemne mrowisko nędzarzy,
A nad niem nuta rozpustnej piosenki . . .
Dech przyśpieszony w powietrze uderza,
Zmieszane tłumy prą naprzód i śpieszą . . .
Na bok, kto nie masz złotego puklerza:
Zgniotą cię, zdepcą, a potem — ośmieszą!

O miasto! wielki żądz steku i brudu,
Co zwodnym blaskiem przywabiasz z daleka,
Powiedz, co spotka i co tutaj czeka
To ufne, czyste dziecię twego ludu?
Czy pójdzie ono, jak poszły tysiące,
Spodlone, w gorzką poniewierkę losu,
Tak, że ni oczu obrócić na słońce,
Ni się ośmielić podnieść w niebo głosu?
Czy znajdzie w tobie ciche przytulenie,
Jako sierota w braterskiej drużynie?
O miasto wielkie! na swoje sumienie
Bierzesz to dziecię! . . . Czy zginie?

W PIWNICZEJ IZBIE . . .

W piwniczej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury;
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwniczej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada . . .
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

"Moja mateńko, moja rodzona!
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku,
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?
I widzą het . . . obłoki?"
— "Oj, widzą, synku, wszyściutko widzą,
Caluśki świat szeroki!

Oj, widzą one pola i lasy
I łąki i zagaje;
Widzą, jak słonko idzie do morza,
I jak znów rankiem wstaje. . . .

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak ziemia rodzi czarna. . . .

Oj, widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzciną. . . ."

— "A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?"

— "Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne."

— "To i Pan Jezus bliżej być musi
I patrzy na te dzieci . . .
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci? . . ."

. . . . . .

W piwniczej izbie jęk zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta . . .
W gęstnącym zmroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słychać kąta.

— "Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?"
— "W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu. . . .

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa!
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa. . . .

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną. . . .

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie. . . .

Od spodu słoma, jak trzcina, stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie!

A jęczmień to ci taki wąsaty!
A gryka taka miodna!
A lny — jak niebo . . . a grochy w strąkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwoni . . .
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni. . . ."

. . . . . .

W piwniczej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą . . .
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą. . . .

. . . . . .

— "Moja mateńko! Moja rodzona!
A jak tam na tej łące?"
— "Na łące, synku, to trawy rosną,
W srebrzystej mgle stojące. . .

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem okiem mruga. . . .

A po mokradłach bocian szczudłuje
I żaby dziobem bierze . . .
A skowroneczek do Boga leci
I śpiewa swe pacierze. . . .

A dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuściną i zapaską . . .
A krówka ryczy a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska. . . .

Brzeżkiem, nad rowem, złocieniec rośnie
I wierzba na fujarki . . .
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki. . . .

A po przydrożku, pod leśną ścianą,
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą. . . ."

. . . . . .

W piwniczej izbie głos dziecka wzdycha
Z wilgotnej, brudnej pleśni . . .
A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasem nie śni. . . .

. . . . . .

— "Moja mateńko! Moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?"
— "W lesie to, synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie!

I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach. . . .

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że — gdzie! . . . i ksiądz sam nie ma
Na Boże Ciało, na procesji,
Takiego baldachima!

Dęby a jodły, jako te wieże,
Pod niebo się dźwigają,
że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają. . . .

A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,
A dzień się przez nie, jak sitem, sieje
I patrzy złotą rzęsą. . . .

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie,
A jarzębiny w koralach stoją
I pachną leśne wiśnie. . . .

A jakie to tam gniazda są ptasze,
Furkania, a szczebioty!
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty!

A co tam żuczków, a muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych, jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi,
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka a naszczekuje:
A nawróć się! A zasię! . . .

A z Bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
I szepce swe pacierze. . . .

A dech ci taki słodki a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła . . .
Bo smółki topną i mirrę sączą,
I zdrowiem tchną tam zioła. . . ."

— "A to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy, tom jak źdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie. . . ."

— "Oj, ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
Jak ten wróbelek lichy. . . .

Oj, ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją główeńkę
Zakopać w dołek czarny!"

. . . . . .

— "Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Możeć się jeszcze uda . . .
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda?"

— "Oj, są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwiecone. . . .

Oj, są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!"

— "A jaż, mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściuśko, co mówicie?
One to ptaki w lasach grające,
One zajączki w życie?

A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słonko świeci?"

. . . . . .

W piwniczej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słychać kąta . . .
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwniczej izbie zmierzch zapadł czarny,
Jako ta czarna dola . . .
Któż dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola?

NA GODY . . .

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę. . . .

Dali łapcie z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba:
"Idźże, Jaśku, w świat szeroki,
Na wschód słonka, na wschód nieba. . . .

Jeszczećbym ci w chacie rada,
Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody . . .
Ano kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie na Gody? . . .

A gódźże się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę. . . .

A gódźże się u bogacza
W dobre słowo, w dobrą wiarę;
Jak przysłużysz, co się patrzy,
Da ci może buty stare. . . .

A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Siaki taki szmat kożucha!"

"A i długoż mi, matusiu,
Na te buty służyć w świecie?" —
— "Aż cię synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca w dół przygniecie."

— "A i długoż mi, mateńko,
Na ten kożuch służyć trzeba?"
— "Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
Z wysokiego swego nieba!"

Idzie Jasiek po ścieżynie,
Co się spojrzy, to ją minie;
Co się spojrzy, to się smuci —
Albo pójdzie, albo wróci. . . .

Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa;
Czegoś skrzypi, czegoś biada,
Dziw do niego nie zagada. . . .

Oj! nie użył Jasiek w chacie
Ani wczasu, ni swobody . . .
— Ano — kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie na Gody? . . .

DZWONY . . .

A gdy skonał w czarnej chacie
Jasieńko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
By mu dzwoniły.

— "Mój syneczek, mój rodzony
W trumience leży;
O, zagrajcież wy mu, dzwony,
Z tej białej wieży!

Niechaj idzie głos bijący
O jasne słońce,
Przez te pola, przez te lasy,
Z wiatrem szumiące. . . ."

Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały.
— "Będziem jemu dzwonić, matko,
Za talar biały!"

I wróciła narzekając,
Do pustej chaty
I strząsnęła wszystkie kąty
I zgrzebne szmaty. . . .

I nic więcej nie znalazła
Prócz onej świty,
Którą syna trup zczerniały
Leżał nakryty. . . .

— "Nieszczęśliwasz moja dola,
Jasieńku miły!
Chybaż tobie łzy te moje
Będą dzwoniły. . . .

Chyba moje narzekanie
Bić będzie z rosą,
Kiedy ciebie na mogiłki
Z chaty wyniosą!"

I wynieśli za próg czarny
Trumienkę lichą,
A za synem poszła matka
Ścieżyną cichą. . . .

I nie grały jemu dzwony
Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
I wietrzyk świeży. . . .

Jeno dzwonki te liliowe,
Co w borze rosną,
żeby dzwonić chłopskim trumnom
W drogę żałosną. . . .

A JAK POSZEDŁ KRÓL . . .

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę. . . .

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole,
Na tęsknotę, na niedolę. . . .

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy . . .
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wraca zdrowy. . . .

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe. . . .

JA SIĘ NIE SKARŻĘ . . .

Ja się nie skarżę, Boże! ja nie płaczę,
Choć wiatr roznosi jękami głuchemi
Chmury łez pełne, westchnienia tułacze
Po całej smutnej tej ziemi!
Ja się nie skarżę, choć jasność dnia blada,
Zaledwie słońca promieniem draśnięta,
W cień i zmierzch nocy wieczystej zapada,
Nieznana, często — przeklęta!
Ja się nie skarżę, choć kwiat nierozwity,
W pąku zdeptany, bezpłodnie umiera . . .
Ja się nie skarżę, choć prawdy błękity
Burza piorunem otwiera. . . .
Choć po dolinach mgły ciemne się wloką,
Chociaż szczyt każdy bezduszną opoką,
Choć po przepaściach zwątpienia jest droga
Myślicielowi — do Boga;
Choć wiekuistej harmonii twej tony
Milkną wśród dzikich rozdźwięku wybuchów,
Chociaż stworzywszy ciał całe miliony,
Tak mało dałeś nam duchów!
Ja się nie skarżę, choć Twoje narody
Idą, nie wiedząc, skąd, kędy i po co,
I bijąc w siebie, jak morskich fal wody,
Pracę stuleci druzgocą;
Choć hasła wieku, jak błędne ogniki,
W strasznej nicości prowadzą nas bagno,
Choć próżno biją w niebiosa okrzyki
Tych, co konają i pragną!
Ja się nie skarżę, choć Twoje ołtarze
Nie płoną wiecznej jasności pochodnią,
Choć synom twoim na imię "nędzarze",
A nędza, tak często — zbrodnią!

Ja się nie skarżę, choć serce człowieka
Z porywów marnych wykułeś, nie z siły;
Choć smutnym droga tak bardzo daleka
Do ukojenia — mogiły!
Chociaż ideał, na cząstki rozbity,
Wspólnego duchom nie tworzy ogniska;
Choć przez najczystszych uniesień zachwyty
Płomień żądz ziemskich przebłyska.
Ja się nie skarżę, choć słońce nie świeci
W chacie nędzarza, w skazańca ciemnicy;
Choć pokolenia posępnych stuleci
Marnieją w gnuśnej tęsknicy!
Choć tyle smutków i łez na tej ziemi,
Tyle niedoli, ach! i tyle winy . . .
Choć ponad ludów tłumami blademi
Biją okropne godziny. . . .
Ja się nie skarżę! Cóż światu pomoże,
Choćbym go skarg mych wstrzęsła huraganem? .
— Smutno mi tylko, żeś Ty, wielki Boże,
Całej tej nędzy jest — panem!

CO TO JEST ŻYCIE? . . .

Co to jest życie? . . . Schylona nad księgą
Wiecznych zagadnień o śmierci i bycie,
Myśl wstrząsa niebios i ziemi potęgą,
Pytając: Co to jest życie?
Jako świat dawny, tak dawno palące
Słowo to, w błękit wyrzucone, leci . . .
A nad ludzkością zadumaną słońce
W ciszy powstaje i świeci. . . .
I żaden odzew nie koi nam ducha
I nie rozjaśnia żaden promień nocy . . .
Ach, kiedyż wstanie Ten, który nas słucha,
Milczący w swojej wszechmocy?

Co to jest życie? — Oś przemian i ruchu,
Harmonii zjawisk ton główny, przewodni,
Płomyk, co gaśnie przy śmierci podmuchu,
I znów się chwyta pochodni. . . .
I co jest życie? — Żebracze łachmany,
Purpura królów, siła myśliciela,
Nędza, co w istnień miliony się wciela,
Wlokąc materii kajdany. . . .
Upadek duchów, walk pole najkrwawsze,
Gdzie nikt nie mierzy oręża, ni siły,
I gdzie zwycięstwo otrzymuje zawsze
Czarna chorągiew mogiły. . . .

Co to jest życie? — Uśmiechy wiosenne,
Szmer pocałunków, jutrzenka spłoniona,
Zroszone róże, marzenia półsenne,
Uścisk, co splata ramiona. . . .

I co jest życie? — Odwieczna tęsknica
Do oddalonych żywej wody zdrojów,
Żar, co pierś trawi i ogień podsyca
Burzliwym tchem niepokojów. . . .
Trud bez zapłaty, samotność i wzgarda,
Znój krwawy czoła i łzy krwawe oka,
Boleść, jak groby, czarna i głęboka,
Dola sieroca i twarda!

Cóż więc jest życie? Do czego zbudzone?
Czemu tak strasznie rozłamane w sobie?
Oto w błękitach ma swoją koronę,
A trwałość odrodzeń — w grobie.
Obecność jego wszędzie, a istota
Niepochwycona, lotna i subtelna . . .
Dotkniesz go ręką — garść pyłu i błota,
Myślą — iskra nieśmiertelna.
Gdzież jest ten nikły punkt, ta tajemnicza
Spójnia, co wieczne łączy ze znikomem
I zmiennej formie, która jest jej domem,
Potęgi bytu użycza?
I komu dano chwycić moment wielki,
W którym materia przyjmuje palące
Znamiona ducha, jak rosy kropelki,
Co rankiem zwierciedlą słońce?
O myśli ludzka, gdzieżeś ty nie była
Po słowo życia, płomienna i drżąca?
I jaka czara, tuż przy ustach schnąca,
W pragnieniu cię nie poiła?
Ileż ty razy, o biedna ludzkości,
Wzniesiesz się jeszcze i padniesz znużona,
Zanim podstawy dla swojej przyszłości
Wyczerpniesz z własnego łona,
Zanim zdobędziesz choć tyle w tym boju,
Z tajemniczością własnego istnienia,
Byś cele swoje bez łez i bez drżenia
Rozważać mogła w spokoju?

Kiedyż ukoisz się i pójdziesz, cicha,
Wytkniętą drogą, bez skargi, świadomie
Dążąc tam, kędy myśl boża oddycha
W słonecznych światów ogromie?

O! gdybym mogła z łez własnych, z tęsknoty
Utkać, jak tęczę, pas długi, pas złoty!
Rzuciłabym go w gościniec daleki,
By prędzej po nim szły wieki!
Ale w ludzkości, jak klątwa niedoli
Są takie słowa, których nic nie zgłuszy . . .
Myśl od nich płonie i pierś od nich boli
I ciemno robi się w duszy. . . .
I wiem, że wiecznie wśród istnień gromady,
Z okiem utkwionem w dalekim błękicie,
Stać będzie człowiek, samotny i blady,
Pytając: Co to jest życie?

NAJKRWAWSZE POLE . . .

Nie to jest pole najkrwawsze na ziemi,
Co pije z wojen rubinowe czary
I tak się bieli trupami ludzkimi,
Jak morskie piany, albo wieczne śniegi. . . .
Nie to, gdzie leżą strzaskane sztandary,
Na mężnych piersiach, które ich broniły,
I kędy, zwarte w dwa wrogie szeregi,
Ludów ścierają się siły.

Nie to, nad którem, jak śmiertelne chusty,
Ciągną się dymy, ciężkie, ołowiane . . .
Nie to, co wiecznie spragnionemi usty
Ssie pierś ludzkości, jak ranę. . . .
Nie to, gdzie żołnierz konający pada,
Z dala od chaty, od żony, od dzieci,
I gdzie się jękiem ostatnim spowiada
Gwieździe, co nad nim drżąc, świeci.
Nie to, nad którem wichrom jęczeć trzeba,
Gorzkimi łzami padać chłodnym rosom
I dzwonić pustym na zagonie kłosom
Na przyjście roku bez chleba.

Lecz to, gdzie duchy, jak orły zwaśnione,
Biją się w chmurach o prawdę nieznaną
I gdzie od wieków w dwie strony targano
Nieskończoności zasłonę.
Gdzie w zmrokach nocy, w walk krwawych zamieci,
Myśl obłąkana ciska błyskawice
I ponad którem wieczna burza leci,
Niosąc duchów nawałnice. . . .

Lecz to, gdzie jeszcze nigdy nikt z śmiertelnych
Ostatecznego nie dopiął zwycięstwa,
To, gdzie zastępy najśmielszych i dzielnych
Mają mogiły męczeństwa. . . .
Gdzie szermierz prawdy wyrasta w olbrzyma,
Gdzie myśl, podnosząc miecz badań stalowy,
Przecina ludzkość na wrogie połowy
I duchy na ostrzu trzyma. . . .
Gdzie, ciężkim wieków wstrząśnione pochodem,
Walą się gmachy posępną ruiną.
Gdzie bogi, wiary i idee giną
Przed ustaw wiecznych dowodem;
Gdzie w sam war bitwy, co grzmi wiekuiście,
Ludzkość potężnych swych atletów ciska
I gdzie z nich każdy znaczy swoje przyjście
Łuną nowego ogniska.

O pole straszne! . . . O szranku ty krwawy,
Co wiekom swoje obwołujesz hasło,
Nad tobą w pośród dziejowej kurzawy
Sto słońc już wzeszło i zgasło!
Sto ramion prawdę namiętnie chwytało,
Za całość biorąc rozbite atomy;
Sto serc tu pękło, gdy ideę białą
Kruszyły fakty, jak gromy.
Nad tobą sztandar wieczności szeleści,
Porywy kują miecze twych rycerzy . . .
A ludzkość czeka, konając z boleści,
Aż chwila ciszy uderzy.
Jak wichry, które z dwóch krańców pustyni
Rwą się, miotając swe piaszczyste żary,
Tak tutaj walczą w imię bóstw i wiary
Świątynia przeciw świątyni. . . .
A człowiek, zgrozą przejęty i blady,
Patrzy, jak marmur, krwią zbryzgany, pęka
I jak ognista druzgoce go ręka
W gruzy mogilnej zagłady. . . .

O bojowisko olbrzymów! . . o pole,
Gdzie się ścierają żywe duchów prądy!
Wszystkie sprzeczności i wszystkie niedole
Czekają na twoje sądy!
Najszlachetniejsze, najgorętsze duchy,
Przekazujące wiekom swoim chwałę,
Są wpośród ciebie, jak te chusty białe,
Co tłumią walki wybuchy. . . .
Przez chwilę, jako gwiazdy, błękitnieją
Ponad ludzkością, konającą w boju,
I opatrują rany jej nadzieją
Wiekuistego pokoju.
Lecz czas uderza w skrzydła i ulata . . .
Rwą się do walki nowe pokolenia . . .
A nad okręgiem zwichrzonego świata
Wieje chorągiew zniszczenia.
I nie wiem, czemu Bóg wielki w błękicie
Nie zerwie z prawdy słonecznej zasłony,
Aby spoczęły już raz te miliony,
Co walczą na śmierć i życie!

JASKÓŁKA . . .

Z za morza powraca! . . . Ach, leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą . . .
A cichoż, ty bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą. . . .
Ach, śpiesz się dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi, za wioskę bież strzałą;
Nim ptaszka w niej skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą.
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato, całując twe czółko,
Smagłością nie przyćmi urody.
Hej, chłopcze tęskniący, śledź bystrym spojrzeniem;
Gdzie ptaszka gniazdeczko uściele,
Tam w późne dosiewki ślij swata z pierścieniem,
A w zapust wyprawiaj wesele!
Ty, młoda gosposiu, wybiegnij z wrzecionem;
Nim w locie się zwinie jaskółka,
Cieniuchną niteczkę pasemkiem srebrzonem
Nawijaj, nawijaj u kółka.
A kiedy jesienią zaświecisz łuczywo
I siędziesz prząść lniane włókienka,
To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
I równa i mocna i cienka.
Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga
Pod przyźbą, na ławie dębowej;
Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
Jaskółka ten roczek, ten nowy!
Ach, leci! . . . ach, leci! Powraca z za morza
Do naszej wioskowej zagrody
I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
I łąki i pola i wody.

— "Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
Dziś wracam z piosenką radosną . . .
Cóż słychać nowego? Czy zdrowi? Czy cali?
Czy żyją staruszki, jak jabłoń, zsiwiali?
A Kasie, Maciusie czy rosną?
Ach! cóż to? . . . te same, jak widzę, kłopoty
I bieda jak była przed laty!
Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,
I dach się zapada garbaty!
Przez strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułacza.
Na twarzach znękanie i niechęć i troski,
Na ustach piosenka niedoli,
A dzieci wzrastają, jak płonne te kłoski,
Na dzikim ugorze zbujałe, wśród wioski
Bez myśli, bez czynu, bez woli.
Stęskniona leciałam przez morza, z nadzieją
Wiosennych błękitów i słońca;
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją
I wichry lodowe czatują z zawieja,
Tu zima i zima bez końca!
Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl strząsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
I lud-by się zbudził — narodem!"

— "O, spojrzyj! o, spojrzyj! to pierwsza jaskółka
Pod gzymsem w skrzydełka trzepoce . . .
I w okna zagląda i zwija się w kółka
I o coś się pyta, szczebioce . . .

Toż wiosna już, wiosna! . . . Za tydzień, za drugi
Mieć będę z fiołków bukiety . . .
Czy w polu już sieją? . . . czy orzą już pługi?"
— "Najdroższa, czytajmy gazety."

— "O panie, o pani! słoneczko kwietniowe
Przyświeca tak jasno, tak ładnie . . .
Czyż żaden promyczek na główki, na płowe
Wioskowych pacholąt nie padnie?
Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
U okien skrzydłami czarnemi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną
Wieściami powitać dobremi?
I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę
Pod strzechą szczęśliwą wieśniaczą?
I kiedyś tu światłem ubogą dziecinę,
Jak chryzmem, na życie naznaczą?
— "Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą;
Myśl moja ucieka z jaskółką
I leci nad wioską odartą i nagą!
Mój drogi! zajmijmy się szkółką!
Niech biedne te dzieci nie rosną tak dziko,
Wszak kraj do ich czynów ma prawa . . ."
— "Hm! chłopu nauka, co najmniej ryzyko . . .
Czytajmy, jeżeliś łaskawa!"

— "O panie! o pani! za morzem, za sinem
Plon myśli runieje, dojrzewa . . .
I słowo tam pada nie dźwiękiem, lecz czynem,
I wzorem, nie radą zagrzewa.
Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
Dostatków maleńkie okruchy,
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy!"

— "Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
Tak zawsze boleśnie daleka?
Dlaczego przed dzieckiem, panienką, paniczem
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski, z dostojnem obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu,
O myśl tę zmąconą, niejasną?
Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,
Wymierzać nam niemoc swą własną?
Posłuchaj mnie, drogi! Czyż tyle już trudu,
Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
Łaknącym zdrowego dać chleba?"
— "Co? . . . Może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody?
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki,
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i siadłszy na trawie,
Nauczać z niej ludek, jak klecha?
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha. . . .
Być może, iż trudy się takie opłacą,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu . . . jak, po co i na co? . . .
Daj pokój! . . . Czytajmy gazety."

— O słonko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
Rozbudzić się ze snu nie może . . .
O, więcej daj światła i więcej daj ciepła
I rosy ożywczej, o Boże!

WIĘC MI NAWIĄŻCIE . . .

Więc mi nawiążcie teraz strunę nową,
Nie tę, co płacze, i nie tę, co jęczy!
Strunę mi dajcie z promienia tej tęczy,
Co się na chmurę kładzie piorunową
I w cichy błękit każe ludziom wierzyć —
Kiedy już niema w kogo grom uderzyć!

Więc mi nawiążcie teraz strunę złotą,
Po której wicher nie zgrzytał złą wieścią,
Strunę, co nigdy nie drżała tęsknotą,
Strunę, co nigdy nie łkała boleścią,
Słoneczną strunę, dźwięczącą radośnie
Nad mogiłami o nowych dni wiośnie!

Więc mi nawiążcie tę strunę, co na nią
Nigdy łza gorzka nie padła pieśniarza,
Strunę, co nawet nad hańby otchłanią
Słowicze pieśni, jak echo, powtarza,
Tę, która płakać nawet umie pięknie
I chociaż serce pęka, ta nie pęknie!

Idźcie, szukajcie! Znajdziecie ją może,
Gdzie puste kłosy i gdzie zwiędłe kwiaty,
Na nieoranym i czarnym ugorze,
W barłogu ciemnej piwnicy, czy chaty,
Czy w pustej piersi własnej. Dalej, dalej!
Chcę grać! Chcę śpiewać! Pieśń się we mnie pali!

Nowej mi struny potrzeba wesela,
Co nie słyszała jęczących żórawi,
Kiedy ich wicher jesienny rozdziela . . .
Struny, co ręki nie rani, nie krwawi
I krzykiem bólu nie rzuca się w ciszę,
Struny, co duchy uśpione kołysze!

Struny mi takiej trzeba, co zgwałcona,
Jęk bólu — śmiechu zakończa wybuchem,
Struny, co śpiewa piosenki histriona,
Co rozbratana jest z życiem i z duchem,
Struny mi trzeba, dzwonkami co brzęczy:
Zrywam te wszystkie inne, — te — w łez tęczy!

Kiedy tę strunę przy sercu nastroję
I duszy mojej napełnię ją dźwiękiem,
Kiedy położę na nią ręce moje,
A ona z głośnym nie zerwie się jękiem
I nie wybuchnie w płacz wielki i łkanie,
To dam wam piosnkę, panowie i panie!

W ZADUSZNY DZIEŃ . . .

Garść ziemi wezmę i klęknę u proga
Cmentarnej bramy w dniu onym żałoby
I wołać będę: O, proście wy Boga,
O wielkie groby!

O, proście Boga nie o te mogiły,
Co je bluszcz stroi, a kwiecie oplata,
Lecz coby synom i wnukom się śniły
Przez długie lata.

Proście wy Boga o takie kurhany,
Na których orły siadają i kraczą,
A wicher po nich jękami przewiany
Błądzi tułaczo.

O takie groby proście, nad któremi
Sine się gwiazdy słaniają i bledną,
Z których przechodzień na pierś bierze ziemi
Choć grudkę jedną.

O polny kamień, o piasek pod głowę,
O pacierz świerków, o brzóz białych cienie,
O szumy lasów, o liry zbożowe
O pól westchnienie.

Proście wy Boga o takie mogiły,
Które łez nie chcą, ni skarg, ni żałości,
Lecz dają sercom moc czynu, zdrój siły
I żar miłości.

I nie o marmur, w napisy poryty,
I nie o jasne z palmami anioły,
Lecz proście Boga o wolne błękity
Nad swemi czoły.

Niech polna pliszka tam napój swój bierze,
Niechaj was zieleń obrośnie piołunów,
Ale niech matki poszyją szkaplerze
Z waszych całunów.

O, proście Boga o łzy rannej rosy,
O serc bijących dzwon głośny a żywy,
O pieśń skowronka, co leci w niebiosy
Z nad żytniej niwy.

Niechaj o grobach waszych mówią starce,
Chromą na kuli opierając nogę,
I niech to chłopię, co gra na fujarce,
Wie do nich drogę.

NIE PŁACZCIE, SMUTNI!

Nie płaczcie, smutni!
Ach! czy wy myślicie,
że tam wysoko, w tym cichym błękicie
Jęk wasz, odbity od gwiazd złotych proga,
Zakłóci spokojność Boga?
Czy wy myślicie, że okrzyk nędzarzy,
W srebrne, przejrzyste rzucony powietrze,
Wstrząśnie lazury i blaski z nich zetrze
I ciszę niebios znieważy?
Czy wy myślicie, że łzy te gorące,
Któremi płaczą od wieków tysiące,
Zagaszą słońce i cień wiecznej nocy
Rzucą w oblicze wszechmocy?
że gwiazda, w której wzrok smętny topicie,
Zblednie — i zadrży w promiennej orbicie
I przyjdzie otrzeć włosami złotemi
Znój z czoła synów tej ziemi?
Czy wy myślicie, że ust waszych skarga
Jakieś marzenie wieczności potarga
I że rozdźwiękiem bić będzie w błękity,
Aż Bóg się zbudzi ukryty?
Och! świat zbyt wielki! Wy na nim — zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawemi płakali,
Nic się nie wzruszy i nic się nie zmieni
W wiecznie pogodnej przestrzeni!
Krzyk uciśnionych nędzarzy nie sięga,

Gdzie nieskończoność globowy ruch słyszy . . .
Żaden głos do was nie ozwie się z ciszy:
Milczenie — bogów potęga!
Któż wie, czy w wielkiej harmonii stworzenia,
Ostatni okrzyk ginących w rozpaczy
Więcej coś waży i więcej coś znaczy
Niż róż mdlejących westchnienia?
Któż wie, czy biegnąc po strunach tej lutni,
Której dzwięk każdy dostraja Duch duchów,
Jęki boleści i zgrzyty łańcuchów
Nie tworzę hymnu . . .
Ach, nie płaczcie, smutni!

Z DNI SMUTKU . . .

I.

O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i Bóg niech słucha!

Czy Tobie, Boże, imię "Grom i Burza,"
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię "Błyskawica",
Że mu miecz nagi przyświeca?
Czy Tobie imię "Śmierć i wytępienie",
Że się krwi leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
Iskrą Ci prysła z źrenicy?
Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,
Łza z oczu padła Ci, Boże?
Czy, gdyś ją cisnał w wir światów bez końca,
Smutkiem ściemniała twarz słońca?
Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną,
Gdyś wydziedziczył myśl własną?

Czemu, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku,
Głośnego w każdym języku?
Czemu, gdy forma niezmienne zna prawo,
Duch wiedzę zdobywa krwawo?

Czemu, wpatrzone w ideał daleki,
Orłem nie lecą doń wieki?
Czemu to pełne boleści wahanie
Na drodze dobra, o Panie? . . .

Dlaczego ludzkość ustaje, powraca,
Zdobyte plony zatraca,
A całość prawdy, rozbiwszy w okruchy,
Łamie pojęcia i duchy?
Czemu jej, Boże, nie powiesz: "Mdlejąca
Z pragnienia, pij światło słońca!"
Czemu pozwalasz, by w zmierzchy dziejowe
Szła, krwawiąc piersi i głowę?

Jeśli jest myślą Twą i Ciebie sięga,
Gdzie jej świętość i potęga?
Jeśli Ci obcą — czemu tak stęskniona?
Królową — gdzie jej korona?
Branką, przykutą do wozu Twej chwały —
Czemu w niej duch taki śmiały?
Wysłaną w nocy po prawdę pątnicą —
Gdzie gwiazdy, które jej świecą?

Dech tracąc, ludzkość, jak nurek, zapada
W otchłań, gdzie perła lśni blada,
I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie . . .
Ach! czy ze skarbem wypłynie?

Ludzkość się zrywa, jak ptak z ponad ziemi,
Skrzydłami skrępowanemi . . .
Przed nią dzień jasny i słońc nowych zorze —
Lecz czy doleci, o Boże?

II.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna, jak oceany,
A taką straszną, jak rozwarte rany? . . .

Czemu jej zrównać, zapełnić nie mogą
Wybuchy pomsty swych ogniów pożogą?
Czemu jest zawsze, jak rozpacz, bezdenna,
A jak nienawiść — okropna, płomienna?

Krwią swoją ludzkość zalewa ją co dnia,
W głębie jej leci i cnota i zbrodnia
I łza i klątwa i miłość i zdrada,
A przecież wszystko gdzieś marnie przepada. . . .

Olbrzymie serca i umysłu siły,
życie milionów, milionów mogiły
Czas rzuca na dno przez lata, przez wieki,
A brzeg od brzega tak zawsze daleki!
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — ustawę pokoju,
Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater — sławę, geniusz — swoje trudy,
Życie — swe prawa i swoje zjawiska,
Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy,
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska . . .
A przecież dotąd, pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca.

Jestże kto, pytam, co zapładnia ziarna,
Które ta zgroza pochłonęła czarna?
I czyż z nich kiedy złoty plon wystrzeli
I bratnim chlebem ludzkość się obdzieli?

O! śpiesz się, słońce! zbyt wchodzisz powoli
Nad przepaściami głębokich niedoli!
O! śpiesz się, słońce! niech dzień nowy wstanie!. . .
Wszak tylko światło zwycięża otchłanie.

CZY MARZĄ? . . .

Czy marzą kiedy te czoła schylone,
Które dźwigają cierniową koronę
Codziennej troski nad zbladłą w łzach twarzą . . .
Czy one marzą?
Czy w tych źrenicach zamglonych rozbłyska
Niekiedy iskra wielkiego ogniska,
Przy którem duchy od wieków się grzeją
Wspólną nadzieją?
Czy te ramiona od taczek swej biedy
W chwilach tęsknoty podnoszą się kiedy
Tam, gdzie ludzkości całej ideały
Tron mają biały?
Bladzi nędzarze przy cudzym warsztacie,
Co zasypiają pod snów ciężką strażą,
I ci, co wloką dnie w zapadłej chacie —
Czy oni marzą?
Czy słyszą kiedy, wśród samotnych godzin
Głuchy szum wieków idących z kolei
I ciche szmery tajemnych narodzin
Wielkich idei?
Czy w odrętwieniu swojem lodowatem
Czują ten płomień braterskiej miłości,
Co łączy duchy nad nędzą i światem
W imię przyszłości?
Czy ci schyleni tak blisko do ziemi
Naglą jej pochód tętnami własnemi?

I czy się czuje myśl wydziedziczona
Cząstką miliona?
Duchy znużone i duchy mdlejące
Czy wierzą, że się te zmroki przeważą?
Czy przeczuwają jaśniejszych dni słońce?
Czy one marzą?
Jeśli nie — szerzej rozniećmy ognisko!
Niech spotężnieje i światło i ciepło;
Uściskiem bratnim rozgrzejmy tu nizko
Pierś ludu skrzepłą!
Jeśli nie — wyżej podnieśmy sztandary!
Niech nędzarz dojrzy walczących z ciemnotą
I niech dosłyszy okrzyk, pełen wiary
W jutrzenkę złotą!

MYŚLI . . .

I.

Kto ma wspomnienia — jest panem przeszłości
I może szczęście w oddali mdlejące
Tchem swym ożywić i wrócić z nicości.

Kto ma nadzieję — ten ogląda słońce
Nie narodzonych dla świata stuleci
I idzie, chociaż padają tysiące.

Kto wierzy — temu wskroś odmętów świeci
Zrodzona z bólu, jak łza, perła blada,
Co w oceanu przepaściach świt nieci. —

Kto ma cel wzniosły — ten chociaż upada,
Taką mogiłę zostawia na ziemi,
Że przy niej ludzkość z nędz swych się spowiada.

Kto tęskni — leci skrzydły płonącemi
Aż do najczystszych wyżyn i błękitów,
Lecz ślady znaczy łzami gorącemi.

Kto wątpi — w przepaść rzuca się ze szczytów,
Aby z rozbitą piersią dać ludzkości
Blady promyczek doskonalszych świtów.

Kto kocha — temu dreszcz nieskończoności
Przebiega duszę rozkoszą z zaświata . . .
Bo miłość złotem berłem jest wieczności. . . .

Kto myśleć umie — ten z orłami lata
I mgły przebija wzroku błyskawicą
Nad oceanem krążąc, jak fregata.

Kto poznał życie — ten wieczną tęsknicą
Goreje pośród nędz i smutków ziemi
I poco żyje, jest mu tajemnicą.

Kto cierpi — często oczyma smutnemi
Sam na świat rzuca kir z swojego proga,
Choć słońce płonie blaskami złotemi.

Kto szuka prawdy — ten zwycięża Boga
I tajemniczą unosi zasłonę
I wypatruje, kędy światom droga.

Kto wytrwa — choćby serce miał zranione
I obie ręce przybite do krzyża,
Ten nosi — wprawdzie cierniową koronę.

Kto naprzód idzie — ten przyszłość przybliża
I wylatuje poza czas swój gońcem
Aż do jutrzenki, jak ptaszyna chyża.

Wielkiego czynu kto zabłyśnie słońcem,
Ten w plon zapładnia wokół ziarnka małe
I jest imieniem wieku gorejącem.

Kto rzuca słowo, jako złotą strzałę —
Niech wie, że echo jego nie przepada,
Lecz jutro zrodzi hańbę albo chwałę.

Kto pragnie — ten, jak namiętna kaskada,
W otwartą przepaść srebrzystemi szumy,
Choć jej nasycić nie może, wciąż spada.

Kto milczy — idzie samotny przez tłumy,
Trzymając berło królewskie swobody,
A w duszy niosąc świat cichej zadumy.

Kto duchem umie na wieki być młody,
Ten w chwili śmierci radosną źrenicą
Wita przyszłości dzieje i narody.

Kto się udręcza bytu tajemnicą,
Ten własne swoje serce rwie w kawały,
Aż je przepaście bezdenne pochwycą.

Kto jest na szczycie — stoi, jak cel strzały,
Lecz ma na piersi tarczę diamentową
Obojętności na gniew tłumów cały.

Kto marzy — tęczę w duszy tka różową,
I jak do tęczy, słońca mu potrzeba,
Co przez łez chmurkę prześwieca perłową.

Kto dla głodnego ducha łaknie chleba —
Pracować musi: raz tylko przez dzieje
Ludziom w pustyni manna spadła z nieba.

Kto w górę patrzy, ten niekiedy dnieje
I prac się dziennych przedwcześnie nie ima,
Czekając, aż mu świt zabłękitnieje.

Kto nieskalany sztandar prawdy trzyma,
Ten, gdy opadnie z wieku mgła ciemnoty,
Nosi w ludzkości nazwisko olbrzyma.

Kto w duszę bierze milionów tęsknoty,
Ten ruchy ziemi tchnieniem nagli swojem,
Jako męczennik wplecion w jej obroty.

Kto pada w szrankach, zwyciężony bojem,
Ten, jak gladiator, ostatnim swym ruchem
Winien okazać zwycięstwo . . . spokojem.

Kto jest człowiekiem — niech umie być duchem.

II.

Dopóki ziemia pełna łez i bólu,
Nie wolno tobie przywdziewać purpury,
Człowieku, przyszłość dziedziczący królu!

Dopóki będzie choć jeden duch, który
W słoneczne prawdy okręgi nie wzleci,
Nie wolno ci się zwać panem natury.

Dopóki krzywdy minionych stuleci
Nie wypowiedzą skarg swoich bez końca,
Niech milczą w róże zwieńczeni poeci.

Dopóki więcej nocy nam, niż słońca,
Niechaj się człowiek zdobywcą światłości
Nie mieni hardo — wśród ciemnych tysiąca.

Dopóki wielki dług sprawiedliwości
Niewypłacony milionom nędzarzy,
Niech nikt nie mówi, że daje z litości.

Póki u prawdy tajemnych ołtarzy
Duch myśliciela, jak płomień, ulata,
Któż się "bezbożny" mówić nań odważy?

Dopóki wielkie niedole wśród świata
Są, jako węzły, co łączą plemiona,
Nie mów: "Jam obcy" — bo wskażę ci brata.

Dopóki jedna łza niepocieszona,
Granity żłobiąc, na ziemię upada,
Przepaści swego nie zakryją łona.

Dopóki przeszłość, pokutnica blada,
Win swych nie zetrze czynami wielkiemi,
Idź i rozmyślaj na grobie pradziada!

Jeśli ci dano rozumieć głos ziemi,
Padaj nań piersią i słuchaj w milczeniu,
Co mówi dziejów echami grzmiącemi.

Dopóki Boga masz w swoim sumieniu,
Nie troszcz się o to, gdzie, w jakiej świątnicy
I jak oddają cześć Jego imieniu.

Póki przyroda w zamkniętej przyłbicy,
Niezwyciężona wobec wiedzy stoi,
Nie wolno broni składać, zapaśnicy;

Póki jutrzennych przyszłości podwoi
Nie wezmą szturmem szlachetni szermierze,
Niech każdy wiarą w zwycięstwo się zbroi.

Nieśmiertelności siła jest w ofierze;
Ukrzepia prawdę, kto żywot w nią kładzie;
Wielki , kto ginąc za nią, woła: "Wierzę!"

W upadku hańba nie leży, lecz w zdradzie;
Odstępca ducha, na wieki przeklęty,
Powstaje w dziejach, jak upiór w balladzie.

Jeśli cel twój szlachetnie wytknięty,
Idź, choć współcześni obrzucą cię błotem;
Wieki zeń przyszłe wykują diamenty.

Idź, chociaż czoło oblewa się potem,
Bo on jest rosą dla promieni ducha,
Który dojrzewa ludom ziarnem złotem.

Dopóki przyczyn i następstw łańcucha
Nie rozplątałeś po jednym ogniwie,
Nie mów: "To chaos!" — bo prawo cię słucha.

Dopóki ludzkość w młodzieńczym porywie,
Marzy o skrzydłach, by wzlecieć w błękity,
Nie wolno wątpić o niej: ona żywie!

I chociaż pada, jak Ikar rozbity,
Ślad się zostanie i ognista droga,
Po której wieki z zmierzchów przejdą w świty.

Dopóki dojrzyć możesz z swego progu
Gwiaździsty rąbek niebiosów nad głową,
Nie mów, żeś nigdy nie oglądał Boga.

Dopóki jesteś, istniejesz w naturze;
Gdy cię już niema, istniejesz w niej jeszcze:
Któż wie, skąd wzeszły wiosną białe róże?

Nicość, to słowo straszne i złowieszcze,
Dźwiękiem jest tylko; nie zna go przyroda,
Wiecznie czująca macierzyństwa dreszcze.

Gdy serce twoje usypia pogoda,
Wiedz, że w tej chwili glob drży w swej orbicie
I że twój spokój ciszy mu nie doda.

Tchnieniem ust twoich jest własne twe życie;
Lecz ty sam tchnieniem jesteś twego wieku.

Póki zwycięzcą nie staniesz na szczycie,
Orły są wyżej od ciebie, człowieku!

ZAKWITŁY CIERNIE

Zakwitły ciernie. Krzew bólu i męki
Stanął w śnieżystym bukietów swych puchu
Od drgnięcia pierwszej skowrończej piosenki,
Od pól podmuchu.

Czarność się jego żałobna odziała
Kwiatem rozkoszy, utkanym misternie,
Gwiazda przy gwieździe drży lekka i biała . . .
Zakwitły ciernie.

Ale nad czołem schylonem w zadumie
Zawsze się wije ta gałąź kolczata,
Co żadną wiosną zakwitnąć nie umie —
Wielka, cierniowa korona wszechświata —
Myśl, co kwiat życia tragicznie otrząsa
I nagich kolców żądłami mózg kąsa. . . .

KTO W MOGIŁĘ . . .

Kto w mogiłę wzrasta głazem,
Kto skamieniał na kurhanie,
Ten się w proch rozsypie razem
Z tem, co nigdy już nie wstanie.

Lecz kto dębem wrósł w mogiłę,
Kto żyw stoi na kurhanie,
Temu odda grób swą siłę,
Kiedy przyjdzie zmartwychwstanie.

Sto lat leży głaz na grobie,
Sto lat wichry po nim wieją,
A nie zadrga życiem w sobie,
Nie zieleni się nadzieją.

Lecz dąb życia czerpie soki
Z praojcowych próchn i kości,
I choć kurhan tak głęboki,
Buja liściem ku przyszłości!

TO MY!

— Kto tam w moje ciche noce,
Jak ptak w pętach, się trzepoce
I skrzydłami mdłemi trąca
O mojego sierp miesiąca?
Kto źrenice pałające
Wbija w globy moje drżące?
Kto mi gwiazdy budzi moje,
Gdy ja na nie dłoń położę?
Kto uciszyć się nie może
I zrywa się i znów pada,
Jak mdlejących wód kaskada?
Czyje to tam niepokoje
Płoszą moich światów sny?
— To my!

Kto tęsknotą swego ducha
Czepia się mych gwiazd łańcucha
I o jutrznię moją pyta?
Kto tam woła: "Wstań!" na zorzę,
Nim nam ziemię i nad morze
Dzień mój w blaskach swych zaświta?
Czyja to tam skarga drżąca
Wzywa nocą mego słońca,
Zanim orły pióra strzęsą

Z sinych zmierzchów niecierpliwie,
Nim królewską strząsną grzywę
I zabłysną złotą rzęsą
Przebudzone ludy-lwy?
— To my!

Kto śmie ciszę mej zadumy
Porywami swymi kłócić?
Czyich to tam lasów szumy
Wiosnę moją chcą zasmucić?
Kto to uczy echa moje
Tęsknych westchnień, cichej mowy? . . .
Kto w poranek mój majowy
Uczy szemrać jasne zdroje?
Czyje skargi rzeki niosą
Aż do głębi oceanów?
Kto tam płacze z ranną rosą
U tych mogił i kurhanów,
Pojąc ziemię swemi łzy!?
— To my!

Kto tam nosi się z wichrami,
Jak opadłe liście z drzewa,
I chmur kiry westchnieniami
Po błękitach mych przewiewa?
Kto błyskawic ducha łuny
Na dnie mego rzuca białość?
Kto to sięgać po pioruny
Burzy mojej ma zuchwałość!

Od czyjego cieniów czoła
Tęczy mojej gasną wstęgi?
Kto tam gromów moich woła
I na jasne widnokręgi
Smutków swoich rzuca mgły?
— To my!

Kto tam z próżnych słów wybuchem
Wstrząsa nędzy swej łańcuchem?
Kto tam nie wie, że w ludzkości
Urość trzeba całą głową
Ponad dolę swą dziejową,
By dosięgnąć do przyszłości?
Kto nie pomni, że nie skarga
Ludów moich więzy targa,
Ale krople krwi i znoju
Przy wieczystym duchów boju
Kruszą pęta jadem rdzy?
— To my!

TY, GWIAZDO . . .

Ty, gwiazdo drżąca, czekaj mnie,
Aż się uciszę w sobie,
Dokonam biegu i mój dzień,
Najemny dzień odrobię.

Przelotem tylko oczy me
Biec mogą dziś do ciebie;
Tak zgięta jestem w jarzmie tem,
W bojowej tej potrzebie. . . .

Ledwie ci mogę rzucić znak,
Że czuję blask twój złoty,
Co mi osusza z oczu łzy,
A z czoła znojne poty.

Lecz wkrótce przyjdzie i mój czas:
Żar ducha już wydyszę,
Dopełnię pracę, skończę bój,
Zapadnę w chłodną ciszę.

Od głośnych życia wolna wrzaw,
Od znojnych skwarów słońca,
Otworzę oczy na twój blask
W noc ciemną i bez końca.

Ty prawić zaczniesz cudną baśń,
Wieczności baśń tęczową;
Ja słuchać będę cię bez tchu,
Z złożoną na wznak głową.

A życie przejdzie mimo nas,
Nie wiedząc zgoła o tem,
Że mi ostygłą grzejesz pierś
Spojrzeniem swojem złotem.

I tak po zorzę i po świt,
Trzymając srebrną wartę,
Ronić swój będziesz cichy blask
Na oczy me otwarte.

DO ZIEMI . . .

Siła mi smutków, ziemio, przyszło z ciebie
Za wiatru wianiem, za szumem twych borów,
Za temi chmury posępnych kolorów
Na twojem niebie . . .
Siła mi przyszło i łez i żałoby
Za twymi groby.

Miłość mi twoja nie dała pociechy,
Ani słodyczy nie wzięłam z kochania;
Stałaś mi zawsze z smętnymi uśmiechy
Wśród zbóż twych grania . . .
I jękiem szły mi przez twoje szafiry
Skowronków liry.

Kwiaty łąk twoich dyszały tęsknicą,
Powietrze pełne łez było i rosy;
Wśród ciszy twojej, jak przed nawałnicą,
Szły gromów głosy . . .
I wielkie wichry o serce mi biły
Z każdej mogiły.

Od stepów twoich krakały orlice,
Z gniazd rozburzonych unosząc swe pióra;
Miesiąc twój płoną, jak ciche gromnice,
A na nim chmura . . .
Krwawemi smugi padały twe zorze
Za wielkie morze.

Jak cień, szły za mną przez twoje zagony
Smętność twa stara i czarna twa dola
I żal przewiewał w tumanach zroszony
Przez twoje pola . . .
Z lip twoich miodnych padały mi szumy
Ciężkiej zadumy.

Za biegiem rzek twych, za wód twoich graniem
Pieśń ma leciała skrzydłami bijąca,
A harfy twoje wtórzyły jej łkaniem
O wschodzie słońca . . .
A o zachodzie szły z wielkim swym płaczem
Echem tułaczem. . . .

Poiłaś ty mnie z gorzkiego kielicha
I gorzkim chlebem karmiłaś od młodu,
Bo zewsząd na mnie patrzyła twarz cicha
Mojego rodu . . .
I w noc i we dnie z bladością swą ciemną
Stała przedemną.

Proch twój mi w piersi szedł z każdym oddechem,
A kość się we mnie poczęła z tych kości,
Co pod słonecznym bieliły się blechem
Na twej czarności . . .
Krwią, wsiąkłą w ciebie, wskroś serca mi biły,
Tętna a żyły.

Ale dziedzictwem nadałaś mnie smętnem
I dział wytknęłaś posępny i dziki;
I pieśń mą tknęłaś zadumy tej piętnem
I tej muzyki,
Co z dni minionych i z przyszłych spraw ducha
Ogniem wybucha.

Nie przeto, matko, złorzeczyć ci będę,
Ni serce tobie odejmę sieroce,
Ale dni twoje tęczami oprzędę,
A srebrem noce;
A jeśli we mnie co jest ku ozdobie,
Oddam to — tobie!

Boś mi moc swoją tajemną rozwarła,
Gdzie kujesz życia wieczyste ogniwa,
A kiedy inni mówili: "Umarła,"
Mnie byłaś żywą!
Więc na pierś twoją upadłszy wśród ciszy,
Czułam — jak dyszy. . . .

POSZŁABYM JA . . .

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną, mroczną dal . . .
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w kraj daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal . . .
Tylko mi cię żal,
Ty chato,
Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w ukrainę,
Za to morze, za to sine;
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal . . .
Tylko mi cię żal,
Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

WIEJSKA DROGA . . .

Po tej naszej wiejskiej drodze
W dumach, w dumkach oto chodzę,
W dumach, w dumkach schylam głowę
Pod te zorze wieczorowe,
Pod tej ciszy tchy. . . .

A gdzie padło dobre słowo,
Słyszę pieśnię skowronkową;
A gdzie krzywda przeszła drogą,
Kamień leży mi pod nogą,
Ciężki — jako łzy. . . .

Dobre słowo wciąż odkwita
To w kwiat polny, to w kłos żyta;
Stara krzywda głazem leży,
Na pustkowiu, na rubieży,
Pod siwymi mchy. . . .

W zorzach, w łunach ponademną
Idą chmury w drogę ciemną;
Idą chmury, burze niosą,
Napojone gorzką rosą
I ludzkiemi łzy. . . .

Oj, ty chato, ty pochyła,
Siłaś przeszła, zniosłaś siła,
Aż zaklęsnął dach Piastowy
Nad niedolą twojej głowy
Nad ciężkimi sny!

A nie było w wieków dobie
Ni jednego dzionka tobie,
Ni wieczora, ni zarania
Bez ścian twoich narzekania,
Stara chato ty! . . .

W dumach, w dumkach oto chodzę
Po tej cichej wiejskiej drodze —
Nad schyloną moją głową
Lecą smętnie i echowo
Jakieś skargi . . . łzy. . . .

TAM, W MOIM KRAJU . . .

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie
Sto gwiazd zgaszonych stoi w koronie,
Sto gwiazd zgaszonych nad polem stoi,
Jak stu rycerzy w żelaznej zbroi.

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie
Sto serc gorących tęsknotą płonie,
Sto serc gorących w piersi uderza,
Jak duch w żelazne blachy pancerza.

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie
Sto wichrów tętni przez puste błonie,
Sto wichrów tętni przez szlak stepowy,
Jak stu rumaków w złote podkowy.

A jak przeminie sto dni, sto nocy,
Wstaną rycerze w serc żywych mocy,
Wstaną rycerze, dosiędą konie,
Zapalą gwiazdy w złotej koronie.

NA OBCZYŹNIE . . .

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną . . .
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach siwe leży płótno,
Niech przez staw ciche rzucają się tęcze,
Rozbite skrzelką, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzepoce gołębi
I puchy kwietne i nitki pajęcze . . .
I w takież skiby głębokie puść rolę
I daj po brózdach te maczki jaskrawe
I w sznur wyciągnij nad drogą topole
I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę . . .
I niech tak idą rozgłośno po łanie
Dzwonki jałowic i z biczów klaskanie,
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucają i długi
I taką cichą błękitność daj wkoło
I pełne gwarów powietrze zrób ptaszych
I taki tuman na gór połóż czoło . . .
A tylko ludzi zrób — naszych.

DWIE POTĘGI

I.

Nicość chwyta za ramiona
I zapładnia ją oddechem;
Słońc milionem roziskrzona,
Wirująca ich pośpiechem,
Światy wzrokiem swym zatacza,
Z mgławic stęża gwiazd miliardy
I ciążenia zakon twardy
Globom, pchniętym w bieg, wyznacza;
Ima przestrzeń, waży bryły,
Wszechistnienia rodzi prawa,
Tchnie w przyrodę twórcze siły
I dnia mieczem noc rozkrawa.
Wieczność zowie jej imieniem,
W rozciągłości kształt zamyka,
Falującej żądzy drżeniem
Świetlny eter wskroś przenika.
Dźwięk dostraja, promień łamie,
Pręży gazy, studzi śniegi
I potęgi swojej znamię
W pierwobytów tchnie szeregi.
Węzeł przyczyn dzierży w dłoni,
Rozpryskuje się w atomy,
Tryska w blasku — w barwie — w woni,
Głos jej — cisza, słowo — gromy.
Turkusowy pierścień morza
Ziemi daje w upominku,
Wichrem rzuca się w przestworza,
Lądy rzeźbi dla spoczynku.
Popęd rzuca, jako strzałę,

Z części wiąże całość bytu,
W pąkach zwija róże białe
I dogląda ich rozkwitu.
Czas — to ona; ruch — to ona;
W nieskończoność mknie jej droga,
Słońc milionem roziskrzona,
Bezgraniczna . . .
To myśl Boga.

II.

Świadomość w bezwiedzę tchnięta,
Płomień zamknięty w krysztale,
Nurt, co brzegów zrywa pęta
I pod chmury ciska fale . . .
Budzi się — drży — wzmaga skrzydła,
Potężnieje, świat rozpiera,
Słońca promień chwyta w sidła
I milczeniu głos wydziera.
Przestrzeń zwija niby kartę,
Ruch ujarzmia, czas zdobywa,
Na materię nieodparte
Kładzie więzów swych ogniwa.
Prawdę chwyta obnażoną,
Podsłuchuje życia tętna;
Rozłakniona i namiętna,
Na przyrody pada łono . . .
Sto dróg przed nią, sto dróg za nią,
Wskroś ciemności tory wije,
Zawieszona nad otchłanią,
W żyznych zdrojach wiedzę pije;
Martwe siły w jarzmo wprzęga,
Oceany szturmem bierze,
Tajemniczych głębin sięga,
Z huraganem ma przymierze . . .

Duch — jej imię, czyn — jej ciało;
Jej dziedzina — prawa bytu;
Z snów świątynię stawia białą,
A z pewników — słup granitu.
Jej sztandary — postać świata;
Bezcielesna, nieujęta,
Z płomienistych stosów wzlata
I kajdanów zrywa pęta.
Skroń zbielała, krew przelana,
Wzgarda, klątwy, nędzy łupy
I tułactwa skryta rana —
To urodzin jej okupy.
Rozproszonych prawd okruchy
Zebrać w całość, stać na czele
Ruchów świata, budzić duchy,
Pojąć życie — to jej cele.
Spromienione krople znoju,
Z własną głębią cicha zgoda,
Szczęście ludów, wiek pokoju,
Miłość bratnia — jej nagroda.
Z bóstwem stapia się w zachwycie,
Z bohaterem w przyszłości leci,
Z mędrcem czuje bieg stuleci,
A z geniuszem stwarza życie.
Wzlata — pada — znów powstaje,
W wiekuistość się obleka,
Ideałom daje ciało —
Posiew wieków . . .
Myśl człowieka.

ACH! OSZUKAŁAŚ TY MNIE, NOCNA CISZO! . . .

Ach! oszukałaś ty mnie, nocna ciszo!
Ach! oszukałaś mnie, ciszo kojąca,
W której się róże uśpione kołyszą,
W blaskach miesiąca!
Wierzyłam tobie, słuchając milczenia
Lasów, co do snu bez szumu się kładły,
I wód, co swemi srebrnemi zwierciadły
Odbiły gwiazdy bez drżenia.
Wierzyłam tobie, patrząc w błękit cichy
I w sennych kwiatów zamknięte kielichy
I na tę łąkę, od mgieł lekkich jasną . . .
Wierzyłam tobie — ach! i nadaremnie!
Bo oto burza zerwała się we mnie . . .
O ciszy nocna! kiedyż duchy zasną?

ŚWIAT ZAWOJOWAŁ . . .

Świat zawojował wielki król
I pchnął go stopą w pysze,
A imię jego sławy dłoń
Na czole gwiazdy pisze.

I świeci gwiazda wiek i dwa,
Ziemia się w dziwie korzy,
A imię króla rzuca blask
Od zorzy aż do zorzy.

I świeci gwiazda w każdą noc
Nad ujarzmionym światem,
A imię króla z bożych niw
Srebrzystym wschodzi kwiatem.

Lecz przyszedł Łazarz; ten miał kość,
Wydartą psu od jadła,
I palcem wskazał imię to:
I gwiazda z nieba spadła.

JEŚLI MILCZENIE MA STARCZYĆ ZA SŁOWA . . .

Jeśli milczenie ma starczyć za słowa,
Wierz mi, najwyższej piękności hymn śpiewa
Noc nasza, cicha, letnia, księżycowa,
Co przez rozkwitłe przesrebrza się drzewa.

I jeśli piękność ma starczyć za słowa,
Wierz mi, że pieśnią ogromną w swej mocy
Jest podniesiona ku niebu twa głowa,
Gdy patrzysz, milcząc, w oblicze tej nocy.

I jeśli miłość ma starczyć za słowa,
Wierz mi, modlitwą ku tobie w tę ciszę
Bije mej duszy gorąca wymowa,
Kiedy to piszę.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

Przeszłośćć — wielka pra-mogiła,
W której leżą ojców kości,
Zapasowa ruchu siła,
Utajony dech ludzkości;
Skarbiec święty, skarbiec stary,
Kędy wieki porzucały
Zbroje swoje i sztandary,
Hasła, barwy, ideały;
Przeszłość — wielkie ludów zbrodnie,
Bohaterów wielkie czyny,
Zażegnięte walk pochodnie,
Uschłe wieńce i wawrzyny,
Karty, ryte krwią i mordem,
Rozszarpane burz zawieją,
Skry, skrzesane starym kordem,
Co nam dotąd dusze grzeją.
Przeszłość — czarny kir żałoby,
Nieśmiertelne hymny chwały,
Cisza, która strzeże groby,
Jak archanioł śmierci biały;
Gorejące wspomnień znicze,
Echo zwycięstw i rozpaczy,
Talizmany tajemnicze
Na wątpiącą pierś tułaczy . . .
Przeszłość — pieśń, od której jeszcze
Dziś chwytają ludy dreszcze,
Pieśń ta, która ideały
Nad kołyską im śpiewały.
Przeszłość — ołtarz i świątnica;
Przeszłość — pręgierz, kaźń, niesława;

Co z popiołów zmartwychwstawa . . .
Oto budzi się i dyszy,
Obejmuje świat w ramiona
I krzywd dawnych mści się w ciszy,
Aż zostanie odkupiona.
Przeszłość — dramat, w którym dzieje
Wywołują mar gromady . . .
Tłum się trwoży, wzrusza, śmieje,
Lecz myśliciel patrzy blady.

Przyszłość — jutrznia zróżowiona,
Świt błękitny, świt daleki
Do którego wszystkie wieki
Wyciągają swe ramiona;
Czyn zwinięty, jak w zawiązku,
W tajemniczym myśli kwiecie;
Prąd, co ruchy budzi w świecie,
Wznosząc sztandar obowiązku;
Sny narodów, ludów hasła,
Zapał wielki, klęsk pociecha,
Wiara ziemi niewygasła,
Co z błękitów się uśmiecha;
Zagon żyzny, zlany potem
Tych szlachetnych, co go orzą,
Zasiewany ziarnem złotem —
Prawdą jasną, prawdą bożą.
Nieugięta, niecofniona,
Nieodmienna, idzie, cicha;
Szermierz, walcząc o nią, kona,
Ale ludzkość nią oddycha.

I cóż łączy te dwa światy,
Jak ogniwa dwa łańcucha? —
Teraźniejszość — ptak skrzydlaty,
Myśl, czyn, słowo, tchnienie ducha

NIE SWATAŁA . . .

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,
Jeno pieśni skowronkowe
W te poranki, w te majowe,
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konie do dnia poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny rokiciny —
—Jedźże, Jaśku, do dziewczyny —
Hej!

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemnych lasów szumy,
Jeno tęskność, co się ściele
Po ugorach, jak złe ziele,
Jeno mokra ona łąka,
Gdzie się nocką tuman błąka,
Jeno złote one słońce,
W cichych zorzach zachodzące . . .
Odwieczerzem jednem, drugiem,
Pług za łanem, ja za pługiem,
Za mną zasię słonko chodzi —
— Dziewczę ci się, Jaśku, godzi,
Hej!

Ludzie mi cię nie raili,
Ani do mnie miodem pili,
Jeno ten miesiączek biały
I te gwiazdy cię swatały . . .

Nie chodziły tu sąsiady
Na namowy, na wywiady,
Jeno cichość wieczorowa
Niosła skądciś miłe słowa,
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosą przypijała,
Chłodną rosą mnie budziła —
A gdzie Jaśku, twoja miła? . . .
Hej!

DO KOBIETY

Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona,
Której usteczka rozchyla pustota,
Co znaczy "kocham", to najświętsze słowo,
Co pada z piersi, jako strzała złota,
I jak królewskiej purpury zasłona,
Oddziela ciebie, wzruszeniem różową
I drżącą snami szczęścia dziewiczemi,
Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi,
Byś otworzyła jednemu ramiona?

Czy wiesz ty o tem, motylu i kwiecie,
Poranków wiosny ty śpiewna ptaszyno,
Że ta godzina, w której usta twoje
Szepcą to słowo, jest cudów godziną?
Że wtedy jasno robi się na świecie,
Że srebrnem biją wszystkie żywe zdroje,
Że róże w pąkach płonią się wiosenne,
Że dziwne mary, rozwiewne i senne,

Ciałem się stają pod drżącą twą dłonią?
Że w tej źrenicy, jako w pryźmie słońce,
Życie odbija blasków swych tysiące
I załamuje promień brylantowy?
Że noc koronę srebrną swojej głowy
U stóp twych w chłodnych rozsypuje rosach?
Że twem wzruszeniem drżą gwiazdy w niebiosach?

Czy wiesz ty o tem, że słowo to ciebie
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?
Że to uczucie, co łuny dziewicze
Rzuca na białość liljową twej twarzy
I diamentową skrą w oku rozbłyska,
Nie tylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,
Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu,
Pierwszem zarzewiem wielkiego ogniska,
Co świat ogarnia blaskami swojemi,
Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu?
Czy wiesz, że kiedy zmierzchy tajemnicze
Wydały kształty młodzieńcze tej ziemi,
Co stała jeszcze wśród chaosu nagą,
Najpierwszem słowem, jakie Bóg na niebie
Rzekł do niej, było słowo: "Kocham ciebie"?

Posłuchaj! Kocham — to nie znaczy wcale:
"Chcę być pieszczoną w tym domu królową,
Chcę iść przez życie drogą kwieciem słaną . . .
Chcę w pocałunków twoich tonąć szale . . .
Chcę by mi słonko świeciło co rano . . .
Chcę, by co wieczór lampę diamentową
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową . . .
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał i witał mnie uśmiechem . . .
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z słowikiem . . .
Chcę żyć z twej pracy i twojego potu . . .
Chcę, byś był moim cieniem, mojem echem . . .
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem . . ."

Nie! "Kocham ciebie" — to znaczy "Chcę z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
Być twego domu światłem i ozdobą
I nieść ci pokój i ciszę i zdrowie.
"Kocham" — to znaczy: Twoje ideały
I twoje cele są także mojemi.
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!
Chcę, by mą drogą była twoja droga,
Mojem pragnieniem były twe pragnienia;
Chcę, byś był głosem mojego sumienia
I wiódł mię z sobą do Boga!
Chcę, byśmy lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiaździste szlaki przyszłości!
Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć
I słowo twoje chować, jak przysięgę!
Chcę z tobą marzyć i tęsknić i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę!
"Kocham" — to znaczy: Chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu i łez i boleści . . .
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić
I tarczą być twojej części.
Chcę na twych piersiach być, jak róża biała,
W której płomyczek tajemniczy pała,
I chcę być, jako pieczęć rubinowa,
Na ustach twoich bez słowa . . .
"Kocham" to znaczy: Chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną . . .
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną!

"Kocham cię" znaczy: O wolny ty duchu!
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować jasnych,
Przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych,
Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu

Wzlatać, jak orzeł, po najwyższych szczytach
I gniazdo zwijać w błękitach.
Ja nie chcę ciężyć tobie, jak kajdany,
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem . . .
Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,
Bratnim i równym ci duchem.
"Kocham" — to znaczy: Ja chcę być dla ciebie
Prawdy i dobra i piękna zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie . . .
Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną,
Chcę być twą myślą i ramieniem twojem
I przyjacielem i żoną!
Jeśli w twych piersiach, kobieto, nie bije
Serce do takiej podniosłej miłości,
Nie mów ty "kocham" nikomu na ziemi!
Bo ten, co z tobą połączy swą dolę,
Patrząc na ciebie oczyma smutnemi,
Nigdy nie powie, że żyje,
I duchem wzrósłszy w poziomą niewolę,
Nie zrobi nic dla przyszłości!

NIE SKARŻ SIĘ!

Nie skarż się bracie! Żadna grudka ziemi,
Którą ocean skrzydłami srebrnemi
Lotnych fal swoich od brzegu odbije,
Nie ginie marnie; żadne piasku ziarno
Lecące w otchłań straszliwą i czarną,
Gdzie milion cudów i przerażeń żyje,
Nie jest straconem . . . Przyrody potęga,
Gdy wód i ognia ścierają się prądy,
Łamie kryształy, do dna morza sięga
I tam z atomów dźwiga nowe lądy.

Nie skarż się bracie! Żadna kropla rosy,
Co rankiem pada na łąki i wrzosy
I w brylantowe diademy stroi
Główki róż dzikich i białych powoi,
Nie traci bytu, choć taje, mdlejąca
Od pocałunków płomiennego słońca . . .
Ta sama kropla, ukryta w obłoku,
W twarz ci gdzieś pryśnie u białej kaskady,
Albo uprzędzie dla mgły rąbek blady,
Albo w najdroższem tobie błyśnie oku.

Nie skarż się! Iskra, co gasnąć, ulata,
Jak duch, zdmuchnięty w wysiłku daremnym,
O atom światła nie zuboży świata,
Choć zniknie w zmierzchu tajemnym . . .

Ta sama iskra, tchnięta gromem słowa,
Przebiegnie ogniem przez wzruszone tłumy,
Lub jako strzała burzy piorunowa,
Rozwali prastare tumy.

Nie skarż się, bracie! Ostatnie westchnienie,
Które bez jęku, bez szmeru, bez skargi
Rozchyla blade, konające wargi,
Nie leci w nicość i w wieczne milczenie . . .
Ono się budzi, jak wicher nawalny,
Co łamie maszty i żagle napręża,
Lub jako okrzyk ludów triumfalny,
Gdy sprawiedliwość zwycięża!

Sił swoich nigdy nie roni przyroda,
Ale je w wiecznym utrzymuje ruchu
I w tajemniczym istnienia łańcuchu
Nic ich nie ujmie i nic ich nie doda . . .
Choćby ocean podniósł się w błękity,
Choćby na ziemię spadła mleczna droga,
Zawsze pierwiastek bytu niepożyty
Obejmie sobą myśl Boga!

Nie skarż się bracie, choć ducha szermierze
Padają w walce, przez ciżbę zdeptani;
Wieczne ludzkości z postępem przymierze
Nie zginie w mrocznej zwątpienia otchłani.
Ideał jasny, ideał promienny
Coraz wyższego i szerszego ruchu,
Choć w formie zjawisk wydaje się zmienny,
Trwa wiecznie w prawdzie i w duchu.

Nie skarż się, bracie, choć w dzieje wpatrzony,
Widzisz krew tylko i hańbę i rany;
Cel, dla którego pracują miliony,
W drobnych ułamkach zaledwie nam znany.
Co tracą wieki, nie zawsze jest stratą:
Z ciemnic więzienia, ze stosów męczeństwa
Myśl zalatuje żywą i skrzydlatą,
By śpiewać hymny zwycięstwa.

Nie skarż się! Alboż wiedzieć jesteś w stanie,
Gdzie dziś kiełkuje siew z przez lat tysiąca
I jakim kwiatem wspaniałym powstanie
W jutrzennych promieniach słońca?
Jaka ożywcza i płodna potęga
Zamierzchłej pracy wiek nowy zasila?
I gdzie lecąca z ust oddechem chwila
Potęgą swoją dosięga?

Duch dąży w światła dziedziny przyszłości
I w ruchy swoje wciela niewidomie
Żywą energię walczącej ludzkości
W całym jej różnic ogromie . . .
Z promiennej jego, choć krwawej zdobyczy
Nic nie przepada i nic nie zaginie:
Jest myśl, co każdy wysiłek policzy
W wielkiej triumfu godzinie!

NA PROGU

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Niełatwo przed wzruszeniem serca przyjść do słowa.

Gdzie my od was odbiegli? . . . Gdzieście wy zostali? . . .
Czemu nie razem, w górę, poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj — wielcy? — a wy — czemu mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! Dość żalów, dość kłótni . . .
Otwórzcie nam ramiona: to my — was szukamy,
Bośmy może winniejsi . . . ach! i bardziej smutni!

BĄDŹ SILNYM!

Bądź silnym, bracie! Skrzydłami orlemi
Bij chmury, co ci grożą nawalnicą . . .
Nas dnie tak smutne, tak ciężkie zrodziły,
że wielkiej ducha potrzeba jest siły,
By nie zagasnąć krwawą błyskawicą
U jakiejś wczesnej, samotnej mogiły,
Lecz żyć na pełnej łez ziemi.

Bądź silnym! Niech twe młodzieńcze ramiona
Podźwignąą brzemię uniesień twych godne . . .
Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy . . .
Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,
Póki choć jedno serce, prawdy głodne,
Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia:
Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
W ciszy własnego istnienia!

Bądź silnym! życie swą wagą przygniata
Tych, co bez steru, bez woli, bez mocy,
Wśród tłumu zjawisk i sprzeczności świata
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk skroś nocy . . .
Ziemia się na nich nie wesprze, zaiste!
A ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy
Tych, co przed walką cofnąwszy się — giną
I poza duchów wytrwałych dziedziną
Tak znikną, jako ów cień tajemniczy,
Gdy wschodzi słońce przeczyste.

Garstka szlachetnych, co przyszłość zdobywa,
Jest jako luźne, słoneczne ogniwa,
Które się w całość połączyć nie mogą . . .
I brak im może właśnie twego ducha,
By zamknąć kręgi wielkiego łańcucha,
Co glob opaszą i nową pchną drogą.

Bądź silnym, bracie! . . . Ach, jabym pierś twoją
Pragnęła zakuć diamentową zbroją,
Przed ziemskiej żądzy palącym oddechem,
Co się porywa w pełną wichrów drogę,
Przed zatrutemi zwątpienia strzałami,
Co biją w ciebie, jako błyskawice . . .
Lecz jestem sama słabą i nie mogę
Być tarczą twoją, choć stoję przy tobie
Z rozpostartymi, jak siostra, rękami
I patrzę w twoje gasnące źrenice
I na twe usta, co bluźnią uśmiechem
Tajemniej ducha twojego żałobie,
Jak bluźni róża czarnej sierot szacie;
I próżno ciebie chcę obronić łzami
Przed skwarem życia, co pierś twą wysusza,
I próżno, patrząc, jako kona twa dusza,
Wołam: Bądź silnym, o bracie! . . .

Bądź silnym! ziemia pod stopą się chwieje . . .
Stać trzeba z męskim wytrwaniem wśród burzy . . .
Ten, kto nieść będzie pochodnię — nadzieję
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim — ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała —
Ten tylko imię "człowieka" wysłuży
W nieśmiertelności błękitach!

GDZIE JEST MÓJ DOM?

Gdzie jest mój dom? Czy tam, gdzie marzeń roje
Budują świat z mgły ułud, z pieśni czaru,
Gdzie lube sny kołyszą serce moje,
Gdzie poi mnie szumiący zdrój nektaru?
Czy tam, gdzie czyn w żelaznej ma prawicy
Pochodnię zórz i wieków ciężkie wagi . . .
I świeci w dzień ogniskiem swej źrenicy,
A w ciemną noc dobywa miecz swój nagi?

Gdzie jest mój dom? — Czy tam, gdzie smutek cichy
W przestrzeni drży, jak skarga konająca . . .
Gdzie srebrne łzy padają w róż kielichy,
Gdzie nocom gwiazd, porankom braknie słońca?
Czy tam, gdzie ból, krwawiący świat przez wieki,
I wszystek trud i wszystkie hasła boju
W stłumiony krzyk zlewają się daleki
I płoszą sny widmami niepokoju? . . .

Czy tam, mój dom, gdzie stoją białe trony
Wieczystych prawd, wśród ciszy majestatu,
Królując nam bez berła i korony
I pchnięciem w ruch rozkazy dając światu?
Czy tam, mój dom gdzie źródła wiedzy płyną
I w ludów krew wlewają żywe prądy,
Gdzie w szary świt zdobywcy słońca giną,
Wpatrzeni w wschód, skąd wstają nowe lądy?

Gdzie jest mój dom? — Czy tam, gdzie silni stoją,
Zgromiwszy lwa w swej piersi walką męską?
Czy tam, gdzie ci, co drżąc, się niepokoją
Przed chwilą burz bolesną — choć zwycięską?

Czy tam, gdzie szał otwiera swe ramiona,
Płomiennych fal czarując upojeniem . . .
Gdzie burzą tchnień rozkoszy drga zasłona,
Gdzie życie jest i czarą — i pragnieniem?
Czy raczej tam, gdzie duchy, jak gołębie,
Białością piór zlewają się promienne,
Gdzie smętny wzrok zapada w tęsknot głębię,
Myśl budzi się — a żądze milkną senne? . . .

W błękitną dal wędrowny ptak odlata,
W głębinę wód samotna łódź wypływa . . .
Ach! mamże ja tak zawsze wpośród świata
Zbłąkana żyć, jak cień, co nie spoczywa?
Gdzie prawda ta, co chwyta bez podziału?
Gdzie przystań jest dla wszystkich walk i trudów?
Ach, gdzie jest cel, krwi godny i zapału
I życia chwil i wielkich dążeń ludów?
W skarb drogi swój swe serce człowiek wkłada,
Jednocząc w nim żądz swoich niepokoje:
Jaż tylko mam z przestrachem pytać blada:
Gdzie jest mój dom, mój dom i wszystko moje?

Idę — i drżę — i wracam przerażona
I obcy świat otacza mnie dokoła . . .
Ach! gdzie jest dłoń przyjaźnie wyciągniona?
Gdzie drogi głos, co na mnie "Pójdź!" zawoła?
Gdzie skłonię skroń? ach gdzież ja się ukoję?
Gdzie płynąć dam tym wstrzymywanym łzom?
Gdzie jest mój skarb? ach, gdzie jest gniazdo moje?
Gdzie jest mój dom?

KRAKOWSKIE WESELE

(Sołtys kłania się)

Niechaj będzie pochwalony Chrystus w waszym progu!
Czołem, panie gospodarzu! Kto my — nie pytajcie;
Pozna Polak swego ziomka po czci danej Bogu . . .
Chleba, soli, dobrej woli i dłoń nam podajcie!

Jeszcze żyją wskroś narodu nasze stare hasła,
Jeszcze nasza polska mowa skarby swoje chowa;
Jeszcze w dworach staroświeckich gościnność nie zgasła,
Jeszcze żyje dziarska młodzież i pieśń narodowa . . .

Tu pod waszym dachem, Panie, zebrani ochoczo,
Z tej spuścizny po praojcach stwórzmy szczęścia chwilę!
Niech pod strojem narodowym serca nam zagrzmocą,
Niech tradycja wskrześnie stara w całej swojej sile!

Prostak jestem, nieuczony — sołtys mojej wioski;
Jeśli rzeknę co nieskładnie, darujcie mi, Panie!
(kłania się)
Dość ja miałem turbacyi, mitręgi i troski,
Nim się tutaj odważyłem na takie gadanie . . .
(drapie się w głowę)
Ale kiedy się już stało — powiem, co się godzi:
Hej! panowie z białych dworów, słuchajcie mnie bacznie!
Dziś gromada w pańskie progi bawić się przychodzi:
Niech ta chwila, jako symbol, nowe życie zacznie. —

Mało ubiór wziąć i piosnkę wspólnego wesela:
Dzielcie z ludem jego smutki, ulżyjcie mu w pracy;
Niech chłop widzi w panu swoim brata, przyjaciela,
A nie powie nikt na świecie, żeśmy "jacy tacy".
(potrząsa czapką)
A pójdzież sam, Krakowiaki! ustawcież się kołem;
Niech się wianek z Krakowianek rozwinie spleciony . . .
(dalsze pary otaczają pierwszą)
Czołem, panie gospodarzu! gospodyni czołem!
Niechże będzie na tem miejscu Chrystus pochwalony!
(kłania się).

PIEŚŃ PRACY

Na dział! Na dział!
Na ornej ziemi dział!
Tam wieść nam pług słonecznych dróg,
Tam płacić wielki ojców dług,
Dziedzice klęsk i chwał!

A nasza klęska — to tych pól
Zamierzchła noc, zastygły ból . . .
A nasza chwała — życia ruch,
A nasze hasło — duch!

Na łan! Na łan! Na ornej ziemi łan!
Tam ducha wiew, tam światła siew,
Tam pot nasz, tam i nasza krew,
Tam triumf nam jest dan!

A triumf nasz — to znój i trud,
To zbudzon brat, to zbudzon lud,
To żywot — wielkiej służbie dan . . .
Na łan! . . . Na łan! . . . Na łan! . . .

ROTA

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep piastowy,
Nie damy, by nas zniemczył wróg . . .
— Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg . . .
— Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił.
Orężny wstanie hufiec nas,
Duch będzie nam hetmanił,
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg . . .
— Tak nam dopomóż Bóg!

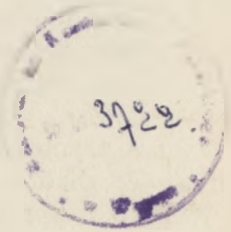

SPIS TREŚCI

	Strona
OFIAROWANIE	7
PRZEDMOWA	9
NA ROZWINIĘCIE SZTANDARU GR. 24 Z. P. W A.	10
ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ POETYCKA MARII KONOPNICKIEJ	11
NASZ SZTANDAR	35
WĄTPIĄCYM	36
WARSZAWIE	38
PĄTNIKOM	39
O ZIEMIO	40
STAREJ LITWIE NIE NOWINA	41
CHOĆ NA CUDZYM MY WYRAJU	42
NA JEDNOŚĆ TUŁACZY	44
ŚWIĘTO PIASTA	47
TRZECI MAJ	49
AVE, PATRIA!	54
POWITANIE ZIEMI	57
LITWIE	58
BUDUJMY MIŁEJ OJCZYŹNIE DOM	61
NA WAWELU	62
FRAGMENT	63
PO BURZY	64
GRUNWALD	65
MEMU MIASTU	68
WARSZAWA	70
KRAKÓW	71
WISŁA	73

SPIS TREŚCI

	Strona
KARTA Z RAPTULARZA	74
HOŁD KRÓLOWEJ JADWIDZE	77
PO GRUDCE ZIEMI	79
DO GRANICY	82
O WRZEŚNI	87
CO MI NADA	88
RANKIEM W POLU	89
NA KUJAWACH	90
NA KURPIKACH	92
NA LECHICKIM POLU	96
O, JEST MI DOBRZE	98
O, NIEMA PRAWDY	99
WEZWANIE	100
PIOSENKA MOJA	101
POWRÓCĄ DO WAS	102
W MAŁEJ PIOSNCE	103
PO DRODZE TEJ	104
JEST W PIERSI MOJEJ	105
TY, COŚ WALCZYŁ	106
PIEŚŃ O DOMU	107
WIOSENNE WITANIE ZIEMI	108
WSTAŃ, O DZIECIĘ	109
PRZYGRYWKA	111
A KTO CIEBIE, TY WIERZBINO, WYCHOWAŁ?	112
U OKIENKA	113
JIESIENIĄ	115
PRZEORAŁY RAZ I DRUGI	117
TEMU TYLKO PŁUG A SOCHA	118

SPIS TREŚCI

	Strona
CHODZIŁY TU NIEMCE	119
ZASZUMIAŁ LAS, ZASZUMIAŁ LAS	121
PO CISZY	122
WIECZORNY DZWON	123
NAD MORZEM	124
POŁÓŻ RĘKĘ NA SERCU	126
A CHOĆBYŚCIE WROŚLI W ZIEMI	127
KTO POLICZYŁ ILE SIŁY	129
CONTRA SPEM SPERO	131
KWIATY	133
NOWY ROK	134
MATCE	135
Z ODDALI	136
KOCHAM CIĘ	137
NA SKRZYDŁACH PIEŚNI	139
CO SIĘ STAŁO?	141
KTOŚ MNIE CZEKA	143
O GWIAZDY ZŁOTE!	145
PRZED ODLOTEM	146
FRAGMENT	147
WSKRÓŚ NOCY	149
TĘSKNOTA	151
DO MŁODEJ BRACI	154
NADZIEJA	156
WICHREM PORWANY	158
LIPY KWITNĄ	161
PRELUDIUM	162
NOKTURN	163

SPIS TREŚCI

	Strona
CZEM JESTEŚ?	164
WEZWANIE	165
JESTŻE PEWNEM?	166
JEŻELI KOCHASZ	167
NA GROBIE RYCERZ	169
GDYBYM	170
OTO ŁÓDŹ MOJA	171
PRZED BURZĄ	172
JAKIE GŁUCHE, PUSTE SKAŁY	173
W MOJEJ MAŁEJ, NIZKIEJ IZBIE	174
NA MORZU W CISZĘ	175
CREDO	176
PRZED BOGIEM	178
POWITANIE ROKU	182
ZA JEDNO CIEBIE	184
PIEŚŃ NOWOROCZNA	185
AVE!	186
W WIELKI PIĄTEK	188
NA DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA	190
ŚWIATBY JUŻ DAWNO PRZESTAŁ TRWAĆ	193
MODLITWY WIOSENNE	195
ZA RODZICÓW	204
WIECZORNY PACIERZ	205
W ZADUSZNY DZIEŃ	206
UMARŁYCH PŁACZĘ	210
NIE DAJ MI, BOŻE	211
KIEDY PAN JEZUS	212
BÓG SIĘ RODZI	214

SPIS TREŚCI

	Strona
Z TRZYKRÓLOWĄ GWIAZDĄ	216
Z BLISKA WIDZIAŁAM ŁZY WASZE I TROSKI	217
CO POCZNIE?	218
SOBOTNI WIECZÓR	220
WOLNY NAJMITA	223
PRZED SĄDEM	225
Z WIEJSKIEJ SZKÓŁKI	228
BEZ DACHU	231
Z SZOPKĄ	234
CHŁOPSKIE SERCE	236
JAŚ NIE DOCZEKAŁ	239
CZY ZGINIE?	243
W PIWNICZEJ IZBIE	245
NA GODY	252
DZWONY	254
A JAK POSZEDŁ KRÓL	256
JA SIĘ NIE SKARŻĘ	257
CO TO JEST ŻYCIE?	259
NAJKRWAWSZE POLE	262
JASKÓŁKA	265
WIĘC MI NAWIĄŻCIE	269
W ZADUSZNY DZIEŃ	271
NIE PŁACZCIE, SMUTNI!	273
Z DNI SMUTKU	275
CZY MARZĄ?	278
MYŚLI	280
ZAKWITŁY CIERNIE	286
KTO W MOGIŁĘ	287

SPIS TREŚCI

	Strona
TO MY!	288
TY, GWIAZDO	291
DO ZIEMI	292
POSZŁABYM JA	295
WIEJSKA DROGA	296
TAM, W MOIM KRAJU	297
NA OBCZYŹNIE	298
DWIE POTĘGI	299
ACH! OSZUKAŁAŚ TY MNIE, NOCNA CISZO!	302
ŚWIAT ZAWOJOWAŁ	303
JEŚLI MILCZENIE MA STARCZYĆ ZA SŁOWA	303
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ	304
NIE SWATAŁA	306
DO KOBIETY	307
NIE SKARŻ SIĘ!	311
NA PROGU	313
BĄDŹ SILNYM!	314
GDZIE JEST MÓJ DOM?	316
KRAKOWSKIE WESELE	318
PIEŚŃ PRACY	319
ROTA	320